

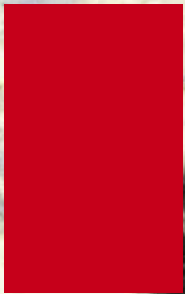
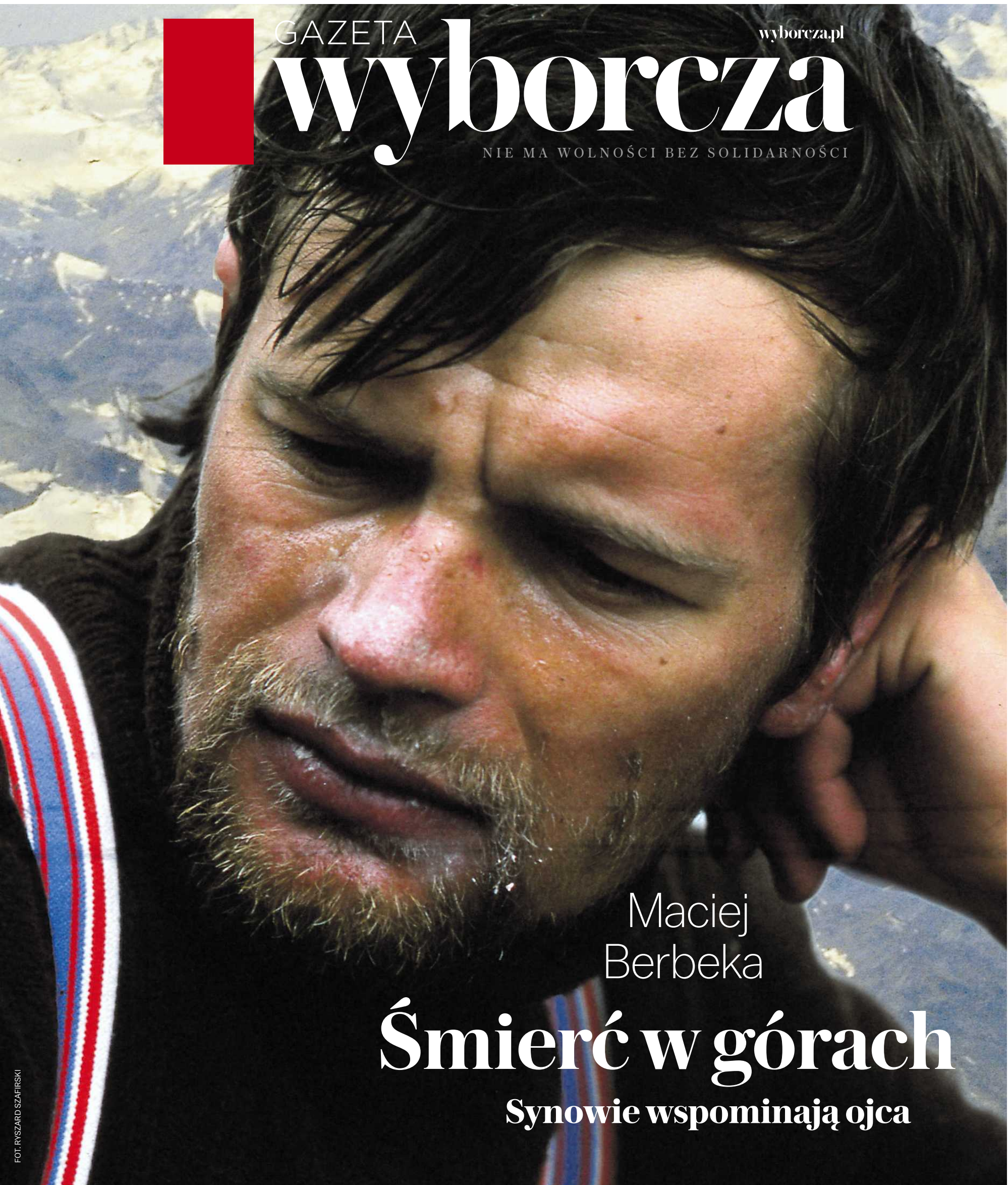
Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

Życie wieczne wynika z ewolucji
• Wyborca nie odróżnia Zandberga od Konfederacji • Przyjaciółki Jana Pawła II: Wiedział, unikał tematu • Chińczycy już tu są • Tajemnice Nauczycielki Roku



WYSOKIE OBCASY
Wszystko przemija,
więc Homo sapiens też
Seks przyszłości
jest w Berlinie



GAZETA
wyborcza
nie ma wolności bez solidarności

wyborcza.pl

Maciej
Berbeka

Śmierć w górach

Synowie wspominają ojca

FOT. RYSZARD SZAFIRSKI

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198

ISSN 0860-908X

43>

9 770860 908167

Formalnie nic złego się nie stało
Jak Mussolini wziął władzę



50 lat temu
Kazimierz Orłowski opisał Polskę PiS

Żydzi? Sowietci? Esbecy?
Kto zabił syna szefa PAX

Fidel Castro
wypędza poetę

Agnieszka
KublikKaczyński na TikToku
wie, co robi

Dwudziestego pierwszego października Jarosław Kaczyński (rocznik 1949) pojawił się na TikToku. Piotr Wawrzyk, wiceszef MSZ (rocznik 1967) założył konto i jako specjalnego gościa zaprosił swojego szefa.

– Dzień dobry. Serdecznie pozdrawiam wszystkich użytkowników – zagaił Kaczyński.

– Na ten moment to żenująco boomerskie, ale jest – tak ten występ skomentował Wojciech Kardys, specjalista ds. social mediów. – Możemy się śmiać z tej tiktokowej ofensywy PiS, ale oni przynajmniej coś wrzucają.

Kilka dni później, w Zamościu, gdzie już najwyraźniej wieści o Kaczyńskim i TikToku dotarły, padło pytanie, czy prezes na stałe tam zagości. Prezesa pytanie ubawiło i tak odparł: – Jak mnie kolega z klubu parlamentarnego prosi, to ja nie odmawiam. Ale jestem z tego pokolenia, które w ogóle nie wyobrażało sobie nie tylko TikToka, ale i internetu. Do TikToka to, wybaczenie mi państwo, ale już trochę za późno.

Pewnie dla prezesa tak, ale dla jego partii nie. Kaczyński myśli do przodu, przewiduje, co się może wydarzyć, i stara się na to przygotować.

TikTok to jedna z najpopularniejszych platform społecznościowych na świecie, dla niewtajemniczonych – można tu nagrywać krótkie filmiki wideo pod dowolny utwór muzyczny. Zaglądają nań najczęściej młodzi, głównie od 13 do 20 lat. Szukają rozrywki, ale coraz częściej generacja Z (urodzeni w latach 1997-2012) traktuje TikToka jako

wyszukiwarkę internetową. „The Washington Post” sprawdził, że generacja Z informacji o aborcji szuka głównie w mediach społecznościowych, przede wszystkim właśnie na TikToku.

W USA przed ostatnimi wyborami prezydenckimi w najważniejszych mediach społecznościowych wprowadzono zmiany. I tak YouTube miał kasować fake newsy i fałszywe konta, Facebook uruchomił specjalne centrum informacyjne, a Twitter wprowadził nowe powiadomienia, że coś jest albo może być fake newsem. Zaś TikTok, który w założeniu jest czysto rozrywkowy, uruchomił centrum bezpieczeństwa wyborczego, by możliwie ograniczyć rozprzestrzenianie się treści przedwcześnie ogłaszających wygraną jednego z kandydatów.

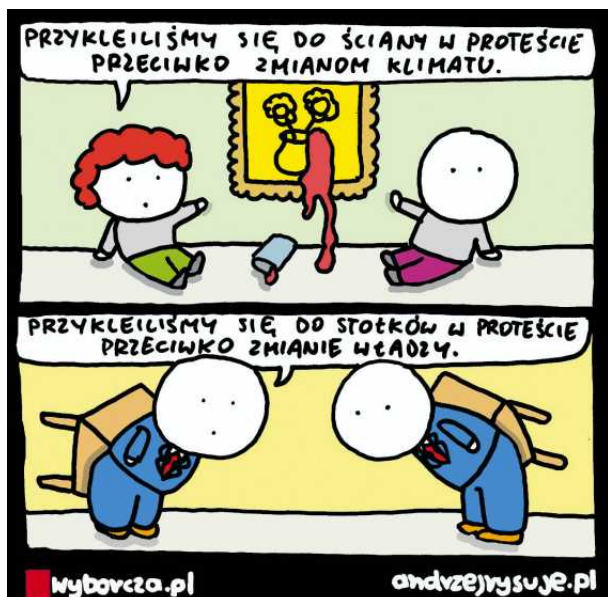
Kaczyński wyczuł, czym może się stać TikTok przed wyborami – olbrzymią platformą manipulacji młodymi umysłami.

Bo cóż takiego przekazał w króciutkim zagajeniu: „Dzień dobry. Serdecznie pozdrawiam wszystkich użytkowników: i tych, którzy nas lubią, i tych, którzy nas nie lubią. Dobrze, że jesteście aktywni, że chcecie mieć informacje, że się wymieniacie informacjami. Gratuluję i jeszcze raz pozdrawiam”.

Zdanie klucz: „Chcecie mieć informacje”.

A niedawne badanie NewsGuard wykazało, że aż jeden na pięć filmów na TikToku zawiera fałszywe informacje. Eksperci analizowali m.in. tak zapalne kwestie, jak: aborcja, ocieplenie klimatu, szczepionki czy wojna w Ukrainie. ●

Andrzej rysuje



Kuba

Prawo do miłości dla wszystkich



FOT. ISMAEL FRANCISCO/AP

Liusba Grajales robi makijaż córeczce Ainhoe, przygotowując się do ślubu z Lisset Diaz Vallejo. Liusba i Lisset, które są razem od siedmiu lat, to jedna z pierwszych par, które zdecydowały się na legalizację związku po tym, jak niedawno Kuba dopuściła małżeństwa jedнопłciowe. Za liberalizacją kodeksu rodzinnego opowiedziało się 67 proc. obywateli. Przy okazji dopuszczono surogację oraz wzmocniono przepisy antyprzemocowe.

Kod dostępu
do Wyborcza.plBackstreet Boys
Mamy i córki piszczą unisono

Zaczęło się od ogłoszenia, w którym Lou Pearlman (kiepski biznesmen z branży lotniczej, samozwańczy menedżer muzyczny) poszukiwał chętnych do zespołu. Mieli mieć wygląd New Kids on the Block, ale brzmienie Boyz II Men. Krótko mówiąc, żeby to były ładne, grzeczne, białe chłopaki, ale z dobrymi głosami.

Na przesłuchania w hangarze na sterowce zgłosiły się setki małoletów. Na placu boju zostali: Howie Dorough, AJ McLean, Brian Littrell, Nick Carter i Kevin Richardson. Chłopcy mili, nieszczerze charakterni, za to uśmiechnięci, sprawnie tańczący i nieźle śpiewający.

Backstreet Boys weszli na szczyt kuchennymi drzwiami. Ich producent Max Martin to dziś podziwiany współautor sukcesów m.in. Britney Spears, Katy Perry i Taylor Swift, ale wtedy był 24-letnim Szwedem bez dorobku, o którego wyborze zadecydował budżet. Okazał się Midasem, bo potrafił połączyć brzmienie amerykańskiego popu z beczelną przebojowością Abby. Kiedy za ocean dotarł



FOT. FRYDERYK GABOWICZ/AP

pisk europejskich nastolatków, ruszyła globalna machina promocyjna.

Dziś większym sukcesem niż 150 milionów sprzedanych płyt jest to, że pogardzani chłopcy z castingu są uznawani za klasyków popu i niezmienne przyciągają tłumy na koncerty. Na ten sobotni w Krakowie też. A że nie są już boybandem, tylko old-boyami? Cóż, cała różnica polega na tym, że ówczesne nastolatki są dziś mamami i na koncerty przyprowadzają córki. Piszczą razem, unisono. ●

Jarek Szubrycht

O fenomenie Backstreet Boys i tamtych czasach więcej w eseju Jarka Szubrychta ► [Wyborcza.pl/kultura](https://wyborcza.pl/kultura)

Cytat dnia

W Hollywood seks był towarem dla bogatych i wpływowych mężczyzn, jak mój klient. A teraz one będą grać rolę damy w opalach przeciwko bestii

ADWOKAT HARVEYA WEINSTEINA W SĄDZIE
Właśnie rozpoczął się kolejny proces producenta filmowego. Oskarżenie go o przemoc seksualną przez ponad 100 kobiet zapoczątkowało ruch #MeToo.

Wieziemy ciepło do Ukrainy

Już zebraliśmy

100 000

ZŁOTYCH

Dziękujemy!

Zbieramy dalej na konto Fundacji NIDAROS:
94 1020 2892 0000 5102 0837 7477



FOT. SŁAWOMIR KAMINSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Top 2 wybrane z tygodnia
Najważniejsze wydarzenia

Sobota-niedziela

Święto mola książkowego

1 Może Polacy jako zbiorowość nie czytają, ale podzbiór czytający wyrabia normy z nawiązką. I tworzy całą kulturę książkowo-literacką, czego dowodem frekwencja na targach. Te krakowskie zaczęły się w czwartek, ale większość spotkań zaplanowano na weekend. W sobotę – m.in. ze Szczepanem Twardochem, Mery Spolsky oraz z ukraińską książką dziecięcą. W niedzielę – z Markiem Krajewskim i Zośką Papużanką. Szczegóły na Ksiazka.krakow.pl.



FOT. SHUTTERSTOCK, THOMAS SANTOS/AP

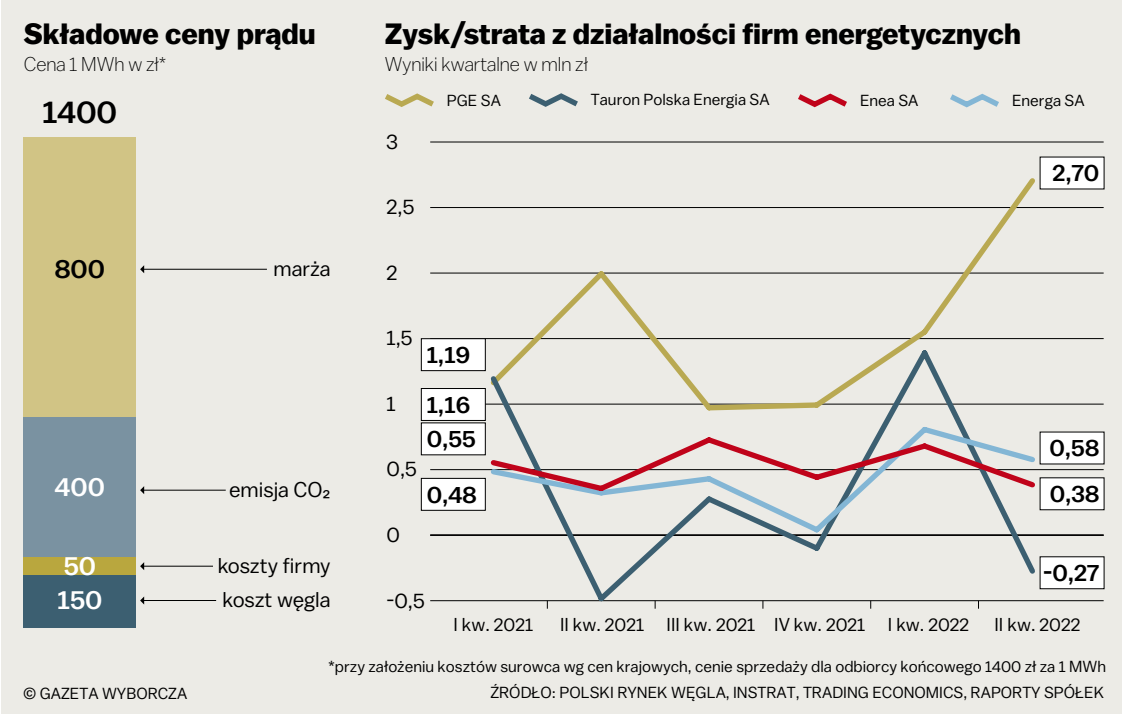
Niedziela

Brazylia wybiera

2 Brazylijczycy decydują, czy przez następne cztery lata ich krajem będzie nadal rządził prawicowy populistą Jair Bolsonaro, czy też władzę odzyska lewicowy weteran Luiz Inácio Lula da Silva. W pierwszej turze Lula wyprzedził Bolsonaro o 6 mln głosów, ale ów odrabia straty. Wsparła go m.in. supergwiazda futbolu – Neymar. Świat patrzy z uwagą, bo stawka w grze jest przyszłość puszczy amazońskiej. Bolsonaro zapowiada eksploatację, Lula – jej ochronę.



Wykres tygodnia
Elektrowni samo rośnie



Ile kosztuje przeciętną polską elektrownię wyprodukowanie 1 MWh prądu: koszt uprawnień do emisji – 70 euro, transport węgla – 50 zł, koszt węgla to 150 zł. Razem 600 zł. Wszystko ponad to to marża. Jeśli elektrownia sprzedaje nam prąd za 1400 zł za 1 MWh, to zarabia 50 proc. **Więcej ► BIQdata.pl**

Cenzura ma się dobrze

Szyderczy laur dla Polski

Rządzący naszym krajem dzierżą rekord w liczbie pozwów przeciwko mediom i krytykom

Stasiński



„SLAPP Country of the Year 2022” – tym przewrotnym tytułem obdarzyła Polskę koalicja CASE, czyli Coalition against SLAPP’s in Europe. O co chodzi? Kto się ośmiela nazywać Polskę krainą złośliwych pozwów przeciwko pyskatym i małuczkim wytaczanych przez tłuste koty? Dlaczego znowu drwią z naszej Ojczyzny? Skąd ten sarkazm?

Otóż Polska jest liderem w dziedzinie prześladowania mediów i tzw. sygnalistów przez ludzi u władzy i przez instytucje władzy. Polega to na nękanii nas pozwami, wezwaniami przedsądowymi, niczym nieuzasadnionymi żądaniem sprostowań, popartymi groźbą wytoczenia procesu, oraz oczywiście – samymi procesami i wyrokami.

Takie szykany za pomocą narzędzi prawnych są w istocie nadużywaniem prawa i dewastowaniem demokracji. Mają znaną w świecie nazwę: Strategic Lawsuits Against Public Participation (SLAPP), czyli „strategiczne pozwы przeciwko uczestnictwu w życiu publicznym”. Procederowi temu przeciwstawia się koalicja CASE, zrzesza ponad 40 organizacji pozarządowych z wielu krajów.

SLAPP-y to prawnicze palkarstwo. Służą ludziom możnym i wpływowym do tłumienia krytyki, zastraszania mediów i sygnalistów, odbierania obywatelom prawa do rzetelnej informacji. Stanowi rodzaj cenzury za pomocą in-

nnych metod, bo cenzura urzędowa jest od 1990 r. w Polsce zakazana.

„Gazeta Wyborcza” jest za rządów PiS „dyżurną” ofiarą tego procederu. Rok temu opublikowaliśmy raport (pod egidą Towarzystwa Dziennikarskiego), który wyliczał 180 ataków prawnych wymierzonych od 2015 r. przeciwko wolnym mediom przez potentatów uwiązanych do władzy albo wprost ją reprezentujących.

Aż 70 ataków dotyczyło naszej gazety. I liczba ta wciąż rośnie – dzisiaj jest ich prawie 100. Wciąż jesteśmy rekordzistą, bywają dni, gdy dostajemy kilkanaście pozwów, absurdalnych wniosków o sprostowanie lub zaprzestanie publikacji o danej osobie czy instytucji, wezwań przedsądowych, żądań usunięcia tekstu w internecie itp. Szczególnym kuriozum było żądanie usunięcia całego tekstu z wydania... drukowanego, wysunął je prawnik Narodowego Banku Polskiego. Ale wszystkie pięć spraw wytoczonych nam przez bank prezesa Głępińskiego wygraliśmy w sądzie.

Od 2015 r. dostaliśmy trzy pozwы od rządzącej partii i jej prezesa Jarosława Kaczyńskiego. Pierwszy, z 2019 r., dotyczył określenia „mafijne państwo PiS”, którego użył w komentarzu Wojciech Czuchnowski po bezprawnym ułaskawieniu Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. Po trzech latach dobrnęliśmy aż do Sądu Najwyższego, który naszą skargę kasacyjną uwzględnił i powództwo oddalił. Wygraliśmy też w Sądzie Najwyższym sprawę o 21 artykułów o osławionej i poronionej inwestycji spółki Srebrna w „dwie wieże” w Warszawie oraz o manipulacjach pisowskich funkcjonariuszy wokół warszawskich reperywizacji.

Nadal biegnie sprawa o ochronę dóbr osobistych wytoczona nam przez same-

go prezesa PiS za to, że opublikowaliśmy jego targi z austriackim biznesmenem, który budowę „dwóch wież” przygotowywał, ale Kaczyński odmówił mu zapłaty. Oburzony biznesmen rozmowy z Kaczyńskim skrycie nagrywał.

Strzela do nas z werwą Zbigniew Ziobro w wielu postaciach: jako osoba, jako prokurator generalny, jako minister (pozał się Boże) sprawiedliwości, jako ministerstwo w pełnym rynsztunku w osobach jego przybocznych. Takich ataków jest już ponad 20. Aż sześć pozwów dotyczyło jednego komentacza na temat rejestru pedofilów, i to mimo że chcieliśmy od razu opublikować sprostowanie uchybienia w tekście.

Bywają dni, gdy dostajemy kilkanaście pozwów, absurdalnych wniosków o sprostowanie lub zaprzestanie publikacji o danej osobie czy instytucji, wezwań przedsądowych, żądań usunięcia tekstu w internecie

Ministerstwo Ziobry – mimo że składa się z prawników na etacie – wynajmuje kancelarię zewnętrzną byłego asystenta ministra, Macieja Zaborowskiego. Dzięki temu prawnik świetnie prosperuje – za pieniądze podatników. Reprezentuje też w sprawach przeciwko „Wyborczej” szefa Orlenu Daniela Obajtka, któremu poświęciliśmy cykl demaskatorskich reportaży śledczych o jego krzątaniu na szkodę lokalnej firmy, kiedy był jeszcze wójttem Pcimia, oraz o jego wyjątkowo udanych transakcjach w nieruchomościach.

ściach. Spraw z Obajtkiem mamy siedem i wciąż przychodzą nowe.

Nie sposób wymieniać wszystkich 100 ataków na nas ze strony prawników ministerstw, spółek skarbu państwa czy poszczególnych polityków obozu rządzącego. Trzeba jednak wspomnieć o upartym nękanii „Wyborczej” przez Jacka Kurskiego i TVP – znowu za pieniądze publiczne. Raz chodzi o wypasione imprezy finansowane bez żenady z pieniędzy firmy, którą stale zasila budżet państwa, bo nie starcza jej z abonamentu. Innym razem o wykluczanie artystów z festiwalu piosenki w Opolu albo o to, że prezesa TVP zwolniono przedterminowo z izolacji covidowej, żeby zdążył na rozrywkowy event.

Podprezes, ulubiony propagandzista prezesa właściwego, nie miał też zahamowań, wytaczając nam trzy sprawy za artykuły, w których nasi dziennikarze opisali, jak to ochrania rze publicznej (niegdyś) telewizji usługują w prywatnych zakupach żonie Jacka Kurskiego. Kto nas za to ciąga po sądach? TVP.

Jak widać, „Wyborcza” ma (nie)chlubną zasługę w przyznaniu Polsce lauru „SLAPP Country of the Year”. Ale dość narzekania. Taki nasz zawód, taka karma. Krytykować władzy nie przestaniemy, niedoczekanie wasze... **Piotr Stasiński**

PS: Art. 19 Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka, Paryż, 1948 r.:

Każdy człowiek ma prawo do wolności poglądów i wypowiedzi; prawo to obejmuje nieskrępowaną swobodę posiadania poglądów oraz poszukiwania, otrzymywania i rozpowszechniania informacji oraz idei wszelkimi środkami i bez względu na granice.

ATEIŚCI TEŻ CHCĄ IŚĆ DO NIEBA

Nawet jeśli mózg martwej myszy nie działa, to mysz wciąż myśli

KASPER KALINOWSKI

Pomimo że konkretna forma wierzeń w życie pozagrobowe różni się, często radykalnie, w zależności od tradycji religijnej, to nie znamy społeczności, w której większość ludzi nie wierzyłaby, że umysł jest w stanie przetrwać śmierć. A dowody archeologiczne sugerują, że życie pozagrobowe od zawsze stanowiło centralną cechę systemów ludzkich wierzeń – mówi „Wyborczej” prof. Jesse Bering z nowozelandzkiego University of Otago, czołowy badacz religijności z perspektywy ewolucyjnej.

MARTWA MYSZKA CZUJE GŁÓD

W pierwszej edukacyjnej książce dla dzieci wydanej w Wielkiej Brytanii w 1705 r. „Świat rzeczy oczywistych dla zmysłów” (The World of Things Obvious to the Senses) znalazła się ilustracja... duszy. Po ponad 300 latach może to budzić śmiech, jednak jeśli słowo „zmysły” zastąpilibyśmy „umysłem”, obserwacja pozostaje jak najbardziej aktualna. Niemal dwie dekady badań potwierdzają, że ludzki umysł jest predysponowany do religijności i wierzeń w życie pozagrobowe. Już czteroletnie dzieci twierdzą, że pewne stany, zwłaszcza mentalne, trwają nadal po śmierci.

Odkryłem, że nawet przedszkolaki, które nie miały żadnego kontaktu z religią, wierzą, że zmarli zachowują zdolności psychiczne, takie jak emocje i intencje. Wyniki zostały później powtórzone w kilku różnych kulturach. Najpewniej wiara w życie pozagrobowe jest „domyślnym trybem” w przypadku naszego gatunku, choć oczywiście intuicje mogą być wzmocnione przez religijne nauczanie albo odrzucone w wyniku edukacji naukowej i materialistycznego rozumienia funkcjonowania mózgu – opowiada prof. Bering.

On i David Bjorklund pokazywali dzieciom i dorosłym przedstawienie kukielkowe, w którym myszkę zabijał i zjadał aligator, po czym pytali o biologiczne i psychologiczne funkcje martwej myszy. Przedszkolaki doskonale rozumiały, że rozmaite funkcje biologiczne, jak zdolność do chorowania, potrzeba jedzenia i picia czy załatwiania się, ustały w momencie śmierci. Większość dzieci twierdziła nawet, że mózg martwej myszy nie funkcjonuje.

Jednak na pytanie, czy martwa mysz jest głodna lub czy wciąż myśli, większość przedszkolaków odpowiadała twierdząco. Innymi słowy, maluchy były świadome faktu, że ciało przestało pracować w chwili śmierci, ale postrzegały umysł jako aktywny. Co więcej, zarówno dzieci, jak i dorośli byli bardziej skłonni przypisywać zmarłej myszy pewne stany psychiczne (jak emocje czy pragnienia) niż inne (jak percepcja). Rok później wyniki powtórzono u dzieci ze szkoły świeckiej i religijnej.

Odkrycie interpretuje się jako dowód przeczący temu, że wiara w życie pozagrobowe jest wynikiem wpływu uczenia się i środowiska – przedszkolaki były bardziej skłonne przypisywać psychologiczne atrybuty martwej myszy niż dzieci starsze, które nie różniły się pod tym względem od dorosłych.

W przełomowym badaniu prof. Paula Blooma, psychologa z Yale, 12-miesięczne dzieci obserwowały dwie figurki, z których jedna zdawała się ścigać drugą. Dzieci były zdziwione, gdy goniąca figurka zaczęła się poruszać po innym niż optymalny torze ruchu albo rezygnowała z pościgu. To właśnie różnice w reakcjach na „obiekty fizyczne” (które podlegają prawom fizyki) oraz „obiekty psychofizyczne” (które zdają się realizować własne cele) świadczą o naszym wrodzonym dualizmie. Postrzegamy w ten sposób świat – wypełniony rzeczami (ciałami) i umysłami (mające swoje intencje) – na długo przed wypowiedzeniem pierwszego słowa i rozpoczęciem edukacji. Ten dualizm pomógł nam stworzyć sztukę i religię.

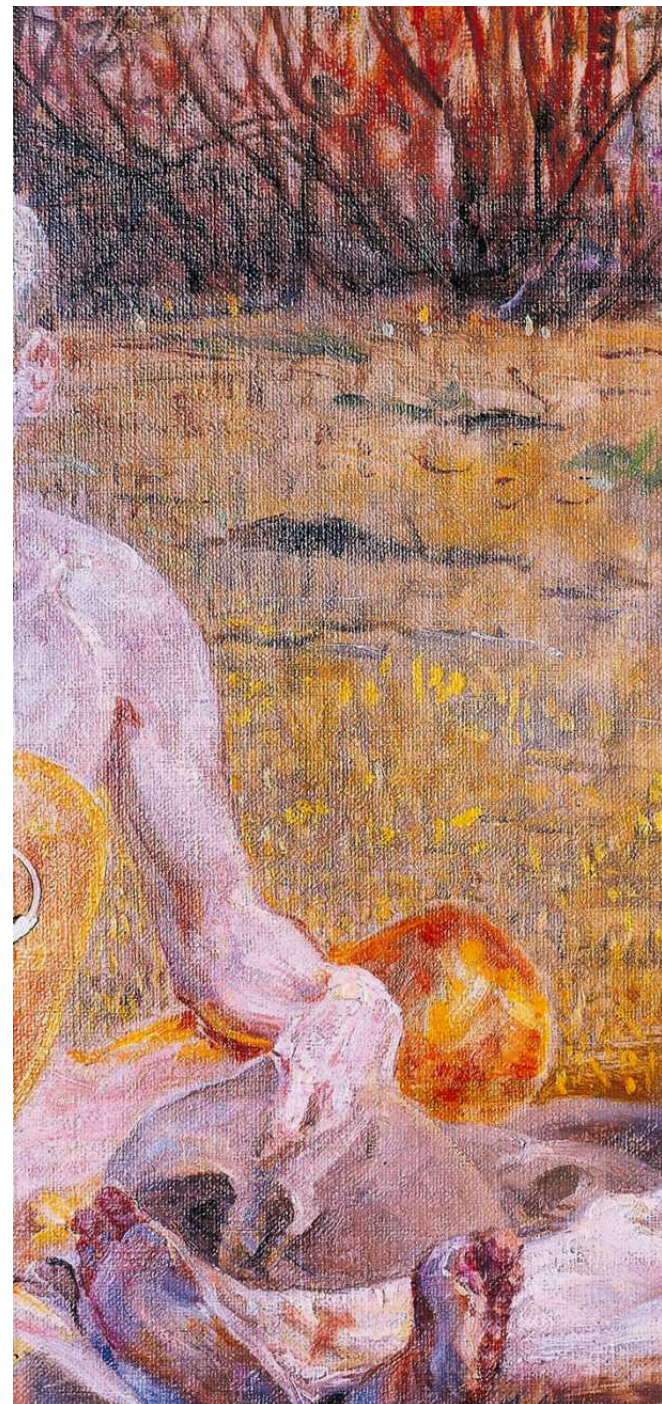
Badania Paula Blooma pokazują, że ludzie mają naturalną skłonność do postrzegania ciała i umysłu jako dwóch odrębnych substancji, które mogą, choć nie muszą, współwystępować. Oznacza to, że przekonania o „życiu po życiu” są często poznawczo intuicyjne, co może tłumaczyć tak duże ich rozpowszechnienie, nawet poza kręgiem osób religijnych – zauważa dr Paweł Łowicki, psycholog z UW oraz psychoterapeuta w Poradni Zdrowia Psychicznego Psychoklinika.

Jak wskazuje Pascal Boyer, autor głośnej książki „I człowiek stworzył bogów”, specyficzna treść koncepcji życia pozagrobowego, która łamie prawa fizyki – duch jest osobą pozbawioną ciała, zombi ma ciało, ale jest pozbawione umysłu – sprawia, że z łatwością je zapamiętujemy i przekazujemy innym. Przekonanie, że duchy przodków wędrują po świecie, po śmierci przenoszą się z jednego ciała do drugiego lub że dusze po śmierci przenoszą się do innego świata, jest rozpowszechnione w niemal wszystkich kulturach. Jedyny wyjątek stanowią zamieszkujące amazońską puszcę Pirahã. W ich społeczności nieobecne są mity czy opowieści o stworzeniu, a wszystkie informacje są zapominane najpóźniej w drugim pokoleniu.

WŁASNA RELIGIA NA BEZLUDNEJ WYSPIE

Czy wrodzony dualizm oznacza, że dzieci urodzone na bezludnej wyspie stworzyłyby własną religię, w której znalazłoby się miejsce na zaświaty?

Profesor Konrad Talmont-Kamiński, badacz poznawczych i ewolucyjnych podstaw religii z Uniwersytetu w Białymstoku, nie ma wątpliwości. – Jak najbardziej, o ile tylko żyłyby w odpowiednich warunkach i przy braku nowoczesnego państwa, które zapewniłoby bezpieczeństwo i poziom bytu. Jak zauważa kognitywista Robert McCauley, religia jest czymś, co było naturalne w większości warunków, w jakich żyli ludzie. Dlatego w ramach projektu „Religia, ideologia i prospołeczność: Symulowanie sekularyzacji społeczeństw” badamy z naszymi partnerami w Norwegii to, w jaki sposób zmiany społeczne doprowadziły do sytuacji, w której wiara staje się wy-



jątkiem, a nie regułą. Ludzkie umysły są takie same, więc różnice muszą leżeć gdzie indziej.

62 PROC. POLAKÓW WIERZY W ZMARTWYCHWSTANIE

Z każdych badań wychodzi, że więcej osób wierzy w istnienie nieba niż piekła. Jeszcze w 2015 r. 82 proc. Polaków wierzyło, że Bóg wysłuchuje modlitw (ponad 40 proc. nie miało wątpliwości). Przy najmniej dwie trzecie wierzyły w sąd ostateczny, w niebo, w cuda, których nie można wyjaśnić za pomocą dostępnej wiedzy, w nieśmiertelność ludzkiej duszy, w życie pozagrobowe. Nieco rzadziej Polacy deklarowali wiarę w zmartwychwstanie zmarłych (62 proc.). Ale w piekło wierzy 56 proc. badanych, w tym tylko 25 proc. w sposób zdecydowany.

Mimo że niektórzy wskazują nawet na konkretne miejsce, gdzie znajdują się zaświaty – dr Jack Van Impe, popularny za oceanem teleewangelista, obwieścił, że czarne dziury spełniają wszelkie techniczne kryteria lokalizacji piekła (sześć lat później ogłosił, że koncepcyjne podstawy konstrukcji samochodu można odnaleźć w Biblii). Cóż – w 1588 sam Galileusz na zaproszenie Akademii Platońskiej we Florencji wygłosił dwa wykłady, w których podjął próbę oszacowania topografii piekła. Korzystając z „Boskiej komedii” oszacował, że pokrywa piekła musi mieć sześćset kilometrów grubości, i dopiero po latach zdał sobie sprawę, że wszyscy znajdujący się pod tak gigantyczną kopułą zostaliby zmiażdżeni.

W 1997 r. w „US News & World Report” zapytano Amerykanów, kto ma „pewne szanse” na trąfienie do nieba. Bill Clinton uzyskał 52 proc. głosów, księżna Diana 60 proc., na matkę Teresę wskazało niemal 80 proc. Zdobywca pierwszego miejsca nie powinien dziwić – 87 proc. wskazało siebie samych.

Jak zauważył Neil Weinstein, psycholog z Rutgers University, wydaje nam się, że nieszczęścia dotyczą raczej innych. Zjawisko nazwał „nierealistycznym optymizmem”. W swoich badaniach prosił ludzi o oszacowanie szansy tego, że w ich życiu wystąpią zdarzenia pozytywne, jak udana kariera zawodowa i dobre zdrowie. A potem o oszacowanie zdarzeń



**Proste wyjaśnienie,
że religię wymyślono, żeby złagodzić
strach przed śmiercią,
nie bierze pod uwagę, że większość
przekonań religijnych wcale nie
przedstawia takiej optymistycznej
wizji życia pozagrobowego,
jaką proponuje chrześcijaństwo**

z katalogu ludzkich nieszczęść, np. wypadków. Przeszacowywali te pierwsze – zdarzenia szczęśliwe.

Na siebie patrzymy przez różowe okulary, a na innych z pełnym pesymizmem. Gdy Brytyjczyków pytano o sytuację ekonomiczną, byli przekonani, że ich własna się poprawi, ale w skali kraju ulegnie pogorszeniu. W przypadku zaświatów jest oczywiście podobnie.

ATEIŚCI CHCĄ PÓJŚĆ DO NIEBA

Polska należy do najszybciej laicyzujących się krajów świata – w ciągu ostatnich 25 lat spadek deklaracji wiary w Boga u młodzieży wyniósł 20 proc., a praktyk religijnych 50 proc. Gdy w 2018 r. Pew Research Center porównała religijność ludzi przed czterdziestką i po czterdziestce w 108 państwach, w Polsce odnotowano największy spadek z generacji na generację. Cotygodniowe uczestnictwo w mszach deklaruje 55 proc. ludzi powyżej 40. roku życia. Wśród młodszych – tylko 26 proc. Ranking zamykały Belgia, Holandia i Francja, gdzie sekularyzacja nastąpiła znacznie wcześniej.

Profesor Talmont-Kamiński: – To fascynujące, jak różne formy przyjmuje sekularyzacja. W jednych przypadkach to śmierć Kościołów i przejęcie wszystkich ich funkcji społecznych przez instytucje laickie.

Ale w innych przypadkach to same Kościoły i obrzędy ulegają sekularyzacji. Dzisiejszy Kościół angikański przodkowie uznaliby za apostatów. A w Norwegii bierzmowanie stało się obrzędem zwykle całkowicie świeckim.

Jednego możemy być pewni. Zabobony, myślenie magiczne, jakaś forma rytuałów i przesady nie znikną ze świeckich społeczeństw. Stanowią część ukształtowaną w toku ewolucji wyposażenia naszego umysłu, niezależną od instytucjonalnych religii, które pojawiły się stosunkowo niedawno.

– To nie tak, że poglądy o istnieniu bytów nadprzyrodzonych są akceptowane z racji istnienia religii. Jest wręcz odwrotnie. Historycznie rzecz ujmując, akceptacja danej religii najczęściej oznacza odrzucenie innego światopoglądu zawierającego wiarę w inne byty nadprzyrodzone. Dlatego kiedy zinstytucjonalizowane religie tracą siłę, pojawia się znów wielka różnorodność przekonań.

Doktor Paweł Łowicki: – Przekonanie o istnieniu zaświatów czy jakiejś formy „życia po śmierci” nie musi występować wyłącznie u osób religijnych. Jak pokazują najnowsze badania międzykulturowe, nawet wśród osób, które identyfikują się jako niewierzące lub ateści, większość wciąż ma pewne przekonania dotyczące rzeczywistości nadprzyrodzonej, nawet pomimo niechęci do jakichkolwiek zorganizowanych form religijności czy odrzucenia wiary w istnienie bytów nadprzyrodzonych.

W CZORAJ MAMA, TATA, DZIECKO, DZIŚ ZAGROŻENIE EPIDEMIOLOGICZNE

Konfrontacja ze skończonością i stratą na początkowym etapie życia jest czymś abstrakcyjnym i nieobecnym – pojawia się wraz z wiekiem, często po utracie bliskich. Nie powinno dziwić, że śmierć jest pojęciem, które wyjątkowo trudno zrozumieć nie tylko dzieciom. Bo jak wskazuje wielu ekspertów, to, co żywe, i to, co martwe, pod względem percepcyjnym jest zbliżone.

Językoznawcy George Lakoff i Mark Johnson, autorzy słynnej książki „Metafory w naszym życiu”, to pio-

• **Jacek Malczewski, „Moja dusza”, z cyklu „Moje życie”, 1917**

FOT. BE&W

nierzy badań nad metaforycznym charakterem języka i myślenia. Ich zdaniem „metafora jest takim samym i równie cennym elementem naszego funkcjonowania co zmysł dotyku”. Według nich u podstaw potocznego rozumienia śmierci leży metafora miejsca – „istnienie jest zlokalizowane tutaj”, a kres istnienia jest opisywany jako „odejście”. Traktujemy więc śmierć jako nieobecność, a o zmarłych mówimy tak, jakby ich nie było w konkretnym miejscu („odszedł”) – ale ponieważ istnienie rozumiane jest w kategoriach miejsca, śmierć nie jest rozumiana jako całkowite unicestwienie jednostki, ale raczej jako zmiana miejsca pobytu.

Być może używanie takich terminów w połączeniu z przekonaniem o dalszej egzystencji tych, których kochamy, łagodzi ból. Profesor Talmont-Kamiński: – Osoba, którą nadal kochamy, nagle stała się przedmiotem nieożywionym, który wręcz stanowi zagrożenie sanitarno-epidemiczne. Wtedy nasze wrodzone tendencje często ożywają i w idei, że nasi bliscy ciągle w jakiejś formie istnieją, szukamy rozwiązania dla skonfliktowanych emocji.

Jak udowodnił dr Marcin Kuczek, językoznawca z Uniwersytetu Śląskiego, analizując Narodowy Korpus Języka Polskiego (zbiór 250 milionów wyrażeni), również w przypadku języka polskiego śmierć opisujemy w kategoriach metafory. Mówimy, podobnie jak użytkownicy angielszczyzny, o „początku podróży” (choć w języku polskim kilkakrotnie rzadziej), „odpoczynku”, „śnie” czy „początku nowego życia”; po tę metaforę sięgamy najrzadziej. Może dlatego, że w ogóle Polacy mówią o śmierci bardziej pesymistycznie niż Amerykanie.

DLACZEGO NEANDERTALCZYK NIE CHODZIŁ DO KOŚCIOŁA

Nie byłoby religii ani wiary w zaświaty, gdyby nie wyjątkowo rozwinięta w przypadku *Homo sapiens* zdolność. To teoria umysłu – umiejętność wczucia się w sytuację innej osoby, zrozumienia, że ktoś może mieć inną wiedzę, odmienne zdanie czy światopogląd, inne cele, zamiary, potrzeby niż my sami. Czyli teoretyzowanie na temat nieobserwowalnych stanów mentalnych.

Z badań Robina Dunbara, światowej sławy psychologa z Oksfordu, wynika, że dla większości z nas granica rozumienia przebiega pomiędzy piątym a szóstym poziomem. W skrócie – większość z nas może mieć problemy z następującym zdaniem: „Jestem przekonany (1), że ty chcesz (2), bym ja sądził (3), że ty nie wiesz (4), że ja oczekuję (5), byś ty pragnął wyjechać (6)”.

W niewydanej po polsku książce „Jak ewoluowała religia i dlaczego przetrwała” (How Religion Evolved: And Why It Endures) Dunbar twierdzi, że intencjonalność czwartego rzędu to minimum, jeśli chodzi o osobiste formy religii, a w pełni rozwinięta religia jako praktyka wspólnotowa jest niemożliwa bez intencjonalności piątego rzędu. Aby istniała religia, musimy być w stanie rozmawiać o zaświatach.

Jeśli język jest potrzebny do wyjaśnienia natury symboli lub istnienia świata, którego nie możemy zobaczyć, to religia nie mogła powstać przed językiem. Możemy mieć język przy braku religii, ale nie ma religii bez języka. Dunbar utrzymuje, że kuzyni *Homo sapiens*, jak np. neandertalczyki, którzy posługiwali się językiem, ale dysponowali jedynie intencjonalnością czwartego rzędu, mogli być religijni i mieć osobiste doświadczenia religijne. Nie mogli po prostu utworzyć zorganizowanej formy religii.

– Jedną z cech ludzkiego umysłu, którego zdaniem kognitywistów odróżnia nas od innych zwierząt, jest wyspecjalizowana zdolność do myślenia o tym, co myślą inni. Teoria umysłu może być do pewnego stopnia obecna także u innych gatunków, takich jak psy czy szympansy, ale nie ma wątpliwości, że jesteśmy „naturalnymi psychologami” królestwa zwierząt. Gdyby nie ta ukształtowana w toku ewolucji zdolność przyjęcia perspektywy innych, nie moglibyśmy nawet zacząć zastanawiać się nad tym, co dzieje się po śmierci, ponieważ wiąże się to z myśleniem o umysłach zmarłych ludzi. W tym o naszych własnych przyszłych jaźniach i o tym, czego będziemy doświadczać – mówi prof. Jesse Bering.

Gdy wiemy o teorii umysłu, nie powinna nas dziwić mnogość wyobrażeń zaświatów. Średniowieczne europejskie relacje „stamtąd” są pełne opisów cudownych zapachów (miasta w tym czasie nie należały do szczególnie czystych), a arabskie pełne wody (Półwysep Arabski to niemal 3 miliony kilometrów kwadratowych pozbawione rzek).

Problemy z teorią umysłu przejawiają cierpiący na autyzm. Zdaniem niektórych ekspertów to tłumaczy, dlaczego są mniej religijni. Im większe natężenie autyzmu, tym mniejsze rozróżnianie odkrytego przez Blooma świata „umysłów” i „przedmiotów”.

NIE PLOTKUJ, STWÓRCA PATRZY

Świadomość innych umysłów rodzi problem plotek. W książce „The Belief Instinct” (Instynkt wiary) prof. Bering wskazuje, że wiara w byty nadprzyrodzone może być tu bardzo użyteczna.

– Nasi wcześniei przodkowie stanęli przed wyjątkowym problemem adaptacyjnym, jakim były plotki. W przeciwieństwie do innych gatunków nasza reputacja jest kształtowana przez „nieobecne osoby trzecie”, co oznacza, że musimy się martwić nie tylko o natychmiastowy odwet ze strony tych, którzy bezpośrednio dostrzegają nasze niewłaściwe zachowania, ale również o długofalowe konsekwencje tego, że inni dowiadują się o nas z drugiej ręki, pocztą pantoflową. Ponieważ mamy skłonność do niedocenia-
nia ryzyka złapania, poczucie, że nie jesteśmy sami, lecz obserwowani, ocenia-
ni i karani przez niewidzialne siły, poma-
ga ograniczyć nasze egoistyczne decyzje.

W ostatecznym rozrachunku pomogło to zapobiec impulsywnym decyzjom, które mogłyby narazić na szwank reputację jednostki, a w rezultacie zmniejszyć sukces reprodukcyjny.

GŁÓWNI CHRZEŚCIJANIE SĄ OPTYMISTAMI

No dobrze, a co z pierwszym nasuwającym się wyjaśnieniem wiary w zaświaty – zwyczajnym lękiem przed śmiercią?

Popularne jeszcze kilkadziesiąt lat temu teorie wskazujące na jedno, konkretne źródło religii – według filozofa Ludwiga Feuerbacha chodziło właśnie o radzenie sobie ze świadomością śmierci, według klasyka antropologii Bronisława Malinowskiego szerzej, o lęki egzystencjalne – są już nie do utrzymania. Profesor Talmont-Kamiński: – Raczej szuka się szeregu mechanizmów, które zostały ukształtowane przez ewolucję do pełnienia funkcji zwykle zupełnie niezwiązanych z religią, które pomagają generować przekonania, zachowania oraz doświadczenia na różne sposoby, w różnych kontekstach kulturowych składające się na religię.



Wiara w życie po życiu jest naturalna – ludzie mają gatunkową skłonność do postrzegania ciała i umysłu jako dwóch odrębnych substancji, które mogą, choć nie muszą, współwystępować

Bo religia jest zbyt złożonym i zróżnicowanym zjawiskiem, żeby jedna odpowiedź była wiarygodna. Weźmy właśnie strach przed śmiercią.

– Z jednej strony szczegółowe badania, jak prace behawiorysty Jonathana Jonga, wskazują, że tego rodzaju strach ma zasadniczo niewielki i rzadki wpływ na ludzkie poglądy. Z drugiej strony to proste wyjaśnienie nie bierze pod uwagę wielkiej różnorodności przekonań religijnych, z których większość wcale nie przedstawia takiej optymistycznej wizji życia pozagrobowego, jaką proponuje chrześcijaństwo – komentuje prof. Talmont-Kamiński.

Doktor Paweł Łowicki: – Lęk przed śmiercią jest zjawiskiem powszechnym, choć ludzie mogą oczywiście różnić się poziomem nasilenia i uświadomienia go sobie. W psychologii egzystencjalnej zakłada się, że lęk przed śmiercią jest w istocie głębszym podłożem wielu innych lęków, z którymi ludzie borykają się w codziennym życiu. Ogólnym sposobem na redukcję lęku przed śmiercią może być próba akceptacji własnej śmiertelności.

Psychoterapeuta wymienia trzy metody takiego oswojenia. Po pierwsze, na śmierć można spojrzeć jako na ucieczkę od cierpienia i bólu w życiu. Po drugie, można się odwołać właśnie do przekonań o istnieniu jakiejś formy pożądanego „życia po śmierci”. Wreszcie można spojrzeć na śmierć jako na naturalny element życia, coś, co jest poza kontrolą człowieka i jako takie nie powinno być źródłem naszego zmartwienia. Pobrzmiewa w tym filozofia stoicka, która uczy obojętności wobec rzeczy, które nie są od nas zależne.

W kategoriach psychologicznych konsekwencje lęku przed śmiercią najdokładniej opisuje teoria opanowania trwogi.

Doktor Łowicki: – Ludzie podejmują różnego rodzaju działania służące przedłużeniu życia, w sensie dosłownym i symbolicznym. W dosłownym starają się znaleźć coraz to nowe sposoby na wyleczenie chorób czy długowieczność. W wymiarze symbolicznym dążą do upewnienia się, że po biologicznej śmierci zostawią w świecie jakąś trwałą spuściznę, np. w postaci potomstwa czy osiągniętych sukcesów. Lecz w praktyce oznacza to też, że ludzie są często silnie przywiązani do określonego światopoglądu, np. religijnego, który jest dla nich źródłem sensu.

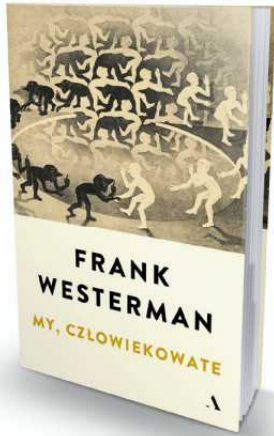
FAJNY FILM WIDZIAŁEM PRZED ODEJŚCIEM

Ale skądkolwiek by się wzięła nasza refleksja nad życiem po śmierci oraz świadomość własnej śmiertelności i jakkolwiek byśmy się z nią obchodzili, to problem, który towarzyszy wyłącznie ludziom.

– Badanie rozumienia śmierci przez inne gatunki jest trudnym zadaniem. Psychologowie porównawczy podejmowali próby, ale większość jest narażona na zarzut antropomorfizowania. Myślę, że tylko my jesteśmy obciążeni nierozstrzygalnym pytaniem o to, co będzie dalej, co jest sytuacją nie do pozazdroszczenia – podsumowuje prof. Bering.

Może to obciążenie nieco zmniejszyła dokonana w tym roku po raz pierwszy w historii rejestracja aktywności umierającego ludzkiego mózgu. Zarejestrowany przez naukowców wzór aktywności oscylacji alfa i gamma u osób zdrowych oznacza zaangażowanie w procesy poznawcze i przywoływanie pamięci. Jeden z autorów badania, dr Ajmal Zeman, neurochirurg z University of Louisville, pociesza: – Chociaż nasi bliscy mają zamknięte oczy i są gotowi nas opuścić, ich mózgi mogą w tym czasie odtwarzać niektóre z najprzyjemniejszych chwil, jakie przeżyli w życiu. ●

Co odróżnia *Homo Sapiens* od innych zwierząt? Zdolność do samozagłady. Więcej w książce Franka Westermana „**My, człowiekowate**”. Książka dostępna na KulturalnySklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl.



wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA: ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imieliński, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiczonek, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAPHIC: Dariusz Filippek, Tomasz Lebiada, Krzysztof Pietrasik

WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



Wolę
powąchać
drukarską
farbę

Jakaś wyrwa po Kościele pozostała, nawet jeśli buńczucznie temu zaprzeczamy.



Marcin Matczak

Kościół katolicki odgryza się zza grobu – taka już jego chrześcijańska natura. Niby pochowany, niby papież Polak zdjęty ze wszystkich piedestałów, niby Dawid Podsiadło ostatni cios osinowym kołkiem zadaje, bo właśnie ogłosił chęć apostazji, a tu kłops: ludzie książki piszą, że bez religii ani rusz. A w każdym razie bez rytuałów, których dostarczała nam religia, a które teraz trzeba sobie w świecki sposób zorganizować, żeby całkiem nie zwariować.

Interesuje mnie ten deficyt rytuałów, który nam ponoć doskwiera, bo interesuje mnie, jak ludzie decydują, co ze swoim życiem zrobić i jak sobie z chaotycznym światem

tem poradzić. Przez wieki ludzkość kierowała się w tej kwestii tradycyjnymi regulacjami, często religijnymi właśnie, ale nagle została osierocona, bo Kościół matka pozostał, ale nie mógł już być matką. Wzrostł i stał się samobójstwem moralnym. Jasne jest dla wielu, że po tej wielowymiarowej kompromitacji już ważnej roli w kierowaniu naszym życiem odgrywać nie będzie. Nawet ci, którzy taką szansę widzą, mają świadomość, że tradycyjny przekaz religijny stał się całkowicie nieatrakcyjny formalnie. Ale wyrwa jakaś pozostała, nawet jeśli buńczucznie temu zaprzeczamy.

Piszą o niej Byung-Chul Han w „Zniknięciu rytuałów” i Casper ter Kuile w „Sile rytuału”, dwóch bestsellerach, które stawiają jasną tezę – religia straciła znaczenie w naszym życiu, ale potrzeba rytuałów wciąż z nami jest. Według Antoine’a de Saint-Exupéry rytuał jest symboliczną interakcją z ciągle zmieniającym się światem i próbuje zmianę udomowić. Jak pisze Han, rytuał jest dla czasu tym, czym dom jest dla przestrzeni – zmienia świat w miejsce godne zaufania. Ale dzisiaj czas nie jest domem, ale nieregularnym strumieniem, rozpada się na szereg tańszych, z których jedna nie ma żadnego związku z drugą. Jak rolka na Instagramie, gdzie obok cierpiącego konia Mbappé strzela kolejnego gola, powódź pochłania czyjś dom w towarzystwie najlepszego przepisu na stek, a temu wszystkiemu akompaniuje dziecko grające na skrzypcach w kolejnym talent show.

Według ter Kuile powtarzalność rytuałów, które zapewniała religia, jest nam potrzebna, nawet jeśli religii nie potrzebujemy. Możemy nie obchodzić szabatu, ale ogłoszenie jednego dnia w tygodniu Dniem Odłączenia, dniem elektronicznego detoksu od zalewu informacji, które gnają przez nasz smartfon, ma ciągle sens. Niby nie potrzebujemy już tradycyjnych pielgrzymek, ale chodzenia po górach i kontemplowania natury tak. Adoracja, która w kontek-

ście religijnym oznacza skupienie na czymś innym niż ja sam, powraca w idei mindfulness – uważności, pełnego skupienia na czynności czy przedmiocie. Wspólne czytanie powieści i dyskusja nad jej interpretacją są ponoć pozostałością po wspólnym czytaniu świętych ksiąg, elemencie niemal każdej religii. A zbiorowe terapie, które toczą się na spotkaniach anonimowych alkoholików, są podobno współczesnym odpowiednikiem powiedzi: wyznania swojej słabości i zobowiązania się do walki z nią.

W świecie, w którym pędzą i biedni, i bogaci, rytuały umierają. U tych pierwszych traci znaczenie wspólne spożywanie posiłków. U tych drugich Boże Narodzenie na Dominikanie i Wielkanoc na Malediwach, delikatnie mówiąc, zaburza naturalny przepływ pór roku, którego śledzeniem zajmował się kiedyś kalendarz liturgiczny. Z rzeczy niezmiennych nic już nam nie zostało, zwłaszcza gdy umarła królowa Elżbieta. Duża część żalu po niej to poczucie, że dopóki była, dawała złudzenie niezmienności. Ale już nie daje.

W świecie bez rytuałów są i jasne punkty. Weźmy muzykę, a zwłaszcza streaming oferowany przez takie usługi jak Spotify. W czasie, kiedy za darmo (z reklamami) albo za kilkanaście złotych miesięcznie (bez) ludzie mogą mieć dostęp do internetowej szafy grającej, w której zmieszczono całą muzykę świata, wraca zamilowanie do winyli. Czyż nie jest to zagadka wręcz religijna? Możesz jednym ruchem kciuka przejść od Abby do Behemoth albo od Beethovena do Eda Sheerana, a wolisz kupić niepojętną, łatwą do porzucenia czarną płytę jednego artysty, wolisz ją delikatnie wyciągnąć z opakowania, przegladnąć się w niej, oczyścić szczoteczką z kurzu i drżącą ręką nastawić delikatną igłę. Wszystko po to, żeby posłuchać trzech utworów, których kolejności nie możesz zmienić, i za chwilę zacząć całą celebrację od nowa. Czy też tak

macie, że wolicie wziąć do ręki papierową książkę i powąchać drukarską farbę, mimo że elektroniczny czytnik e-booków zajmuje wiele mniej miejsca w naszej wiecznie podróżującej torbie?

Być może to dlatego, że, jak pisała Hannah Arendt, artefakty mają trwałość, która daje im względną niezależność od ludzi, i dzięki temu mogą stabilizować nasze życie. Zdjęcie pradziadka, suknia ślubna babci, zegarek wujka, który zginął na wojnie. „Ich obiektywność polega na tym, że ludzie, mimo ich ciągle zmieniającej się natury, mogą odzyskać swoje bycie-tym-samym, a więc swą tożsamość, przez relacje do tego samego krzesła i tego samego stołu”.

Ale smartfon nie jest takim stabilizującym artefaktem. Zamiast dawać nam poczucie delikatnego obcowania z rzeczą, którego pierwowzorem według Hana jest zachowanie kapłana z troską i delikatnością trzymającego kielich, niszczy nasz spokój. Zamiast szanować rzeczy, konsumujemy je. A co gorsza, przez smartfon konsumujemy także emocje. W przeciwieństwie do rzeczy można je konsumować w nieskończoność. Aż do młodości.

I Han, i ter Kuile mówią, że ludzie znajdują substytut religijnych rytuałów i poczucia wspólnoty w grupie uprawiającej crossfit, w klubie czytelnictwa, w działalności politycznej. Powstaje pytanie, czy to pełnoprawne substytuty. Czy crossfit pomoże, kiedy życie uderzy z całą brutalnością? Czy wspólne czytanie „Harry’ego Pottera”, „Anny Kareniny” czy nawet Myśliwskiego wyznaczy kierunek, w którym należy pójść? Wątpię i nie wiem, co z tą wątpliwością zrobić. Może mój sekularny rytuał cotygodniowego pisania felietonów jakoś pomoże. ●

***Marcin Matczak** – profesor nauk społecznych, zajmuje się filozofią prawa, teorią konwencji społecznych, filozofią języka i teorią interpretacji. Wykłada na UW

The image is a promotional poster for the book 'Chłód' by Szczepan Twardoch. The background is a close-up, high-contrast photograph of a man's face, focusing on his eye and beard. In the center, the book cover is displayed at an angle. The cover has a dark, textured background with a large, detailed illustration of a hand with red, branching veins. The title 'CHŁÓD' is written in large, white, distressed capital letters, and the author's name 'SZCZEPAN TWARDOCH' is at the top. The spine of the book also shows the title and author's name. At the top left, the text 'NOWA POWIEŚĆ' is written in large, red, distressed capital letters. At the bottom left, the publisher's logo 'WYDAWNICTWO LITERACKIE' is shown, along with social media icons for Facebook, Instagram, and Twitter, and their respective URLs.

**Oswojenie się ze śmiercią
wygląda inaczej, kiedy
można postawić grób.
W naszym przypadku
pozostają przypuszczenia.**

Z KRZYSZTOFEM, JANEM, FRANCISZKIEM
I STANISŁAWEM BERBEKAMI, SYNAMI
ALPINISTY MACIEJA BERBEKI,
ROZMAWIA ARTUR ZABORSKI

MIL OŚĆ WYSOKOGÓRSKA

Czym dla synów Macieja Berbeki jest himalaizm?

KRZYSZTOF: Trudne pytanie i nie mam jednoznacznej odpowiedzi. Z jednej strony naszą rodzinę w dużej mierze ukształtował himalaizm ojca, a to, że się wspinał, miało na nas wpływ. Zaraził nas tym, a także ciekawością świata. Nie wyobrażamy sobie życia bez gór. **FRANCISZEK:** Na pewno nie jesteśmy źli na góry. Szanujemy je, tak jak i ludzi, którzy się wspinają. Góry to część historii naszej rodziny, nieustannie nas kształtują i co jakiś czas przewijają się w naszych życiach.

KRZYSZTOF: Każdy z nas przemierza je inaczej, ale robimy to wszyscy. Każdą wolną chwilę chciałbym spędzać w Tatrach, odpoczywam tutaj, góry są dla mnie bardzo ważne. Ale ojciec zaszczerpił w nas wszystkich także świadomość, że są wyjątkowo niebezpieczne. Zginął w nich, chociaż był bardzo ostrożny. Zawsze uważał i dbał, żeby nic się nikomu nie stało. Wytworzył w nas poczucie, że idąc z nim, będziemy bezpieczni, ale sami na pewno nie damy sobie rady, więc temat wspinaczki mamy zostawić dla niego. Dlatego wszyscy zajęliśmy się innymi sprawami, które nas w życiu interesowały, a góry pozostały dla nas dodatkiem, miejscem, w którym odpoczywamy. Żaden z nas nie wspina się w tak ekstremalny sposób jak ojciec.

Góry rozdzielały was z ojcem na długo. Jego wyprawy trwały przez wiele tygodni. Wyjeżdżał, wy zostawaliście.

KRZYSZTOF: Brakowało go wtedy. Nasze dzieciństwo nie było proste. Kiedy ojciec był z nami, było super, a kiedy wyjeżdżał, było trudno.

STANISŁAW: Słabo pamiętam lata 80. i nie mam takiego poczucia, że było ciężko lub brakowało taty, ale pewnie dlatego, że byłem mały. Jednak gdy był obecny, to był z nami całym sobą i mi to wystarczało. W zasadzie całe nasze życie z tatą tak wyglądało. Później nie jeździł często w Himalaje, w góry wysokie, ale i tak spędzał cały czas w górach. Gdy my jechaliśmy rano do szkoły, to jego już nie było, bo np. o czwartej rano musiał wstać, żeby iść z klientami na Gerlach. Widywaliśmy się wieczorami. Ale był

na tyle rodzinny i zaangażowany w życie domowe, że potrafił to wszystko wyważyć. Spędzał z nami wakacje, jeździliśmy na kempingi. Pamiętam, że zabrał mnie na pierwszą wspólną wspinaczkę, gdy miałem 14 lat. Później byłem z nim jeszcze m.in. na Mont Blanc – starał się zaszczerpić w nas tę pasję.

JAN: Dla mnie było tak od zawsze. Gdy się urodziłem, tata wyjeżdżał w góry na tydzień, dwa lub miesiąc, a kiedy wracał, całym sobą był z nami. Ale co roku wyjeżdżaliśmy wspólnie na wakacje, np. do Chorwacji.

KRZYSZTOF: Tata wyjeżdżał, przez pół roku go nie było, a po jego powrocie doświadczaaliśmy natłoku historii i pamiątek, przypraw, które przywoził, zdjęć czy szkolnych prelekcji. Opowiadał nam o przemierzaniu lasu rododendronów, o jakach, które pomagały mu przenosić bagaże. Cały ten egzotyczny świat mocno na nas wpływał, podobnie jak pamiątki i prezenty, które przywoził – każdy z nas ma np. figurkę słonia z Indii. Rozwinęło to moją dziecięcą wyobraźnię, spowodowało, że chciałem dowiedzieć się jak najwięcej na temat innych krajów, religii i cywilizacji. Od dzieciństwa przesiąkaliśmy tym, co sprowadzał do domu tata.

FRANCISZEK: Dla niego bardzo ważne było, żeby zabrać każdego z nas do Nepalu. Robił to przy okazji 18. urodzin lub zdanej matury. Zabrał Krzysia, Staszka i mnie, Janka niestety nie zdążył. Ale my wzięliśmy go pod Broad Peak i do Pakistanu. Dla taty bardzo ważne było to, żebyśmy poznali ten świat.

Ale z drugiej strony wiem przecież, że będąc w domu, musiał myśleć także o kolejnych wyprawach. Pewne rzeczy z pewnością przed nami ukrywał, ale potrafił też godzić swoje priorytety.

KRZYSZTOF: Za każdym razem, kiedy wracał z wyprawy, robił dla mojej klasy prelekcję w szkole. Pokazywał slajdy ze zdjęciami, opowiadał, co się działo. Wszystkie dzieciaki słuchały z otwartą buzią. Bardzo lubię to wspomnienie.

STANISŁAW: Gdy wchodził w góry, już później jako przewodnik, jego klienci bardzo doceniali to, że tata był profesjonalistą. Dało się wyczuć, że każda jego decyzja i ruch były pewne, dzięki czemu nikt, kto z nim wyruszał, nie bał się chodzić w góry, a przecież potrafił tam

być strasznie. Mając tatę za przewodnika, ludzie czuli się bezpiecznie – miałem dokładnie to samo poczucie, gdy wyruszaaliśmy razem. W górach był skupiony i całkowicie oddany swojej pracy, natomiast w domu pojawiał się element luzu. Dodatkowo angażował się na różnych polach – mnie np. zawoził i odbierał z treningów narciarskich, choć pewnie czasami nie miał na to siły. Wychodziliśmy też wszyscy razem na spacer. Gdy byliśmy mali, jeździliśmy w Bieszczady, później doszły wyjazdy w Alpy. Organizował wakacje – naszym ulubionym miejscem była Chorwacja – staraliśmy się tam przynajmniej raz w roku pojechać, żeby odpocząć.

Jego sława się na was odbijała?

KRZYSZTOF: Tata był bardzo skromnym człowiekiem. W żaden sposób nie czuło się jego sławy.

FRANCISZEK: Był bardzo szanowany przez ludzi.

KRZYSZTOF: Tak naprawdę poza środowiskiem tych osób, które interesują się górami, himalaizmem i wspinaczką, historia naszego ojca jest nieznana. Nie dążył do wystąpień na festiwalach...

FRANCISZEK: ...ani do pisania książek. W życiu nie napisałby nic o sobie.

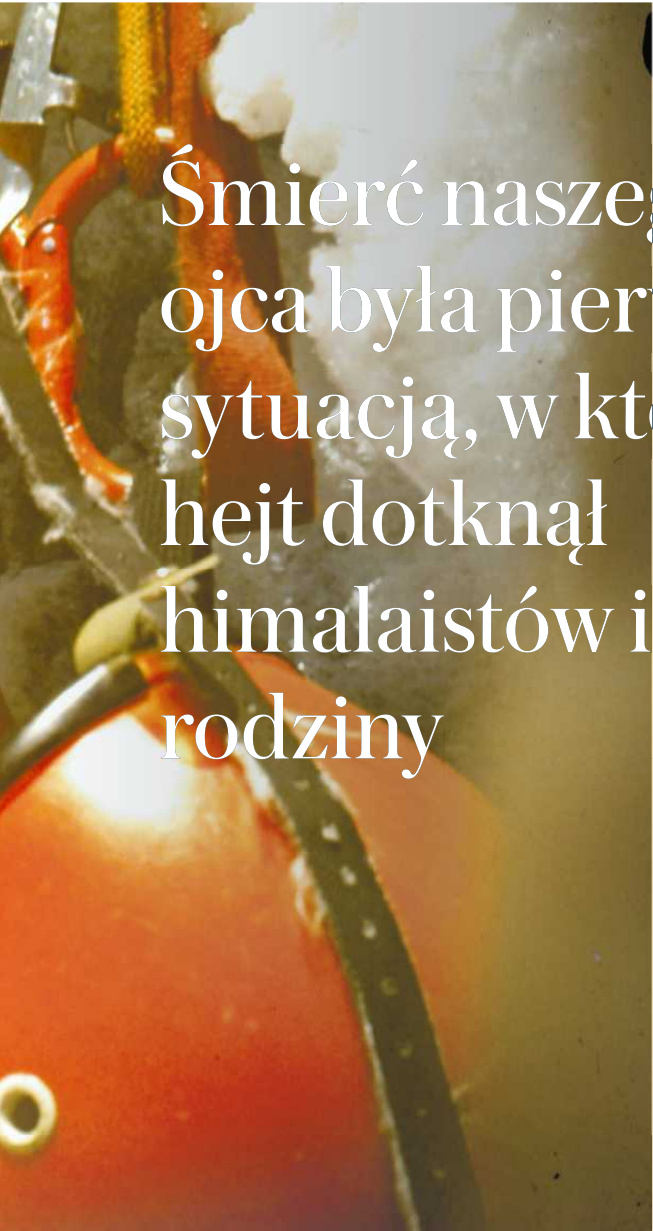
STANISŁAW: Tata był bardzo skromny. Nie przepadał za spotkaniami, chyba że sam je organizował. Zawsze opowiadał o sobie śmieszne anegdoty.

Podejmowane przez niego działania górskie, sportowe miały na celu dokonanie czegoś nowego – np. pierwszego zimowego wejścia lub wytyczenia nowej drogi. Nigdy nie chciał jeździć na letnie wyprawy, żeby wchodzić normalną drogą czy kierować się łatwymi rozwiązaniami. W swoich najlepszych latach zawsze szukał wyzwania. Doskonale wiedział, co robi w górach. To jest chyba typowy przykład zachowania, gdy robi się coś dla siebie. To była jego pasja, tam się realizował i nie czuł potrzeby, by o tym jakoś specjalnie opowiadać. Kto miał wiedzieć, to wiedział – ale tata nie miał potrzeby szeroko o tym informować.

KRZYSZTOF: Teraz wszyscy mają szansę poznać jego historię za sprawą filmu.

Dopuszczaliście myśl, że tata może nie wrócić, czy to wypieraliście?

STANISŁAW: Nigdy nie dopuszczałem do siebie takiej myśli, nie mam pojęcia dlaczego. Po wypadku



Śmierć naszego ojca była pierwszą sytuacją, w której hejt dotknął himalaistów i ich rodziny

„Bereka. Życie w cieniu Broad Peaku”, Dariusza Kortki i Jerzego Porębskiego

„GOPR. Na każde wezwanie” Wojciecha Fuska i Jerzego Porębskiego i wiele innych książek górskich na [Kulturalny-sklep.pl](#) oraz w formie e-booków na [Publio.pl](#)

w 2013 r. zastanawiałem się nad tym, dlaczego nie brałem pod uwagę, że coś się może stać. Myślę, że wynikało to z tego, że ja z nim w tych górach byłem, znałem jego wszystkie przejścia, wiedziałem, jak dbał o mnie podczas wypraw i jak się porusza po górach. To dawało mi pewność, że on tak bardzo rozumie góry, że z nimi współgra, że nie może mu się nic stać. Ale góry mają to do siebie, że zawsze może się coś wydarzyć, chociaż byśmy byli najlepiej przygotowani. KRZYSZTOF: Zналиśmy wiele rodzin himalaistów, w których powtarzały się sytuacje, że ktoś z górskich wypraw nie wracał. Zналиśmy tych ludzi, ich dzieci. Widzieliśmy rodziny, które zostawiali. Mieliśmy świadomość, że nas też to może dotknąć.

Próbowaliście go odwozić od wyjazdów? KRZYSZTOF: Takie rozmowy odbywały się raczej między mamą a tatą, my o ich decyzji byliśmy informowani jako ostatni. Stawiano nas przed faktem dokonanym. U mamy każda wyprawa wiązała się z ogromnym lękiem o tatę – z jednej strony z akceptacją jego pasji i wielką miłością, ale z drugiej strony – ze strachem. STANISŁAW: W 2013 r. nie odwiedziliśmy go od decyzji o wyjeździe. Pamiętam, że się bardzo ucieszyłem i gratulowałem tacie, pomagałem mu wybierać sprzęt. Żyliśmy przygotowaniami do wyprawy i były to bardzo pozytywne emocje. Czuliśmy, że powrót na Broad Peak jest dla niego wielką szansą.

Maciej Berbeka

• Ojciec czwórki synów, zapalony himalaista, który zdobył pięć ośmiotysięczników i jako pierwszy człowiek w historii wszedł na Broad Peak zimą. Studiował na Akademii Sztuk Pięknych, ale jego przeznaczeniem były góry, choć to w nich stracił ojca, który zginął w czasie zejścia z Dent d'Hérens w Alpach na granicy szwajcarsko-włoskiej, gdy Maciej był dziesięcioletkiem. Dokonał pierwszych zimowych wejść na Manaslu, w 1984 roku razem z Ryszardem Gajewskim, Czo Oju w 1985 r., z Maciejem Pawlikowskim, oraz Broad Peak w 2013 r. z Adamem Bieleckim, Tomaszem Kowalskim i Arturem Małkiem. Z tej ostatniej wyprawy Berbeka i Kowalski, po zdobyciu szczytu, nie wrócili do bazy. Nocowali w strefie śmierci na wysokości ok. 7900 m. Ostatni raz widziano ich kolejnego dnia rano na ścianie pod przełęczą prowadzącą do obozu szтурmowego. To, co wydarzyło się potem, pozostaje tajemnicą. Ciała himalaisty nigdy nie odnaleziono. Jest jednym z 60 Polaków, którzy stracili życie w Himalajach.

5 marca 2013 r. wasz ojciec stanął na tym szczycie. Dzień później widziano go po raz ostatni na ścianie pod przełęczą prowadzącą do obozu szтурmowego. Później nie było już żadnego kontaktu z nim ani z towarzyszącym mu Tomaszem Kowalskim. 8 marca kierujący wyprawą Krzysztof Wielicki wydał oświadczenie, w którym poinformował o jej zakończeniu. Waszego ojca i Kowalskiego uznano za zmarłych. Rodziny innych himalaistów pomagały wam wtedy? KRZYSZTOF: Otrzymaliśmy od nich bardzo dużo wsparcia, zwłaszcza od tych, którym coś podobnego przydarzyło się wcześniej. Czuliśmy, że nie jesteśmy sami, co było niezwykle cenne. To był dla nas bardzo trudny czas, a poczucie, że są ludzie, którzy przechodzili przez to samo, i znają kolejne, postępujące po sobie etapy żałoby, było bardzo poczekające. Oswojenie się ze śmiercią wygląda inaczej, kiedy odbywa się pogrzeb, kiedy można postawić grób. W takim przypadku jak nasz zawsze pozostają przypuszczenia – może tata wciąż schodzi ze szczytu? Może nie wszystko stracone? Może za dwa dni okaże się, że jednak przeżył? To wszystko jest bardzo trudne. Wsparcie osób, które już przez to przeszły, było bezcenne.

Długo towarzyszyła wam myśl, że tata jednak wróci? STANISŁAW: Pierwszy najgorszy moment był wtedy, gdy Krzysiu Wielicki zadzwonił, że to koniec wyprawy. To przekreśliło wszystkie szanse i największe nadzieje. Bardzo długo zajęło mi pogodzenie się z tym – myśle, że nawet dotąd nie do końca udało mi się to zrobić. Na pewno bardzo pomogła mi praca nad filmem „Dreamland”. Wtedy o tym nie myślałem, ale z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że zagłębienie się w historię rodziny, babci, dziadka, taty, szukanie w archiwaliach szczegółów o jego wyprawach, organizowanie każdej na potrzeby filmu pomogło mi poukładać sobie wszystko w głowie. Był to dla mnie ważny etap pogodzenia się ze stratą. FRANCISZEK: Do mnie dotarło, że to koniec, kiedy otrzymaliśmy informację o zakończonych poszukiwaniach. Mijały kolejne doby, a w mojej głowie powracała myśl, że już nie znają taty, jego ciało pozostało w górach na zawsze. Długo żyliśmy natomiast z myślą, że nigdy się nie dowiemy, co się stało, gdzie dokładnie został. Z miesiąca na miesiąc musieliśmy mierzyć się z kolejnymi informacjami, rzeczami taty, które przywieziono z wyprawy. Dlatego ta rana tak długo pozostawała otwarta.

Kiedy wy przeżywaliście tragedię, internet huczał od bezwzględnych komentarzy ludzi. Poza standardową krytyką samego himalaizmu, który w oczach internautów jest „proszaniem się o śmierć”, „spektakularnym samobójstwem” i „śmiertelnie niebezpieczną zabawą za nasze pieniądze”, pojawiły się też zarzuty kierowane w stronę dowodzących wyprawą. Sugerowano w nich, że dopuścili Kowalskiego do ataku szczytowego w nieodpowiednim sprzęcie, a uczestników wyprawy – Adama Bieleckiego i Artura Małkę – krytykowano za niewłaściwe zachowanie na Broad Peak i rozdzielenie się z zespołem. Bielecki nie zgadzał się z zarzutami, ale w raporcie, który powstał po tragedii, też krytycznie oceniono zachowania jego i Małki.

FRANCISZEK: Polska jest pełna specjalistów od wszystkiego i wtedy się przekonaliśmy, że wszyscy się znają na himalaizmie. KRZYSZTOF: Śmierć naszego ojca była pierwszą sytuacją, w której hejt bezpośrednio dotknął himalaistów i ich rodziny. Wcześniej nie miało to miejsca. Była to pierwsza tragedia górską tak szeroko komentowana w mediach – niczym teatr emitowany na żywo. Wszyscy spekulowali: kto przeżył, kto zginął, jakie popełniono błędy. FRANCISZEK: I powracało pytanie: po co wyruszyli? KRZYSZTOF: To było coś strasznego, z czym wszyscy musieliśmy się zmagać bardzo długo. Ludziom bardzo łatwo przychodzi ocenianie, choć nie znają sytuacji, którą komentują. Najgorsze jest to, że nie mają pojęcia, o czym mówią. Bardzo ranią tym osoby, które i tak zmagają się z traumą po stracie tych, których kochali. Hejt jest ogromnym problemem. Obawialiśmy się powrotu tych komentarzy przy okazji premiery filmu Leszka Dawida na Netflixie, ale na pewno jesteśmy już na nie odporniejsi. Jakoś damy sobie radę.

Film stanie się pewnie pretekstem do powrotu tamtej dyskusji i powtórzenia przez wielu ludzi pytania: po co poszli? Myśleliście o tym, kiedy zgadzaliście się na jego powstanie? FRANCISZEK: Na początku byłem przeciwny powstaniu filmu właśnie z tego powodu i dlatego że po-

wstaje za szybko. Po roku od tragedii do mojego domu przyszli producenci, więc pomyślałem, że chcą coś ugrać na naszym nieszczęściu, bo nie wiedziałem wtedy, jak ma wyglądać efekt. Wszystko było niepewne i to mi się nie podobało. Z czasem mama mnie urobiła i teraz jestem na tak.

Jak cię przekonała? FRANCISZEK: Uświadomiła mi, że jest potrzebny, bo będzie pamiątką dla moich dzieci. KRZYSZTOF: Wiemy już, że nie unikniemy hejtu, ale tak jest chyba w każdej dziedzinie życia, a obaw dotyczących filmu nie miałem. Pomyśl na niego wydał mi się piękny i ciekawy, bo został w nim położony nacisk na opowiedzenie historii człowieka, który kocha góry. Historii o nim, a nie tylko o wydarzeniach, które miały miejsce w końcówce jego życia. Nie o tym, co zrobili i czego nie zrobili, kto zawinił, kto popełnił błąd. To opowieść o człowieku z pasją, który sfinalizował wiele wypraw w Tatrach, Alpach, Himalajach, który kochał góry. Odkąd zapoznałem się z planem na ten film, byłem o niego spokojny. Cieszyłem się, że ktoś zauważył naszego ojca, naszą historię, rodzinę. Że komuś wydało się to ciekawe. Śmierć nie gra w tym filmie głównej roli, co od razu mi się spodobało.

Film przypomina, że waszemu tacie nie udało się zdobyć Broad Peak w 1988 r. Dotarł wtedy do przedwierzchołka Rocky Summit na wysokości 8028 m n.p.m., czyli zaledwie kilkadziesiąt metrów poniżej szczytu. O tym, że nie udało się go zdobyć, ojciec dowiedział się dopiero po powrocie do domu. Na górze tego nie zauważył z powodu złych warunków pogodowych. Bardzo to przeżył. Rozmawialiście z nim o tym? KRZYSZTOF: Broad Peak nie istniał w naszym domu. Nie rozmawiało się o tym. Wiedziałem, że jest to dla taty bolesny temat. Myślę, że siedział w nim bardzo głęboko. Chyba najbardziej obawiał się tego, że może być postrzegany jako oszust, bo życie z takim piętnem było dla niego najgorszym, co mogło się przydarzyć. Uciekał od tego tematu, nigdy z nami o nim nie rozmawiał. Wiedzieliśmy, jak było, i na tym koniec. JAN: Nigdy z nim o tym nie rozmawiałem. Tata miał sposób, aby radzić sobie z takimi odczuciami – starał się tłumić kontakty z osobami z tamtych lat. Nie przypominam sobie rozmów z nami na ten temat.

Jak się poczuliście, kiedy obejrzeście „Broad Peak”? STANISŁAW: Wszystkie emocje, które towarzyszyły mi, gdy tata zginął, powróciły do mnie na początku filmu. Widzimy tam jego walkę przy zejściu. Dobrze, że te emocje są na początku, później już towarzyszyły mi szczęście i euforia związane z wejściem na szczyt. FRANCISZEK: Po prostu zatęskniłem za tatą i mamą. Pytanie syna o to, co myśli po obejrzeniu filmu o swoich rodzicach, jest bardzo trudne. Nie jestem dobrym widzem, a tym bardziej recenzentem. KRZYSZTOF: Bałem się tego, że film w jakiś sposób przekłamie obraz naszych rodziców, i najbardziej cieszę się, że tak się nie stało. Świetne jest to, że ob-raz mamy i taty jest po prostu prawdziwy. Irek Czop w wielu gestach i spojrzeniach, w tym, jak się porusza, jest do niego bardzo podobny. Jest tak bliski zachowaniu ojca, że dla nas, synów, było to niesamowite.

W filmie wasi rodzice są pokazani jako para, która rozumiała się pod każdym względem. Gdy ekranowy Maciej Berbeka mówi żonie, że mimo obietnicy, że już nie wyruszy w Himalaje, chce tam znowu pojechać, ona daje mu błogosławieństwo. Czy Mai Ostaszewskiej, która fizycznie mocno różni się od waszej mamy, udało się ją oddać wiarygodnie? KRZYSZTOF: Rzeczywiście, fizycznie zupełnie jej nie przypomina. Spotkała się z nią raz. To było wzruszające, bo mama była już wtedy bardzo ciężko chora. Rozmawiały około pięciu godzin, ale Maja nie miała przecież możliwości podpatrywania jej w żaden sposób, że względu na stan zdrowia. Mimo to udało jej się stworzyć prawdziwy obraz mamy. Kiedy Irek i Maja wspólnie występują na ekranie, myślę sobie, że te sceny dokładnie tak wyglądały w realnym świecie. Taka była atmosfera pomiędzy naszymi rodzicami. Zrozumienie, miłość, czułość... W filmie jest moment – nie jestem pewien, czy trafił do finalnej wersji – kiedy sły-chać głos Mai, ale jeszcze jej nie widać. Przedstawiane są obrazy z 1988 r., kiedy ojciec odlatywał helikopterem. I przez ułamek sekundy pomyślałem: „Skąd oni wzięli głos naszej mamy?”. Nie mam pojęcia, jak Mai udało się odwzorować nawet jej intonację. Być może to kwestia wywiadów, które oglądała. Dla mnie, dla syna, ich wspólne sceny są bardzo prawdziwe i wzru-szające. ●

CO MNIE URZEKŁO

Po latach usłyszałem głos taty

Zaczął się od badań okresowych, skończyło spacerem po Lublinie z George'em Saundersem

PAWEŁ KRYSIAK

C

Chciałbym opowiedzieć o tym, jak literatura zmienia człowieka, jakiego rodzaju olśnieniu jest źródłem. Opowiem o dwóch banalnych wydarzeniach: spacer po mieście i czytanie książki. Które przestały być banalne, gdy je połączyłem w jedno. Ale czy ja tego dokonałem? Ktoś lub coś mi w tym pomogło.

Zacznę od tego, że literatura to nie było dla mnie coś po pracy, na weekend, dla rozrywki, coś obok życia. Zawsze denerwowały mnie nagłówki typu „10 idealnych książek na urlop”. Czytanie książek i gra w piłkę nożną to dwie aktywności, których nie pamiętałem, jak i kiedy się nauczyłem. Po prostu od zawsze były.

To chyba zaczęło się tak. Sąsiad kończył szóstą klasę i w ostatni dzień szkoły w nagrodę za noszenie bułek z piekarni do szkolnego sklepiku dostał „Kajtusia Czarodzieja” Korczaka. Nie był zadowolony, książkę przyniósł do nas. Mgliste sceny z przeszłości. Mama siedzi na łóżku w koszuli nocnej i czyta o Kajtusiu, który z obawy przed odpytaniem w klasie nakazuje: niech tysięcy much usiądzie panu na nosie, albo zamienia krede w mydło, albo atrament w wodę. Pawelek ma szeroko otwarte oczy. Tata co chwilę się budzi i prosi, żeby już spać, bo o czwartej wstaje, żeby wsiąść na rower, dojechać do stacji Biała Pajęczańska, stamtąd pociągami do Częstochowy i dalej do jakiejś cukrowni, gdzie nosi worki i rozładowuje buraki. Był chłoporobotnikiem, bo z 5 ha najniższej, piątej-szóstej klasy ziemi nie dało się żyć. Mama z Pawelkiem i Kajtusiem rozrabiają do północy. A w dzień Pawelek już sam wertuje „Przygody Koziołka Matołka”.

Literatura zawsze tłumaczyła mi świat. Nie mogłem przestać czytać. Koestler w „Ciemności w południe” objaśniał mi stalinowskie czystki, Stachura w opowiadaniach rozdził, jak patrzeć na przyrodę, Wat i Miłosz opisywali „historię zerwaną z łańcucha”. Wylizanka byłaby długa. Ale wydarzenie, o którym chcę opowiedzieć, jest zupełnie innego kalibru. Jest niepodważalnym dowodem na to, że źródłem największej radości jest literatura.

NA KTÓREJKOLWIEK STRONIE „LALKĘ” OTWORZĘ, TO ZACZYNAM SIĘ ŚMIAĆ

Początkiem tej historii są badania okresowe, które zrobiłem w ostatnich dniach grudnia, po prawie roku zwłoki. Nie mał wszystkie wyniki fatalne, nadciśnienie, cholesterol, stan przedcukrzycowy. Pani doktor powiedziała: Ma pan 57 lat, za trzy lata zacznie się tak zwana starość, albo pan w nią wejdzie otyły, schorowany i ospały, albo z nową energią. Musi pan coś zmienić. Ja bym zaczęła od długich spacerów.

Mieszkam w centrum Lublina przy ul. Probstowo, boczna od Lubartowskiej. Zacząłem popołudniami szwendać się po mieście. 2 maja wyruszyłem Północną w stronę wąwozu na Czechowie. A wąwozy to najcudowniejsze miejsca w tym mieście. Mając wyraźny cel, skręciłem jednak w kamienną ścieżkę, bo na jej końcu zobaczyłem kwitnące drzewo. Wokół było wiele innych, zapewne piękniejszych, ale coś mi mówiło, że to jest najważniejsze. Po 50 metrach drewniana barierka i jakieś sznurki. Cała ta konstrukcja oznaczała, że dalej iść się nie powinno. Ale pomyślałem, długi weekend, pewnie nikogo tu nie ma, i szedłem dalej. Z minuty na minutę czułem, że jest mi tu bardzo dobrze, i dlatego człapałem w stronę drzewa coraz wolniej. Niech to trwa. Zza chwastów i krzaków wyłonił się opuszczony dom z drewnianym gan-



kiem. Między nim a tym moim drzewem zauważyłem wysokiego, szczupłego mężczyznę z brodą. Przy użyciu motyki (u mnie w domu mówiło się haka) zmagął się z chwastami.

Zagałęm.

– Przepraszam, wszedłem tylko na chwilę, żeby zrobić zdjęcie, bo piękne drzewo.

– A proszę. Taka tam grusza.

– Ale coś w sobie ma.

– Stara. Tak jak ja.

Pan był nieśmiały, a zarazem gadatliwy. Czułem, że trzeba tylko nacisnąć odpowiedni guzik.

– A gdybym tam poszedł za tę gruszę, to gdzie bym doszedł?

– A toby pan się sturlał po skarpie, bo tam już wąwóz...

– A, no tak, idę tam przecież. Straciłem orientację, zmyliły mnie te bloki, które tu budują.

I zeszło na mieszkania. On mówi, że ludzie szukają luksusu, że w starych nie chcą mieszkać.

– A były czasy, kiedy w jednym mieszkaniu po trzy-cztery rodziny musiały się zmieścić.

– Wiem, o czym pan mówi, bo w mojej rodzinie po wojnie do takiego domku jak ten tutaj dokwaterowano trzy rodziny.

– Bulhakow opisywał, jak mieszkał po rewolucji w Moskwie w takich mieszkaniach z przymusowo meldowanymi rodzinami...

I zaczęliśmy o Bulhakowie. A najwięcej o „Fatalnych jachach”, które kiedyś, bardzo dawno temu, w „Literaturze na Świecie” też czytałem. On był tym opowiadaniem zafascynowany. Potem jeszcze gadamy o Leśmianie, Schulzu, o światach równoległych. Ja stoję i patrzę, on mówi, ale hakania nie zaniedbuje.

– A wie pan, że jednak najbardziej lubię Zoszczenkę. Czytam jego opowiadania cały czas od ponad 30 lat. I ciągle mi mało. Jakby specjalnie dla mnie to napisał. Jest jak ktoś z rodziny – zwierzyłem się.

– Tak? – zdziwił się i jakby zachwycił. I po raz pierwszy spojrzał mi w oczy.

– No a ja mam tak z „Lalką”. Na którejkolwiek stronie otworzę, to po kilku zdaniach zaczynam się śmiać. No cieszy mnie ta książka po prostu. Ale wie pan, że ostatnio więcej słucham, niż czytam. Nasi aktorzy, zwłaszcza ci starszej daty, pięknie czytają, pięknie. Holoubek mógłby mi czytać całe życie.

– A wie pan, że mój tata wszystkie książki czytał na głos? Wszystkie.

– Tak się kiedyś czytało.

Gryzły meszki, zrobiłem zdjęcie gruszy.

Zapytałem: A pan ma wykształcenie filologiczne?

Uśmiechnął się, jakby zawstydzil, znów zaczął szybciej machać haczką i coś tam powiedział pod nosem.

– Nie pracował pan w książkach, w literaturze? – docis-kalem, ale czułem, że nie chce o tym mówić.

– No można tak powiedzieć, pracowałem w składnicy księgarskiej. Ciężka praca.

Spotkanie trwało pół godziny. Wróciłem do domu. Wąwóz już sobie darowałem. Cały czas myślałem o tym zdarzeniu. W kolejnych dniach powracało. I za każdym razem wywoływało poczucie radości. Ale nie zaglądałem już w to miejsce podczas spacerów. Wybierałem kierunek przeciwny – wąwóz na Kalinowszczyźnie. Bałem się, że kiedy tam wrócę, coś zburzę.

CZECHOW TRZYMA NAS W NIEPEWNOŚCI

Trzy tygodnie później kupiłem „Kąpiel w stawie podczas deszczu”. George Saunders analizuje ze studentami siedem klasycznych opowiadań rosyjskich. Sięgnąłem po nią w sobotnie ciche popołudnie, przed spacerem.

We wstępie wybitny pisarz i eseista proponuje proste ćwiczenie: „Przeczytaj opowiadanie, a potem się zastanów, co ci się przed chwilą przydarzyło”. Do tego kilka pytań pomocniczych. Czy jakiś fragment poruszył cię szczególnie? Czy był moment, kiedy łzy napłynęły ci do oczu? O! Ucieszyłem się, pisze prostym językiem, bez filologicznych zawiąsów. To lubię.

Pierwszy esej to analiza opowiadania Antoniego Czechowa „Na wozie”.

Jak co miesiąc wiejska nauczycielka jedzie z woźnicą Siermionem do miasta po pensję. Nie jest siłą czką, to wypadki losowe zmusiły ją do wyjazdu z Moskwy na wieś. Od 13 lat wie-dzie monotonne życie. Rodzice zmarli, jest sama. Maria Wasiliewna jest nieszczęśliwa. Saunders zastanawia się wspólnie z czytelnikiem, czego oczekujemy po tej podróży. Na drodze Marii, dosłownie na drodze, pojawił się ziemianin Chanow. Jechał powozem zaprzężonym w cztery konie. Czytelnik ma nadzieję, stawia pytania. Czy Chanow i Maria zbliżą się do siebie? Czy on odmieni jej życie? Czy ona na to czeka? Nie tak szybko. Okazuje się, że Maria rozmyśla o szkole i nadchodzących egzaminach. A Chanow znika z opowieści. A my tak temu kibicowaliśmy.

Czechow trzyma nas w niepewności. Saunders wyjaśnia: „Energia opowieści została zmagazynowana w naszej nadziei, że Maria zazna jakiegoś ukojenia”.

Zbliżamy się do zakończenia. Maria na tym samym wozie, z tym samym Siemionem wraca z miasta do domu. Znużona i dodatkowo przegnębiona, bo wóz wjechał w kałuże i woda zniszczyła jej zakupy. Siemion wstrzymał konie przy przejeździe kolejowym, bo szedł pociąg pospieszny. Co widzi Maria?

„Przed wejściem do jednego z wagonów pierwszej klasy stoi dama i Maria Wasiliewna obrzuca ją przelotnym spojrzeniem: matka. Jakże podobna! Matka też miała takie wspaniałe włosy, takusienkie czoło, pochylenie głowy. I po raz pierwszy w ciągu tych trzynastu lat niezwykle jasno, żywo wyobraziła sobie matkę, ojca, brata, mieszkanie moskiewskie, akwarium z rybkami, wszystko do najdrobniejszego szczegółu, usłyszała nagle grę na fortepianie, głos ojca, poczuła się taką, jaką była wtedy, młodą, ładną, eleganczką, w jasnym, ciepłym pokoju, w gronie rodziny; ogarnęło ją nagle uczucie radości i szczęścia, z zachwytu ścisnęła skronie rękami i zawołała czule, błagalnie:

– Mamo!”.

Czechow po chwili dodaje jeszcze: „I zdało się jej, że i na niebie, i wszędzie w oknach, i na drzewach jaśnieje jej szczęście jak zwićnięstwo”.

2 MAJA SŁYSZAŁEM GŁOS MOJEGO TATY

Literatura nigdy wcześniej nie była ze mną tak blisko jak w chwili, kiedy przeczytałem ostatnie zdania opowiadania Czechowa.

Wszystko rozbłysło.

Przecież wiem, dlaczego skręciłem z Północnej w stronę tego właśnie drzewa. To była grusza identyczna jak przed domem, w którym się wychowałem. To ta grusza pamięta moje wloty i upadki podczas bicia piłkarskiego rekordu świata w żonglerkach. To na jej rozłożystych konarach siedziałem godzinami i nie chciałem

zejść nawet na obiad. A ten człowiek z haką przecież nawet fizycznie był podobny do taty.

Ale najdziwniejsze jest to, że rozmawiał ze mną, nie przerywając pracy, a nawet mu to pomagało. W tym kosmosie rodzinnego gospodarstwa rolnego, w którym spędziłem dzieciństwo, 90 procent moich rozmów z tatą odbywało się przy rąbaniu drzewa, grabieniu siana, koszeniu żyta, pieleńniu chwastów, karmieniu świń, koni, gęsi, kaczek.

2 maja słyszałem głos mojego taty. Widziałem go, jak się uśmiecha, kiedy opowiada mi o wyższości literackich postaci Trylogii nad tymi filmowymi. – Podbiپیęta to był człowiek silny i mężny, a ten w tym filmie to jakby wyszedł z kabaretu. Pocieszny ten twój film – śmiał się, kiedy próbowałem bronić ekranizacji Hoffmana. To była jedna z naszych ostatnich rozmów w ogródku podczas naprawiania płotu. Zawsze praca go uspokajała, podczas pracy mówiło mu się łatwiej, jakoś naturalnie.

Tato zmarł trzy lata temu. Był w moim życiu najważniejszą postacią.

Przedwczoraj poszedłem jeszcze raz w to miejsce. W miejscu, gdzie staliśmy, rozmawiając o „Fatalnych jachach” Bulhakowa, rosły piękne słoneczniki. Naturalnych rozmiarów oczywiście. ●

„Kapiel w stawie podczas deszczu”, George Saunders, przeł. Krzysztof Umiński, wyd. Znak



WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Wojciech Młynarski*

Wina Tuska

Pociąg spóźnił się do Buska – wina Tuska.

Podupada kurort Ustka – wina Tuska.

Groch się jakoś marnie luska – wina Tuska.

W Totku Ci nie wyszła szóstka – wina Tuska.

Zaszkodziła Ci kapustka – wina Tuska.

Cioci Zosi siadła trzustka – wina Tuska.

W szczerym polu uschła brzoźka – wina Tuska.

W gardle Ci uwięzła kluska – wina Tuska.

Dyszel złamał się u wózka – wina Tuska.

Waza stłukła się etruska – wina Tuska.

Zimny deszczyk w oczy pluska – wina Tuska.

Gorzkie lzy ociera chustka – wina Tuska.

Polamała nóżki kózka – wina Tuska.

Księdzu z głowy spadła piuska – wina Tuska.

Polska to kolonia ruska – wina Tuska.

Na stadionach rąbanina – Tuska wina.

Spytasz mnie, publiko moja, a cóż to za paranoja?

To katechizm jest prześliczny sporej partii politycznej.

A dlaczego, Panie święty, ten mój wierszyk nie ma puenty?

W miejsce puenty mgła i pustka – wina Tuska.

2011

***Wojciech Młynarski** – 1941-2017. Autor tekstów piosenek, poeta, librecista, kompozytor, piosenkarz i artysta kabaretowy, jeden z najbardziej znanych w Polsce w drugiej połowie XX i w XXI wieku. Wiersz za: Młynarski, „W Polskę idziemy”, Prószyński i S-ka, Warszawa 2018

CZUŁE SŁÓWKA

Teatr

Moje belferskie serce cieszy się za każdym razem, kiedy oglądam publiczne wystąpienia pana ministra, prokuratora i prezesa w jednym.

Michał Rusinek*

Wiele lat temu Zbigniew Ziobro – obecny minister sprawiedliwości, prokurator generalny i prezes Solidarnej Polski – był studentem Podyplomowego Studium Retoryki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Prowadziłem tam zajęcia przez kilkanaście lat, ale minęliśmy się, na szczęście. Lub na nieszczęście. Jestem jednak przekonany, że moi koledzy i moje koleżanki dobrze go przygotowali do roli retora.

Przeglądając mu się teraz, wyobrażam go sobie na egzaminie końcowym, jak wygłasza mowę na wybrany przez siebie temat, drapując togię na lewym udzie, a palec wskazujący prawej dłoni kieruje w niebo. I jak wygłasza płomienną tyradę, żarliwą filipikę, łzawę epitafium, radosne epitalamium czy pożegnalny propemptikon. Jak radzi lub odradza, oskarża lub broni, chwali lub gani; jak uzasadnia, ocenia lub osądza; jak wprowadza, opowiada, argumentuje, refutuje i konkluduje. I mimo że nie przyłożyłem do tego ręki, moje belferskie serce cieszy się za każdym razem, kiedy oglądam publiczne wystąpienia pana ministra, prokuratora i prezesa w jednym.

Na pierwszym etapie przygotowywania mowy – jak radzą już starożytni autorzy podręczników do retoryki – należy ustalić, jako kto się zabiera głos. Nie chodzi o to, żebyśmy udawali kogoś, kim nie jesteśmy. Nie chodzi o teatr. Człowiek jest, jak wiadomo, wiązką ról społecznych i dobrze jest z tej wiązki wysuwać te role, które pozwolą nam na dostęp do jak najsilniejszych argumentów. Jeśli na przykład jesteśmy profesorem polonistyki i mieszkamy w Krakowie, a mamy zabrać głos na temat – dajmy na to – smogu, to lepiej będzie przedstawić się słuchaczom nie jako specjalista od Sarbiewskiego lub przydawek, lecz jako mieszkaniec miasta, które ze smogiem się boryka; będziemy wówczas bardziej wiarygodni. Zawsze wypowiadamy się „jako ktoś”, czyli zawsze dokonujemy wyboru jakiejś funkcji. Bywa także, że traktujemy owe funkcje jako swego rodzaju tarcze, za którymi chowamy swoje własne poglądy. Ponieważ widać nas i słyszać, maskujemy ślady swojej tożsamości, twierdząc, że mówimy to, co mówimy, nie jako my sami, lecz np. jako instytucja lub grupa, którą reprezentujemy. Tego typu zabiegów dokonywał np. Mieczysław Moczar, wielokrotnie powtarzając frazę: „ja jako były partyzant”, która sytuowała go w dość wygodnej pozycji kombatanta, a więc kogoś, komu więcej wolno, bo sobie zasłużył. Podobną strategię przyjęła niedługo posłanka Bogumiła Boba ze Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, która w nieomal każdym wystąpieniu sejmowym mówiła: „ja jako lekarz”. W stenogramach sejmowych znaleźć można na przykład takie jej zdanie: „Ja jako lekarz muszę nieść pomoc każdemu, także temu z AIDS. Proszę pana, ja podczas operacji mogę zarazić się nowotworem!”. Tak więc, jak widać, zasłaniać swoimi funkcjami można także braki w wykształceniu.

Wróćmy jednak do Zbigniewa Ziobry. 21 października zorganizował on – w Prokuraturze Krajowej – konferencję prasową, na której najpierw wygłosił oświadczenie, a następnie odpowiadał na pytania dziennikarzy. Oświadczenie to było skierowane przeciwko Donaldowi Tuskowi, którego pan minister – zgodnie z prawidłami retorycznymi – najpierw dowartościował, nazywając doświadczonym politykiem, a potem zaatakował. Trzeba przyznać, że bardzo sprawnie. Oświadczenie to wydało się dziennikarzom na tyle wyczerpujące, że w drugiej części konferencji tylko dzienni-

karka TVP Info zadała pytanie związane z treścią oświadczenia. Brzmiało ono: „Moje pytanie odnośnie konferencji brzmi: ile można... ile będziemy czekać na zmiany w przepisach dotyczącego tego wydarzenia, co miało miejsce?”. Tu pan minister wykazał się wielokodusznością, tolerancją i nadludzkimi umiejętnościami hermeneutycznymi, bo nie dostrzegł bezczelnego ponagłania ministerstwa („ile można czekać?”) i z gąszczu gramatycznych zawiłości wyłowił intencje pytającej. Kolejne pytanie – tym razem (chyba) dziennikarza Polsatu – brzmiało: „Czy zmarło pana odejście Konrada Szymańskiego z rządu?”. „Panie redaktorze – odrzekł z uśmiechem Zbigniew Ziobro – nie jest tajemnicą, przecież nie będziemy tutaj odgrywać jakiegos teatru, że Solidarna Polska, którą reprezentuje...”. Zorientował się bowiem, że musi odpowiedzieć na to pytanie już nie jako minister sprawiedliwości i nie jako prokurator generalny, ale jako polityk. Zastrzegł, że w „tej sali i w tym budynku” stara się tematów politycznych nie poruszać, więc odpowie tylko na to jedno pytanie, czyli tylko na chwilę wyjdzie z poprzędniej roli. Dokładnie na dwie i pół minuty. Powiedział wówczas o „tak zwanej praworządności”, której obrona jest tylko „pretekstem do obalenia demokratycznie wybranej władzy w Polsce” i spowodowania, by do władzy wrócili ci, którzy „są dobrze widziani w Brukseli, a zwłaszcza w Berlinie”. Mówił też o brutalności i bezprawności działań Komisji Europejskiej, których zdawał się nie dostrzegać minister Szymański. Po czym przeszedł do krytyki polityki Tuska, którego nazwał „głównym piewą polityki klimatycznej Unii Europejskiej”, przez którą brakuje teraz węgla w Polsce.

Czy to było stosowne, że Zbigniew Ziobro wypowiadał się jako polityk na konferencji zorganizowanej w prokuraturze – trudno osądzić. Został do tego spowodowany przez dziennikarzy. Przyznał, że byłby to teatr, gdyby udawał, że mówi nadal jako prokurator, a może minister. Ważne, że te dwie role uważa on za teatralne, a w każdym razie bardziej teatralne od roli polityka. Według retorycznych podręczników zmiana ról przez mówcę poddyktowana jest zwykle chęcią uzyskania dostępu do innych argumentów i – krótko mówiąc – powiedzenia czegoś innego, czego nie można powiedzieć, występując w jednej roli. Łatwo jednak dostrzec, że Ziobro powiedział to samo, to znaczy zaatakował Tuska: raz jako prokurator/minister, a raz jako polityk. Na pierwszy rzut oka zarówno pierwsza, jak i druga część konferencji miała bowiem charakter polityczny: skierowana była przeciwko liderowi opozycji. Do wypowiedzi Ziobry trzeba dopiero przyłożyć lupę, żeby dostrzec, że zmiana ról pozwoliła mu na dostęp do nieco innych argumentów.

Ale należy się cieszyć, że prokurator generalny, minister sprawiedliwości i polityk Zjednoczonej Prawicy nie ma różnych poglądów. Konflikt między nimi – rozgrywający się wewnątrz jednego człowieka – mógłby być bowiem destrukcyjny w skutkach zarówno dla osoby Zbigniewa Ziobry, jak i dla państwa. No, może nie dla państwa polskiego, ale dla państwa Zjednoczonej Prawicy. Dobry aktor to potrafi, ale Ziobro nie skończył szkoły aktorskiej, lecz tylko retoryczną. A jednak zachowuje się on, jakby był w teatrze, przy czym wszystkie grane przez niego postaci mówią jednym głosem: głosem polityka. Albo inaczej: Ziobro tylko gra rolę ministra i prokuratora, ale w prawdziwym życiu jest politykiem. Na Uniwersytecie Jagiellońskim krąży anegdota o dziekanie, który pełnił także funkcję dyrektora instytutu. Jako dyrektor instytutu zwrócił się do siebie jako do dziekana z pisemną prośbą o przydział większej liczby biurek i jako dziekan po rozpatrzeniu sprawy sobie samemu odmówił. Na szczęście – w przeciwieństwie do absolwenta Wydziału Prawa i Podyplomowego Studium Retoryki UJ – nie został on nigdy prokuratorem i ministrem. ●

***Michał Rusinek** – wykłada (literaturoznawstwo na UJ), przekłada (książki), układa (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekretarzem Wistawy Symborskiej, prowadzi fundację jej imienia. Feminista

Papież odpisywał mi na wszystkie tematy, które poruszałam, a ten pomijał milczeniem.

Z **HALINĄ BORTNOWSKĄ***
I **ANNĄ KAROŃ-OSTROWSKĄ****
ROZMAWIA **MAGDALENA CZYŻ**

Chciałabym porozmawiać o przyjaźni i ślepych uliczkach, w które nas czasem wprowadza. Nie chcę wyciągać z was sekretów przyjaźni z Karolem Wojtyłą, ale chciałabym, abyśmy spróbowały odpowiedzieć na pytanie: jak uporać się z sytuacją, kiedy na portrecie przyjaciela i autorytetu, kogoś naprawdę ważnego w naszym życiu, zaczynają się pojawiać rysy i pęknięcia. I to często po jego śmierci, kiedy nie można z nim już porozmawiać.

HALINA BORTNOWSKA: Prawdziwa jest zasada wyrażona przez tradycję ludzką, niekoniecznie nawet chrześcijańską, że o zmarłych nic albo dobrze.

No ale o niektórych zmarłych się nie da. Trudno o Hitlerze nie mówić nic albo tylko dobrze.

O Putinie też trudno będzie.

H.B.: Czy mamy rozmawiać o tych dwóch panach? Bo powiedziała-bym, że łatwiej jest o tych dwóch panach rozmawiać niż o przyjaciółach, którym się dziś uwłacza.

Co to znaczy: uwłacza? Co masz na myśli?

H.B.: Gdy przyjaciółom odbiera się dobrą pamięć albo się jej nie podziela.

Bo ci, którzy tej dobrej pamięci nie dzielą, nie mają tej pamięci, którą wy macie. Wy się z nim przyjaźniłyście. Od tego zacznijmy: jak wspomnacie początki?

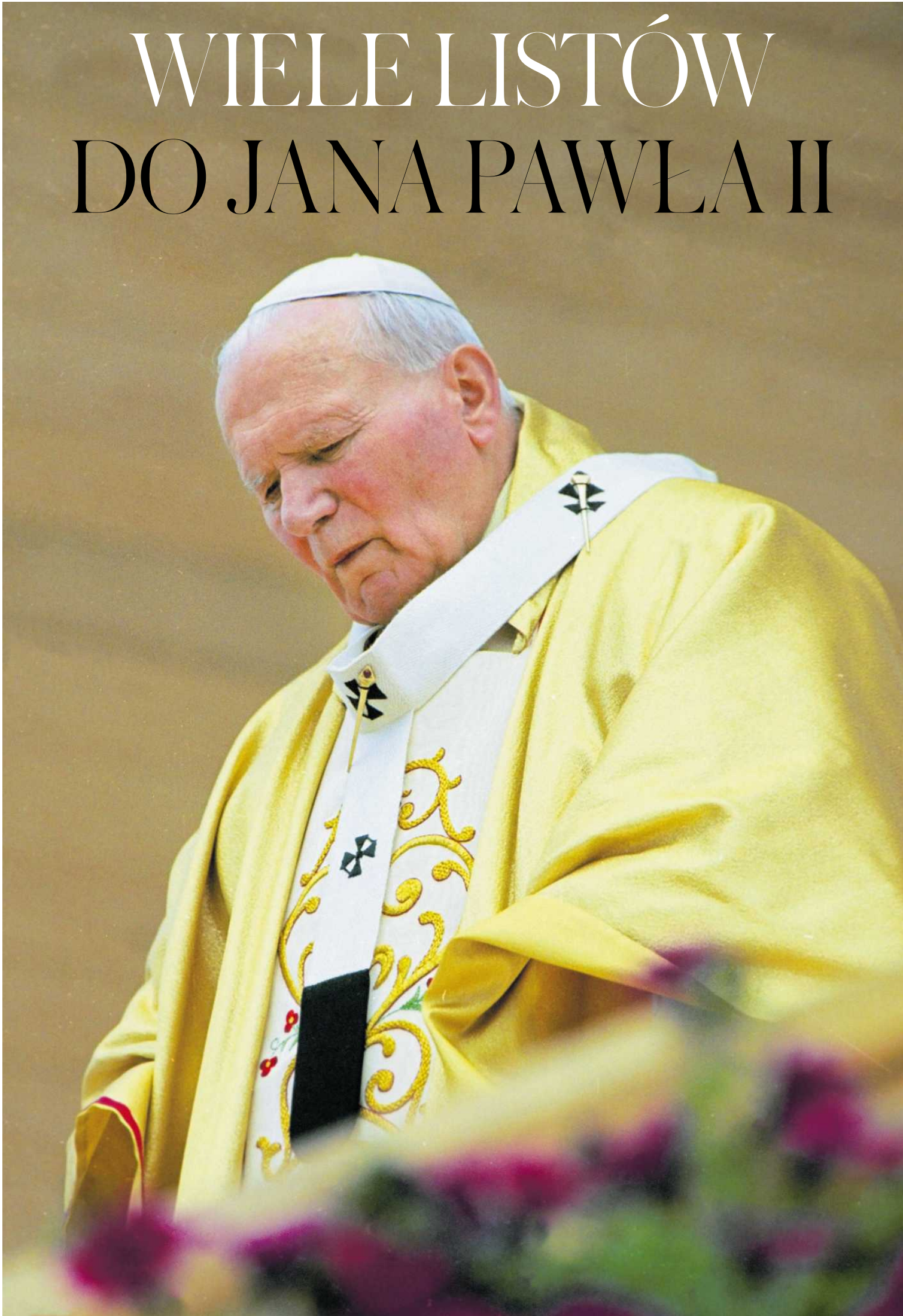
H.B.: To się działo na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, jakieś spotkanie. Słuchałam z dużym zainteresowaniem i uczestniczyłam w rozmowie. Od razu miałam wrażenie, że spotykam człowieka, który będzie dla mnie dużo znaczył. Wykładał etykę i filozofię.

Jak długo byłaś jego studentką?

H.B.: Nie pamiętam, ale pamiętam, że znajomość z Wojtyłą budowała się powoli i stopniowo zagęszczała. Nie byłam jedyną jego studentką ani nawet główną osobą w tym kręgu ludzi, którzy odnaleźli w tej przyjaźni coś głębokiego, coś nam potrzebnego. Później redagowałam jego teksty i często z własnym przekonaniem, jak to robić. To wymagało odwagi. Przyjmował moje uwagi na ogół dobrze, choć nie w stu procentach.

Aniu, a jak się twoja znajomość i przyjaźń zaczęła z papieżem?

ANNA KAROŃ-OSTROWSKA: Dla mnie takim olśnieniem i najważniejszym momentem była pierwsza pielgrzymka. Miałam wtedy 16 lat. Pamiętam jego obecność, to, jaki był, co mówił. Wielkim odkryciem było to spotkanie poranne z młodzieżą pod kościołem św. Anny. 3 czerwca 1979, drugi dzień pielgrzymki, do dziś pamiętam datę.



Wspominam to jako wielkie przebudzenie. Ludzie napływali od nocy i właściwie całe Stare Miasto, całe Krakowskie Przedmieście aż do Nowego Światu było zapchane tysiącami młodych, którzy siedzieli, modlili się, czekając. I pamiętam, że powiedział wtedy o tym, jaką miarą mierzyć człowieka. Człowieka trzeba mierzyć miarą jego serca! Dla nas, wychowywanych w tym okropnym świecie peerelowskim, w tej straszliwej nowomowie, którą mieliśmy w szkole, to było coś olśniewającego, odkrywczego. A dla mnie jakiś ogromny powiew Ducha. Od tam-

tego czasu zaczął się mój powrót do Kościoła.

A później?

A.K.O.: Później to już były wszystkie jego książki filozoficzne i poetyckie, poszłam na filozofię i wyładowałam w Krakowie u ks. Tischnera na Papieskiej Akademii Teologicznej, gdzie napisałam doktorat o myśli Wojtyły.

Ta bardzo bliska relacja zaczęła się, gdy pojechałam w 1989 do Rzymu na rok na studia doktorskie. Moralitet „Promieniowanie ojcostwa” uznałam za pryzmat jego myśli o relacji Boga i człowie-

Czy można człowieka zredukować do tego, czego w swoim życiu nie zrobił?

I na takiej redukcji oprzeć cały sąd o nim?

HALINA BORTNOWSKA

ka. Papieżowi się to bardzo spodobało i od tego czasu zaczęła się relacja taka właściwie ojcowska, która przetrwała do końca jego życia. Byliśmy w bardzo bliskim kontakcie. Pisaliśmy do siebie co miesiąc listy, przez cały ten czas.

Ogromnie wiele mu zawdzięczam. To było takie uważne towarzyszenie w życiu, we wszystkich jego wymiarach. Kiedy odszedł, miałam poczucie, że właściwie nie mam z kim dzielić życia duchowego.

H.B.: Ja byłam mu bardzo wdzięczna za traktowanie mnie poważnie. W tym, czego ja szu-

kam i co robię. Teraz sobie uświadamiam, że poważne traktowanie najbardziej odpowiada temu stanowi rzeczy. Chociaż to nie było takie osobiste. Mój stosunek do niego to zaufanie, ale niepozba- wione krytycznych momentów.

**Co pamiętasz jako krytycz-
ne momenty?**

H.B.: Że czasami się na mnie bar- dzo gniewała.

O co?

H.B.: Czuję, że to jest już sprawa tylko moja z nim.

**Ale chodziło o twoje spojrzenie
na Kościół czy sprawy bar-
dziej osobiste?**

H.B.: Co do spojrzenia na Kościół to było bliższe, niż się na oko wy- dawało. Rozumiałam go i on mnie też niezłe rozumiał. Natomiast od- czuwałam czasami pewną trud- ność, żeby dalej wierzyć, że on wszystko rozumie.

**Aniu, ty też mi wspominałaś,
że miewałaś odczucie, że on
niektórych rzeczy nie do koń-
ca rozumiał.**

A.K.O.: Tak. Ale u mnie ta różnica wieku była ogromna i całkowicie się zgadzam, że to, co było niezwy- kle ważne, to poważne traktowa- nie. Te poważne rozmowy, wysłu- chanie i to jego partnerskie sku- pienie na próbach rozwiązywania trudnych dylematów.

Rozmawialiśmy i korespon- dowaliśmy między innymi o je- go książce „Miłość i odpowiedzial- ność”, o „Poezjach i dramatach”.

**Halu, możesz powiedzieć o sobie
to samo co Ania, że Wojtyła był
człowiekiem, który cię ukształ-
tował duchowo?**

H.B.: Każdy jest traktowany ina- czej, w zależności od tego, kim sam jest i kim jest kształtujący czy aspirujący do kształtowania. Jest wiele rzeczy, za które jestem mu ogromnie wdzięczna, na przykład, że bardzo twardo stanął w mo- jej obronie, kiedy w Leuven rek- tor uznał, że jestem z Polski, więc prawdopodobnie jestem komu- nistką. Wtedy Wojtyła dał mi znać, jak wygląda sytuacja i że przysy- ła mi list, który mnie obroni. Do- pilnował, żeby przestali mnie cze- piać. Jemu bardzo zależało, abym wykorzystała jak najlepiej ten czas studiów.

**Aniu, mówisz, że twoja relacja
z nim była bardzo bliska.**

A.K.O.: Tak. Moje listy do niego, jako jedne z nielicznych, nie były otwierane przez jego sekretarza Stanisława Dziwisza. Papież sam je otwierał. Dziwisza wszyscy się obawiali, bo to on decydował, kto jest dopuszczony do papieża. Był buforem dla większości ludzi i był nim z przyzwoleniem papieża.

**Miałaś, Halino, poczucie, że
Wojtyła w pełni się zgadza na
działania Dziwisza?**

H.B.: Nie wiem. Nie ośmielię się te- go oceniać. Wiem, że starałam się unikać bardziej intensywnego kontaktu z ks. Dziwiszem...

A.K.O.: ...który zawsze był obecny przy stole.

H.B.: Tak, to mnie denerwowa- ło coraz mocniej i coraz bardziej chciałam tego unikać, i w końcu mój kontakt z samym Wojtyłą bar- dzo się z tego powodu przerzedził. **A.K.O.:** Bywało, że to on przejmowa- ła całą rozmowę.

H.B.: To mnie tak zniechęciło, że w końcu, i to był przełom w mo- im życiu, będąc w Rzymie, i to na- wet długo, do Watykanu w ogóle nie poszłam.

A.K.O.: Ale on to wszystko mówił przy papieżu i papież mu pozwala- ła na to.

Co mówił?

A.K.O.: Mogę mówić o tym, o czym przy mnie czy ze mną roz- mawiał. Bardzo lubił z moim mę- żem, który był dyplomatą, rozma- wiać na tematy polityczne, tylko że to wyglądało tak: „ten Olechow- ski to przecież komuch jest!”. Ma- sa plotek. Ten styl prowadzenia dialogu miał trochę charakter jak na plebanii u wiejskiego probosz- cza. Gdybyśmy miały się spoty- kać z ks. Dziwiszem z własnej wo- li, to żadna z nas nie miałaby na to ochoty.

H.B.: No zdecydowanie nie. **A.K.O.:** Pamiętam, jak sobie po- zwalał na bardzo ostrą krytykę prof. Świeżawskiego [Stefan Świe- żawski, filozof, wybitny historyk filozofii, jedna z głównych posta- ci środowisk „Znaku” i „Tygodni- ka Powszechnego”, jedyny świec- ki audytor z krajów komunistycz- nych na Soborze Watykańskim II], przy milczącej obecności papieża. Papież na pewno nie podzielał je- go opinii, ale milczał.

**Może to jakaś cecha charakte-
ru...**

H.B.: Tendencja do milczenia?

**Tendencja do milczenia,
gdy ktoś wygłasza tak zdecydo-
wane, ostre sądy, na jakie sobie
pozwalał Dziwisz.**

A.K.O.: Ale on też wyraźnie się cieszył, gdy ja nie wytrzymywałam i zaczynałam się z Dziwiszem kło- cić. Papież był zadowolony i wręcz się śmiał, jak wchodziłam w star- cie czy polemikę. Pamiętam, jak po śmierci ks. Tischnera wybu- chłam na pochlebne zdanie Dzi- wisza o nim. Miło, że teraz go do- ceniacie, ale przecież Tischnera wyrzucono ze św. Anny! Papież zamilkł nagle, zrobił się czerwony i okazało się, że on w ogóle o tym nie wiedział.

**Czyli był odcięty od elementar-
nych informacji dotyczących
jego bliskich przyjaciół. Bo prze-
cież Tischnera uważał za przy-
jaciela.**

H.B.: Tak. Albo nie zdawał sobie sprawy, że on jest w jakiś krzyw- dzący sposób traktowany.

**Czy przyjaciel może sobie nie
zdawać sprawy, że jego przyja-
ciel jest tak traktowany?**

H.B.: Może. W zależności od stop- nia przyjaźni. **A.K.O.:** Tischner mógł mu o tym nie napisać, bo się nie chciał skar- żyć. Ale to, że jest źle traktowa- ny w Watykanie i papież jest jedy- ną osobą, która go broniła, było powszechnie wiadomo. Tischner był bardzo krytyczny wobec Radia Maryja, wobec tego, co się działo w polskim Kościele. Przez lata był coraz bardziej krytyczny i wszyscy w kółko powtarzali to jego sław- ne zdanie, za które zbierał cięgi: że nie zna nikogo, kto straciłby wiarę przez lekturę Marksa, ale zna wie- lu, którzy stracili wiarę przez wła- snego proboszcza. To była obraza dla wielu księży.

H.B.: Trudne to wszystko i dla- tego tak się wykręcam od wspo- mnień, bo po prostu wielu rzeczy

nie wiem. Nie wiem, jak je inter- pretować, i nie wiem, co jest infor- macją, a co interpretacją.

**Trudno wyciągnąć właściwe
wnioski na podstawie skraw-
ków informacji, bo w zasadzie
wszyscy tylko takie mamy.**

A.K.O.: Dlatego mówię o tym wy- łącznie, czego sama doświadczy- łam, co sama słyszałam, w czym sama uczestniczyłam. Jestem jak najdalej od spekulacji typu: ktoś coś komuś powiedział. Liczą się tylko oryginalne świadectwa i do- kumenty.



*Przyjaźń z nim to
było takie ważne
towarzystwo
w życiu, we wszystkich
jego wymiarach.
Kiedy odszedł, miałam
poczucie, że właściwie
nie mam z kim dzielić
życia duchowego*

ANNA KAROŃ-OSTROWSKA

**W momencie gdy pojawiły się
pierwsze informacje o arcybi-
skupie Paetzu, o księdzu Degol-
lado, to nagle stałyście się zupeł-
nie bezradne?**

H.B.: Nie całkiem bezradne, bo coś próbowałam robić.

A.K.O.: Pisałam w listach do nie- go o Paetzu, pytałam, dlaczego nie reaguje, ale czy to cokolwiek dało, nie wiem.

H.B.: Wydaje mi się, że reakcja z jego strony była, ale wykręcam się od odpowiedzi, bo nie wiem, czy po tylu latach można coś jesz- cze odpowiedzialnie powiedzieć o czyjeś reakcji.

A.K.O.: Papież odpisywał mi na wszystkie tematy, które porusza- łam w swoich listach, a ten pomi- jał milczeniem.

**Z czego to milczenie mogło wy-
nikać?**

H.B.: Uczciwie powiem, że nie wiem.

**Wanda Półtawska, jedna
z najbliższych Wojtyle osób, też
próbowała, nawet wparowała
do gabinetu papieża, odsuwając
Dziwisza, i położyła przed nim
zeznania molestowanych przez
Paetza kleryków.**

H.B.: Myślę, że on nie przyjmował tego do wiadomości.

A.K.O.: Też jestem skłonna my- śleć, że pewnych rzeczy nie przy- mował do wiadomości. Tylko nie przyjmował do wiadomości, bo tak mu było łatwiej, bo zarządza- nie Kościołem dzięki temu było łat- wiejsze? Na czym to polegało? **H.B.:** Podejrzewam, że było tak, jak mówisz.

Za cenę bólu ofiar?

A.K.O.: Myślę, że wtedy w ogóle nie było takiego tematu. Wartość Kościoła jako instytucji była tak ważna, że wszystko inne było nie- istotne.

**Mówimy o czasach komuni-
zmu w Polsce. Jestem skłonna
przyjąć, że w tamtej sytuacji
politycznej Kościół wołał te-**

**matu unikać. Dobro Kościoła
w komunistycznym kraju tego
wymagało i postawił je wyżej niż
dobro ofiar.**

A.K.O.: Ale trzymać Paetza tak blisko siebie? Rozumiem, że nie mógł go z hukiem wyrzucić z Ko- ściola, ale trzymać go w zasadzie jako drugiego sekretarza?

**Jan Paweł II miał obsesję komu-
nistyczną. Nie można wyklu-
czyć, że uważał te doniesienia
za prowokację ubecką. Te raczej
jestem w stanie przyjąć, gdy mó-
wimy o okresie do 1989 roku.
Ale co po 1989?**

H.B.: Teraz lepiej rozumiecie, dla- czego ja nie chciałam się tym zaj- mować.

**Bo chodzimy po omacku i nie
mamy pojęcia, co się w jego
głowie działo?**

A.K.O.: Przy całej miłości, bo ja go bardzo kochałam i nadal Kocham, przy całym szacunku i ogromie wdzięczności, wobec tego, co się w tej chwili odsłania, wobec doku- mentów i świadectw ludzi z cale- go świata trzeba stanąć i spróbo- wać to jakoś zrozumieć ! Bo mil- czenie jest...

**...w gruncie rzeczy ucieczką.
Co z tymi, co nie chcą uciekać?
Czy mamy jakąś odpowiedź
dla tych, którzy zadają sobie
pytanie: co ja mam myśleć i czuć
dziś do Wojtyły, kiedy wiem, że
on wiedział i nie reagował? A w
każdym razie powinien wie-
dzieć. A jeśli mógł wiedzieć i nie
wiedział, to też jest jego winą.**

H.B.: Pamiętajmy, że ciągle mie- szają nam się informacje z inter- pretacjami i domysłami. Dla mnie to przyczynek do głębszej kontem- placji. Czy można człowieka zre- dukować do tego, czego w swoim życiu nie zrobił? I na takiej reduk- cji oprzeć cały sąd o nim? Wojtyła był i pozostaje kimś bardzo waż- nym w moim życiu, nie chcę jego samego i mojej relacji z nim teraz wyrzucić gdzieś przy drodze. **A.K.O.:** To nie jest tak, że gdyby on żył, to zerwałabym z nim kontak- ty, przestałabym pisać. Nie, zro- biłabym wszystko, żeby wymu- sić na nim odpowiedź. Gdybym uświadomiła sobie, że ewidentnie odmawia odpowiedzi, to pewnie bym się odsunęła.

Ale dziś, gdy próbuję dociec tej prawdy i towarzyszyć ludziom, którzy tej prawdy szukają, mam poczucie, że jestem mu wierna. Wierna temu, żeby zrozumieć prawdę o nim.

H.B.: Bardzo mi się to podoba, ale ja nie jestem tak doskonała. Nie zabrałam się do tego. W pewnym momencie byłam krok od tej bramy i nie weszłam. Nie chciałam.

**No to mamy zostać z czymś
takim? Że kiedy przyjaciel zawo-
dzi, to lepiej w to nie wchodzić?
Lepiej tego nie roztrząsać?**

H.B.: Mam wrażenie, że czasami lepiej. To jest moje wyjście. Niko- mu go nie narzucam.

Czyli ucieczka?

H.B.: Nie, nie ucieczka. Bezrad- ność. Zwyczajna ludzka bezrad- ność.

A.K.O.: Nie zgadzam się na uciecz- kę i na milczenie. Nie zgadzam się na udawanie, że tego nie było, że to tylko źli ludzie te wszystkie brzydkie rzeczy o nim mówią, bo chcą opluć i zniszczyć najszlachet- niejszego człowieka na ziemi, na-

szego doskonałego rodaka! Trzeba szukać i trzeba zadawać pytania.

Milczy Dziwisz, milczą najbliż- si współpracownicy w Watyka- nie i tym milczeniem go pogrąža- ją. Bo nawet go nie bronią, tylko milczą. Nie dowiemy się, jak by- ło z Paetzem, jak było z Marcialem Degollado i z innymi. Dziwisz te- go nam nie powie, pewnie będzie milczał do końca. To kładzie się cieniem na postaci Jana Pawła II.

**Obawiam się, że rozejdziemy się
bez odpowiedzi.**

H.B.: Obawiam się, że tak. Ale ja nie czuję obowiązku odpowiedzi.

**Nie chodzi o obowiązek. Chodzi
o potrzebę zrozumienia przyja-
ciela, mentora, autorytetu.**

H.B.: Nie wątpię, że istnieje ta- ka potrzeba, ale ja jej nie ulegam. W jakimś sensie nie umiem... Mam nadzieję, że nie uznacie, że się wymiguję.

**O wymigiwaniu się nikt nie
mówi. Tylko nie potrafimy sobie
poradzić z własną bezradnością.
Czyli co? Kapitulacja?**

H.B.: Kapitulacja. ●



***Halina Bortnowska** – filozofka, teolożka, społeczniczka, przez wiele lat redaktorka miesięcznika „Znak”, współzałożycielka Helsińskiej Fun- dacji Praw Człowieka



****Anna Karoń-Ostrowska** – filo- zofka, wykładowczyni akademicka, redaktorka „Więzi”, współzałożyciel- ka Instytutu Myśli Józefa Tischnera

Czego o pedofilii w Kościele Jan Pa- weł II nie mógł, a czego nie chciał wiedzieć?

„Bielmo”, książka Marcina Gutow- skiego, powstała na podstawie materiałów zebranych do cyklu reportaży w TVN 24

Wbrew pozorom ani antykościelna, ani antyreligijna – **„Babilon. Krymi- nalna historia Kościoła”** Artura No- waka i Stanisława Obirka to historia Kościoła żyjącego się poczuciem winy wiernych, zależnionego wizją, w której – na równi z kapłanami – oni decydowaliby o jego kształcie



Obie książki dostępne na Kulturalnysklep.pl i w formie ebooka na Publio.pl

OBYWATEL MARNEJ JAKOŚCI

Polityką interesuje się średnio albo wcale. Myli mu się Zandberg, Konfederacja i Platforma. Ale Kaczyńskim jest coraz bardziej zmęczony.

Z PRZEMYSŁAWEM SADURĄ*
I SŁAWOMIREM SIERAKOWSKIM**
ROZMAWIA AGNIESZKA KUBLIK

W raporcie o Polsce w 2022 r. stawiecie śmiałą tezę: „Można odnieść wrażenie, że powtarza się właśnie efekt, który doprowadził PRL na skraj upadku. W latach 70. Polacy zaczęli wyjeżdżać na Zachód, orientować się, jak się żyje, i porównywać z tym, jak żyją w Polsce. Ostatecznie przestali wierzyć w opowieści, obietnice i zapewnienia władzy, uodpornili się też na krytykę Zachodu. Władza ostatecznie się skompromitowała i zasługiwała już tylko na żarty i bunt”.

SŁAWOMIR SIERAKOWSKI: Był nie dogania świadomości. Ludzie coraz lepiej wiedzą, jak powinno funkcjonować państwo, a lawinowo przybywa doświadczeń, jak źle u nas funkcjonuje. Przede wszystkim w usługach publicznych, które wcześniej maskowano transferami socjalnymi. Ale to działało, gdy nie było inflacji, pandemii, wojny.

Władza PiS jest na skraju upadku?

PRZEMYSŁAW SADURA: To proces, który narasta. Zaraz po akcesji do UE mieliśmy do czynienia z dużą falą migracji. Wyjechali Polacy z różnych grup społecznych, i klasy ludowe, i klasy średnie. Przede wszystkim młode osoby, które zaczęły pracować w Niemczech, w Wielkiej Brytanii, chodząc tam do lekarza, zakładać firmy. To był koniec pewnego etapu transformacji. Moment, kiedy do nich dotarło, że liczy się nie tylko wzrost gospodarczy, ale także jakość życia obywateli i za tym mają stać usługi publiczne na wysokim poziomie.

PiS w 2015 r. wygrał z taką właśnie diagnozą – że państwo jest słabe, niewydolne. Dobrze wyczuł, że Polacy potrzebują zmiany jakościowej. Zaproponował program odbudowy państwa, zaczynając od 500 plus, ale za tym nie poszły zmiany, choćby w transporcie, służbie zdrowia, edukacji. I ludzie są tym rozczarowani. Uwierzyli po raz kolejny, że Polska może stać się do brym, sprawiedliwym państwem opiekuńczym. Ale PiS nie dał rady, że wszystkich obietnic zostało tylko 500 plus, które teraz zjada inflacja, a środki, które mogły pójść na naprawę usług publicznych, poszły na inne transfery socjalne.

Dziś badani widzą kolejną falę emigracji, tym razem specjalistów z klasy średniej, którzy w czasach postpandemicznych, kiedy standardem stała się praca hybrydowa albo zdalna, masowo szukają zatrudnienia za granicą, nawet na próbę. Mają wśród znajomych innych specjalistów, którzy już to sprawdzali. Za chwilę uciekną z kraju lekarze, pielęgniarki, nauczyciele. Badani z wiel-

komiejskiej klasy średniej mówili o tym bez ogródek.

SIERAKOWSKI: Jest pewna analogia między dzisiejszym rozczarowaniem PiS a rozczarowaniem Platformą siedem lat temu. PO zapłaciła w wyborach za to, że nie dogoniła aspiracji społecznych, które skokowo wzrosły. Postawiła na modernizację techniczną, infrastrukturalną, stadionową, ale przegapiła usługi publiczne. A ponieważ razem PO i PiS nadal zbierają ponad połowę głosów, to rozczarowanie dotyczy teraz całej klasy politycznej, całego państwa.

W efekcie Polacy migrują do domu. Po pierwsze, rośnie grupa zdeorientowanych, niegłosujących i ogólnie tracących zainteresowanie polityką. Po drugie, rośnie grupa tych, którzy rozwiązań swoich problemów szukają w indywidualnych strategiach przetrwania. To dobrze widać na przykładzie węgla – już zaczynamy palić wszystkim, z gliny węglowej domowymi sposobami robią jakiś substytut węgla itd.

Piszecie o dwóch elektoratach Kaczyńskiego – fanatykach, którzy są wiecznie zakochani w PiS, i cynikach, którzy dołączyli ze względu na pieniądze i w zamian za profity przyszykują oczy na afery.
SIERAKOWSKI: To już przeszłość. Umowa społeczna z cynikami polegała na tym, że

Przemysław Sadura i Sławomir Sierakowski od kilku lat badają kondycję Polaków (raporty „Polityczny cynizm Polaków” i „Koniec hegemonii 500 plus”). Najnowsze badania dotyczą wpływu pandemii i wojny na społeczeństwo. To wywiady fokusowe, przeprowadzane wśród wielkomiejskiej klasy średniej oraz klas ludowych małych miejscowości, sondaż na reprezentatywnej próbie Polaków, wywiady indywidualne i eksperckie. W wywiadach brali udział wyborcy opozycji, PiS i osoby, które nie popierają żadnej partii. Badacze dotarli do tych grup, które zwykle odmawiają udziału w sondażach, bo czują się niepewnie, rozmawiając o polityce.

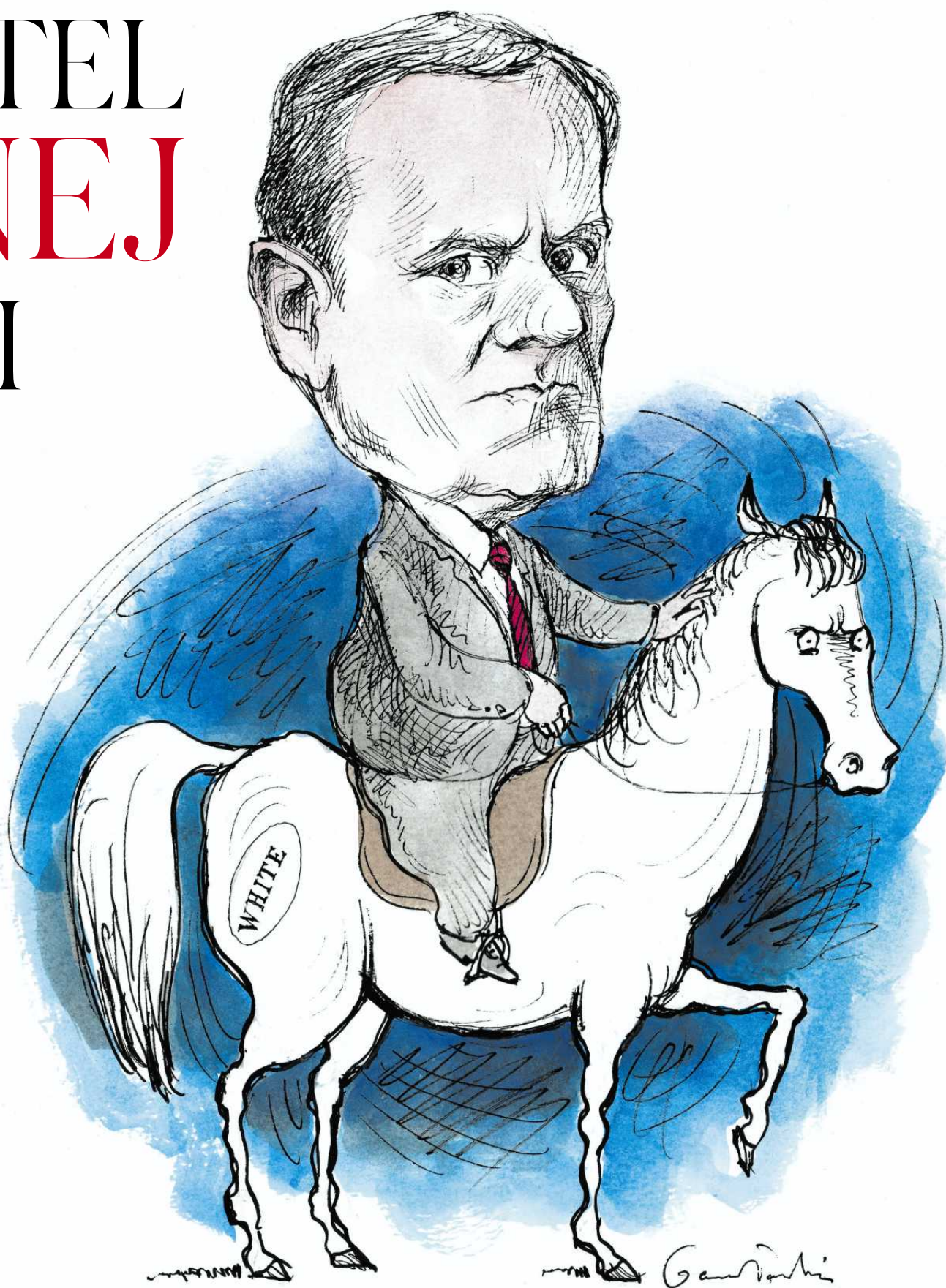
PiS płacił. Gdy teraz Polacy widzą, jak inflacja zjada im pieniądze, że państwa może zaraz nie być stać nawet na wypłacane transfery, bo Europa zatrzymuje kolejne fundusze europejskie, to elektorat cyniczny zaczyna się zastanawiać i może się stać elektoratem albo zrezygnowanym, albo elektoratem, który uwiedzie jakaś inna partia.

SADURA: Ten cyniczny elektorat teraz jest apatyczny. Zachowuje się jak autostopowicz, który próbował złapać okazję, stał, machał ręką przez dwie godziny, nic nie złapał, ale jeszcze nie odchodzi, bo to by oznaczało przekreślenie tych dwóch godzin. Ale klnie pod nosem: „Wiedziałem, że tak będzie!”. Tylko że to nie jest rozczarowanie PiS czy Kaczyńskim, ale Polską w ogóle.

Kręcą nosem, ale w sondażach PiS ma te 30 proc. poparcia.

SADURA: Fanatycy zostają, ale warunkowy elektorat PiS topnieje szybciej niż lodowiec w epoce katastrofy klimatycznej.

SIERAKOWSKI: Ci, którzy byli zdecydowanie za PiS w 2015 i 2019 r., teraz się wstydzą, wykręcają albo wskazują na PiS, uzasadniając to inercyjnie. „Głosowałem dwa razy na Kaczyńskiego, nie chcę przed sobą wyjść na idiotę”. To już nie jest taka siła, która wyciągnie tyłu Polaków z domów jak wcześniej. A PiS zawsze wygrywał motywacją.



„Obywatele gorszej jakości”, jak ich nazywacie. Myli im się Zandberg, Konfederacja i Platforma...

SIERAKOWSKI: Sondaże ograniczają się do „obywateli dobrej jakości”, jak ich nazywa prof. Jacek Raciborski, bo ankietarzy do wszystkich nie są w stanie się dodzwonić albo ludzie odmawiają uczestnictwa w badaniu. My staraliśmy się dotrzeć także do tych „obywateli gorszej jakości”. To częściej byli wyborcy PiS niż opozycji.
Sadura: Nawet jeśli nie dominują wśród głosujących, to stanowią większość społeczeństwa, a ich decyzje mogą rozstrzygnąć wybory.

Wasze badania potwierdzają, że 500 plus i transferami socjalnymi nie da się kolejny raz wygrać wyborów. „Teraz nie pomoże straszenie, że opozycja zabierze, bo odbiera inflacją”. To jak PiS może przytrzymać cyników przy sobie?
SIERAKOWSKI: Nie widzę dużych szans.

Kasa, kasa, kasa...

SIERAKOWSKI: Mam wątpliwości. Bo jak przyszło 500 plus, to było wiadomo, co to realnie oznacza. A dzisiaj nie wiadomo. Inflacja już gigantyczna i nikt nie wie, jaka będzie jutro. Gotówka przestała być tak kusząca.

Jak to? W czasach drożyzny gotówka jest szalenie potrzebna.

SIERAKOWSKI: Owszem. Ale wybory w Polsce wygrywa się kilkoma procentami. Wystarczy, że te kilka procent tym razem nie uwierzy w obiecane transfery socjalne.

Teraz PiS, stawiając na tę swoją niepraworządność, którą nazywa suwerennością, traci także nasze setki miliardów, już nie tylko z KPO, ale także z normalnego funduszu unijnego. Jeśli elektorat cyniczny zauważy w odblokowaniu funduszy europejskich swoje 500 plus razy kilka, to może zagłosować na PO czy Lewicę, nawet jak za nimi nie przepada, tak jak nigdy nie przepadał za PiS.
Sadura: Dostrzegam wyraźną zmianę strategii opozycji, a przede wszystkim samego Tuska. Pojawiła się narracja prosocjalna. Już nie tylko, że nic, co dane, nie będzie odebrane, teraz opozycja obiecuje to, co populistyczny PiS – gruszki na wierzbie.

W programie PO znajdziemy na przykład wszystkie postulaty Lewicy i wiele więcej. Widać, że adresują to do wahającego się, cynicznego, tracącego wiarę elektoratu Kaczyńskiego.

Z wcześniejszych badań wiemy, że wyborcy Platformy nauczyli się myśleć z wyrachowaniem i część mówi: dobra, obiecują to, żeby wygrać, a jak wygrają, będą próbowali prowadzić politykę racjonalną.

Wyborcy opozycji wierzą w zwycięstwo?

SIERAKOWSKI: No właśnie. Najpoważniejszym problemem opozycji jest to, że ludzie PiS nie lubią, od PiS odchodzą, poparcie PiS spada, ale jednocześnie PiS cały czas ma wizerunek partii zdecydowanej, nieustraszonej, bezkompromisowej. W pewnym sensie PiS cały czas ma charyzmę.

Jak rozmawiamy z Polakami, to słyszymy wszystkie argumenty za opozycją. Dopóki nie spytamy, kto wygra. Gremialna odpowiedź: PiS.

Bo widzą opozycję, która się zajmuje sobą, która się kłóci. Widzą Lewicę, która jest skupiona bardziej na podgrzaniu Platformy niż PiS. Widzą opozycję, która ma nieatrakcyjnych przywódców. Tusk jest najbardziej charyzmatyczny, zdecydowany, ale wciąż jest w czyśccu politycznym, co jest zresztą pozytywną zmianą. Polacy nadal go nie lubią, ale do końca już nie pamiętają za co. Ma rok na następny krok, i to może wystarczyć.

Kaczyńskiego też nie lubią.

SIERAKOWSKI: Kaczyńskiego nigdy nie lubili, ale lubili to, co dawał. Natomiast opozycja potrzebuje lubianego lidera.
Sadura: Kaczyńskiego nie trzeba było lubić. Wystarczyło, że był skuteczny, a w każdym razie panowało przekonanie o skuteczności jego strategii.

Kiedy wszyscy analitycy przepowiadali, że z elektoratu seniorskiego lub mieszkającego na wsi więcej się już nie da wycisnąć, PiS pokazywał, że się da. PiS potrafi mobilizować elektorat na wszelkie możliwe sposoby.

Ostatnio pieniędzi.

Sadura: Dlatego niepokoi mnie, że narracja opozycji oparła się na tym, że PiS nie dostanie środków unijnych. Co, jeśli nagle poprawi relacje z Brukselą i nie tylko otrzyma te ogromne środki, ale nawet częściowo uruchomi? Kluczowy argument opozycji upadnie.

PiS może sięgnąć przed wyborami również po antyukraińskie emocje. Piszczie w raporcie: „Konieczne trzeba rozbroić tę ukrytą niechęć do uchodźców, zanim wybuchnie. Inaczej wykorzystają ją populiści”.
SIERAKOWSKI: Bo błyskawicznie rośnie, ale nic nie wydostaje się do sfery publicznej. Tu wciąż uchodźcy są pod ochroną. Politycy i media mówią albo dobrze, albo wcale. A w sferze prywatnej jest odwrotnie: mówimy o nich źle i na okrągło. Trzeba tę bombę natychmiast rozbroić, bo wybuchnie mediom liberalnym i opozycji w rękach. Kto pierwszy ją rozbroi, ten może zagospodarować jakąś ważną część emocji. PiS mo-

że mieć z tym taki problem, że rządzi i nie wypada podsycać nastrojów antyukraińskich, bo na świecie jest chwalony za pomoc uchodźcom, choć tak naprawdę pomagają samorządy i NGO-sy.

Sadura: Konieczne trzeba o tym mówić. Ludzie jak kiedyś plotki dziś powtarzają internetowe fejki, że Ukraińcy mają pierwszeństwo u lekarza, w przedszkolu czy żłobku, że wszystko chcą mieć za darmo, za nic nie chcą płacić i dostają od państwa nieograniczoną pomoc.

To jest oczywiście podszyte brakiem wiary w państwo, obawą, że system usług publicznych nie da rady. Niemniej niechęć do Ukraińców jest coraz większa. Uderzyło nas, że ludzie do tego nawiązywali we wszystkich grupach fokusowych. Wielkomiejska klasa średnia równie chętnie jak klasa ludowa z mniejszych ośrodków.

SIERAKOWSKI: To nie jest nawet niechęć do Ukraińców jako takich, ale to tradycyjny sposób Polaków na wyjaśnianie lub odregowanie swoich problemów. Gdyby ufali państwu, gdyby świadomość społeczna i klasa polityczna były na trochę wyższym poziomie, to Polacy by patrzyli na procesy społeczne, a nie szukali winnych.

Spiskowe widzenie świata jest charakterystyczne dla narcystycznych partii narodowych, jak PiS.

SIERAKOWSKI: Wcześniej winni byli inni Polacy, a dzisiaj pod ręką są uchodźcy. Tworzy się nisza – PiS traci popularność, opozycja jeszcze niewystarczająco ją zyskuje, a tu leży i czeka, aż się go podniesie, niewyartykułowany w mediach i przez klasę polityczną temat, który rozpala Polaków. Aż się prosi, żeby przed wyborami powstał jakiś ruch typu antyszczepionkowego, jakaś nowa partia z taką spiskową wizją świata. Tak dokładnie urosła AfD w Niemczech. Kalendarz wyborczy temu bardzo sprzyja. I zgarnie kluczowe 5-10 procent.

Sadura: A już mieliśmy tego typu sytuację w Europie. Przed brexitem robiłem w Anglii badania. Kiedy chciałem zadać prowokacyjne pytania o ksenofobię, rasizm, uprzedzenia, brytyjscy partnerzy powiedzieli: „Nie, nie możemy pytać o takie rzeczy wprost,

gdyby to zobaczył któryś z superwizorów, to byśmy stracili pracę”. Więc nie badali. A już wtedy było widać, że te demony istniały, i wkrótce potem populiści spuścili je ze smyczy.

Próba przykrycia problemu poprawnością polityczną nie działa. Przeciwnie, pozwala wyhodować siły, które mogą być wspierane z zewnątrz. Powinniśmy to rozbroić, na przykład mówiąc tak: „To nie jest nic złego, można mieć ambiwalentne uczucia, zachowaliśmy się wspaniale, ale mamy prawo do wątpliwości, czy długo wytrzymamy”. Trzeba ludziom dać prawo do wyrażania takich emocji, żeby upuścić ciśnienie. Inaczej ktoś je zagospodaruje.

Piszczie, że Polacy potrzebują pomocy psychoterapeutów jak nigdy wcześniej. Pandemia, klimat, wojna, inflacja, kryzys energetyczny, groźba wojny nuklearnej – żyjemy w czasach globalnych katastrof.
SIERAKOWSKI: Już sama pandemia wystarczyła, żeby Polacy masowo rzucili się do terapeutów. Nagle ignorowany wcześniej albo wyśmiewany przez szersze masy społeczne temat leczenia zdrowia psychicznego stał się poważny i potrzebny prawie wszystkim. Siedzieliśmy w zamknięciu, zaczęły się problemy z uzależnieniami, zaburzenia odżywiania, zdrady, rozpadu związków, komplet problemów społecznych. Poradnie zaczęły

Niechęć do Ukraińców jest coraz większa. Temat poruszali nawet ludzie z klasy średniej, sami, niepytani. Opozycja musi to rozbroić albo ktoś to zagospodaruje i zgarnie kluczowe 5-10 procent

pękać w szwach. Spotkaliśmy się z kilkunastoma terapeutami, z placówek publicznych i prywatnych. Opowiadali o ogromnym przeciążeniu, o lawinowo rosnących potrzebach. A z wojną i inflacją lęków tylko przybyło.

Jednocześnie ta sytuacja stworzyła nowy paradygmat w polityce. W zburzonym świecie ludzie przestają myśleć o przyszłości, przestają szukać u polityków programów politycznych, bo dotyczą przyszłości, a ta jest niepewna. Szukają „polityków bliskiego kontaktu”. I pierwszy polityk, który zacznie odpowiadać na te lęki, który zacznie uprawiać politykę nie populistyczną, ale terapeutyczną, może zostać nowym przywódcą.

Z waszego badania wynika, że zapewnienie każdemu dostępu do psychoterapii jest potrzebą ważniejszą niż zapewnienie każdemu pracy czy mieszkania.

Sadura: 73 proc. zdecydowanie zgadza się, że obowiązkiem państwa jest zapewnienie każdemu dostępu do opieki zdrowotnej, po 66 proc. – wsparcia opiekunom osób niepełnosprawnych oraz powszechnego dostępu do dobrej edukacji, 49 proc. – każdemu dostępu do bezpłatnej psychoterapii. To bardzo dużo, tym bardziej że kolejne 39 proc. raczej zgadza się z tym postulatem. Psychoterapia wyprzedziła takie obowiązki państwa jak zapewnienie każdemu pracy – 38 proc. zdecydowanie popierających, pomoc rozwojową dla firm – 37, zapewnienie mieszkania tym, których na to nie stać – 36 proc., czy tworzenie warunków, żeby rodziło się więcej dzieci – 33 proc.

Bardzo dużo piszczie o braku zaufania do państwa.

SIERAKOWSKI: To zjawisko strukturalne i historyczne, cywilizacyjne. W Polsce 72 proc. Polaków deklaruje, że nie ufa nawet własnej rodzinie. Na Zachodzie te wyniki są odwrotne. Właśnie zaufanie do instytucji, do państwa różni Europę Wschodnią od Zachodniej. W efekcie te same programy polityczne wrzucane w politykę zachodnią i wschodnią oznaczają co innego.

Co?

SIERAKOWSKI: Załóżmy, że masz dwie partie – partię reform i partię gotówki. Na Wschodzie to partia gotówki będzie zwycięzać. Bo w społeczeństwie, które nie wierzy, że państwo może zrealizować reformę, wygranego wskazuje cyniczny wyborca, dla którego lepszy wróbel w garści. A gotówka jest dużo gorszą inwestycją niż reforma, to rodzaj błędnego koła cywilizacyjnego. A partię populistyczne jeszcze bardziej wzmacniają to zjawisko, bo jeszcze bardziej rujnują zaufanie do państwa.

To widać u nas. Zaufanie do państwa było male, po kilku latach rządów PiS jest niemal zerowe.

Sadura: Spadek zaufania dotyczy też mediów. Ludzie mają poczucie, że nie ma już wiarygodnych źródeł informacji. Gorszy pieniądz wypiera lepszy – media głównego nurtu zareagowały na tabloidyzację i pojawienie się mediów tożsamościowych. Jest w nich coraz więcej przekazu emocjonalnego, coraz mniej faktów i rzetelnych wyjaśnień.

Dotarliście do tych, którzy zwykle odmawiają udziału w sondażach, bo czują, że mają za małe kompetencje, by odpowiadać na pytania o kwestie polityczne.

SIERAKOWSKI: Najpopularniejsza forma, sondaż telefoniczny, to nie jest sondaż przeprowadzony na reprezentatywnej grupie, tylko grupie tych, do których łatwo się dozwonić. I potem partie są zaskoczone, że wynik wyborczy jest inny niż prognoza. Stąd taki kryzys zaufania do sondaży. My tę grupę staraliśmy się poznać.

I doszliście do wniosków, że wygra ten, kto będzie potrafił skuteczniej zarządzać lękami.

SIERAKOWSKI: Ten, który się nie przestraszy trudnych tematów, trudnych pytań, który wejdzie między ludzi, nie będzie uprawiał polityki z telewizora.

Teraz przywódca musi dać Polakom poczucie bezpieczeństwa, a nie jakiś bardzo dobry pomysł. Dziś tym wygrywa się wyborcy, a nie programami. Bezpieczeństwem, czyli pokazaniem ludziom, że ktoś ma kontrolę nad światem, który pędzi nie wiadomo w jakim kierunku.

Ktoś może w ogóle mieć kontrolę?

SIERAKOWSKI: Tusk wykazał się dobrą intuicją, zaczął jeździć, otworzył się na wszystkie najtrudniejsze pytania i traktuje je jako wskaźnik, za czym jeszcze trzeba pójść.

Ale raczej potrzebny jest młody, energiczny, lubiany psychoterapeuta.

Sadura: Dziś społeczeństwo czeka bardziej na terapeutę niż iluzjonistę.
SIERAKOWSKI: Na przywódcę, który w czasach totalnej niepewności potrafi wyznaczać kierunek, ale też potrafi się ludźmi zaopiekować. ●



*** Dr hab. Przemysław Sadura** – profesor UW, wykłada na Wydziale Socjologii, kurator instytutu badawczego „Krytyki Politycznej”, autor m.in. książki „Państwo, szkoła, klasy”



****Sławomir Sierakowski** – socjolog, założyciel i lider „Krytyki Politycznej”, pracownik naukowy Niemieckiej Rady Polityki Zagranicznej, publikuje m.in. w „New York Timesie”



To miała być Wunderwaffe PiS. Niemal idealny program szpiegowski, który potrafi przejąć pełną kontrolę nad telefonem użytkownika. Nie tylko śledzi i nagrywa rozmowy, ale może nawet włączyć kamerę i robić zdjęcia.

Projektantem oprogramowania była niewielka firma NSO założona w 2010 r. przez dwójkę przyjaciół ze szkoły: Shaleva Hulia i Omriego Laviego. Trzeci wspólnik, Niva Karmi, wniósł do firmy kontakty z izraelskim Mosadem.

Po dekadzie NSO rozrosła się do 750 pracowników z rocznymi obrotami przekraczającymi 240 mln dol. Możliwości, jakie daje jej Pegasus, były tak potężne, że NSO sprzedawała go nie samodzielnie, lecz w porozumieniu z izraelskim ministerstwem obrony. Izraelczycy godzili się na sprzedaż licencji jedynie rządowi państw, aby program nie dostał się w ręce mafii czy karteli narkotykowych.

Tylko co z państwami o szemranej reputacji? Rządy Meksyku, Kazachstanu, Tajlandii, Arabii Saudyjskiej i innych krajów szybko odkryły, że dzięki Pegasusowi mogą się pozbyć opozycji, niewygodnych dziennikarzy i działaczy praw człowieka. Śledziły ich, ustalały powiązania, a potem aresztowały. Czasem posuwały się do akcji wyjątkowo perfidnych. Służby meksykańskie, by zainstalować działaczowi walczącemu z korupcją Pegasus, wysłały mu w 2016 r. zainfekowany link na telefon. Jego treść głosiła: „Twoja córka miała wypadek i jest w ciężkim stanie. Kliknij w link, żeby sprawdzić, w którym jest szpitalu”.

Jednak na świecie panowało przekonanie, że Pegasus dobrze się spisuje w walce ze zorganizowaną przestępczością. Dzięki niemu Meksyk aresztował słynnego narkobaronę Joaquína Guzmána Loerę, ksywa „El Chapo”. A Europejczycy rozbili międzynarodową siatkę pedofilów.

Właśnie w takich okolicznościach rząd PiS rozpoczął starania o zakup Pegasus. Grunt przygotował jeszcze rząd Beaty Szydło. Premier udała się w listopadzie 2016 z ówczesnym ministrem spraw zagranicznych Witoldem Waszczykowskiem do Izraela, gdzie spędzili wieczór na kolacji w domu państwa Netanjahów. Rok później, w lipcu 2017, Szydło spotkała się ponownie z izraelskim premierem w Budapeszcie na szczycie szefów państw Grupy Wyszehradzkiej, której przewodniczyły wówczas Węgry. Według rządowego komunikatu rozmawiali o „zacieśnieniu współpracy m.in. w obszarze innowacji i wysokich technologii” oraz o „kwestiach związanych z szeroko rozumianym bezpieczeństwem obywateli”.

Netanjahu nie ukrywał, po co przyleciał do Budapesztu. Na zorganizowanym tego samego dnia węgierskim forum ekonomicznym zachwalał izraelskie cybertechnologie. Mówił, że obecnie Izraelczycy kontrolują 20 proc. światowego rynku w tej dziedzinie i że to jedyny obszar, w który „on osobiście ingeruje”.

Dwa miesiące później Centralne Biuro Antykorupcyjne kupiło Pegasus. Chwilę później zrobili to Węgrzy.

To właśnie Orbán usilnie zabiegał o obecność Netanjahu na szczycie Grupy Wyszehradzkiej. Jego polityczne zbliżenie z izraelskim premierem trwało od miesięcy. Poza zapewnieniem transferu technologii Węgrom chodziło o nawiązanie relacji, które zamknęłyby usta krytykom opisującym rząd Orbána jako skrajnie prawicowy i antysemitki.

Korzyść była obopólna. Netanjahu poszukiwał sojuszników w Unii, którzy byłiby w stanie rozbić europejską jedność wobec krytyki Izraela za jego politykę w Strefie Gazy. Węgry, mające mocno na pieńku z Komisją Europejską, nadawały się do tego idealnie.

Pegasus był od początku wymyślony jako narzędzie izraelskiej dyplomacji. NSO Group szybko pojęła, jakie może mieć znaczenie polityczne, gdy program był gotowy. W 2011 r. jej założyciele na czele spółki postawili szanowanego wojskowego i bohatera w wojnie Jom Kippur, gen. Awigdora Ben-Gala. Generał wiedział, że tak potężne narzędzie może w niepowołanych rękach być jak brzytwa w ręku małpy, i wołał się zabezpieczyć. Postawił warunki: 1. NSO nie będzie nigdy operatorem programu, lecz klient, który kupuje licencję, dzięki czemu



PEGASUS ZWIJA SKRZYDŁA

A Ziobro zakłada własną specsłużbę

MICHAŁ KOKOT

FOT. SHUTTERSTOCK



firma miałaby czyste ręce. 2. Program będą mogli kupować tylko rządy państw. 3. Za każdym razem o sprzedaniu licencji decydować będzie izraelskie ministerstwo obrony.

Te trzy warunki miały NSO zapewnić polityczny parasol na wypadek kłopotów z klientami. Ale gdy te nadeszły, okazały się znacznie bardziej poważne, niż Ben-Gal przewidywał.

Lecz przez pierwsze lata NSO działała swobodnie. Powodzenie projektu zapewniała jego tajność. Węgierscy posłowie parlamentarnej komisji ds. służb specjalnych, którzy głosowali w październiku 2017 nad dopuszczeniem dodatkowych technik inwigilacji przez państwo, nie mieli pojęcia, że zgadzają się na zakup Pegasus. W krótkiej prezentacji przedstawiciel Narodowej Służby Bezpieczeństwa NBSZ wyjaśnił im jedynie, że chodzi o „wysoce wyrafinowaną technikę” inwigilacji, która zwiększy bezpieczeństwo kraju. Komisja, włącznie z przedstawicielami opozycji, zagłosowała jednogłośnie „za”.

By zmylić tropy, program kupiło nie bezpośrednio państwo, lecz spółka, w której udziały miał był oficer komunistycznej bezpieki i zaufany człowiek Sándora Pintéra, ministra spraw wewnętrznych. On z kolei to zaufany człowiek Orbána.

Spółka kupiła Pegasus za 6 mln euro. Według portalu śledczego Direkt36 tyle kosztowało 50 licencji. Oznacza to, że Węgrzy mogli inwigilować 50 numerów telefonów jednocześnie. Direkt36 wyliczył, że na liście inwigilowanych znajduje się 300 osób. Wśród nich ludzie, którym prokuratura nigdy nie postawiła żadnych zarzutów: samorządowcy, przedsiębiorcy, a nawet zagraniczny student, który brał udział w demonstracji przeciwko Orbánowi.

Na Węgrzech władza przyglądała się osobom, które – jak sądziła – mogą być dla niej zagrożeniem. Do takich osób należał Zoltán Varga, właściciel grupy medialnej Central Médiasoport, do której należy jeden z najbardziej popularnych portali – 24.hu. Varga jest jednym z nielicznych przedsiębiorców, którzy otwarcie krytykują Orbána. Ludzie rządzącego Fideszu nagabywali go wielokrotnie, by pozbył się udziałów w mediach na rzecz osób związanych z władzą, w zamian obiecując lukratywne kontrakty publiczne. Varga za każdym razem odmawiał.

W czerwcu 2018, dwa miesiące po wygranych przez Fidesz wyborach, przedsiębiorca zorganizował poufne spotkanie, na które zaprosił kilka osób z kręgu opozycji, a także byłego ministra w rządzie Orbána. Rozmawiali o powołaniu fundacji, która miałaby się zajmować zwalczaniem korupcji. Dwa tygodnie później Varga spotkał mającą powiązania z rządem znajomą, która go ostrzegła, że tego typu kolacje mogą być dla niego „niebezpieczne”. Zaszugerowała, że rząd może je potraktować jako próbę puczu.

Orbán, który rządzi Węgrami nieprzerwanie od 12 lat, jest nieufny. Zapewne z tego powodu służby wgrały Pegasus na telefon byłej węgierskiej ambasador w Chinach, nim stała się jedną z najbliższych doradczyń premiera. Ale władza chciała mieć też pod kontrolą byłego prezydenta Jánoša Ádera. Gdy ten coraz mniej chętnie dzielił się informacjami z ochroniarzami z TEK, jednostki antyterrorystycznej podległej bezpośrednio premierowi – o tym, gdzie przebywa i co robi. Służby wgrały oprogramowanie do telefonów ochroniarzy jego własnego biura.

A gdy dziennikarze Direkt36 sprawdzali listę z nazwiskami osób inwigilowanych, ku zaskoczeniu znaleźli na niej również swoje dane. Andrea Szabó pisała o luksusowych samochodach rządu Orbána, gdy była inwigilowana Pegasus. Telefon Szabolcsa Panyiego został zainfekowany, gdy zbierał materiały na temat Międzynarodowego Banku Inwestycyjnego (MIB). Ten kontrolowany przez Kreml bank był za czasów komunizmu rezydenturą radzieckiego wywiadu. Również teraz nazywany jest „bankiem szpiegów”. Jego pracownicy cieszą się immunitetami dyplomatycznymi. Panyi chciał prosić o komentarz kierownictwo MIB w sprawie faktów, jakie odkrył. Okazało się, że Pegasus został zainstalowany na jego telefonie krótko po tym, gdy wysłał do MIB pytania.

Dziennikarze pozwali państwo węgierskie za nielegalną inwigilację. Rząd początkowo zaprzeczał, że służby stosują Pegasus. Ale gdy prawdy nie udało się już dłużej ukryć, jego przedstawiciele zaczęli twierdzić, że jest stosowany zgodnie z prawem.

To kopia tego, co mówili w Polsce politycy PiS. Michał Woś, wiceminister sprawiedliwości i prawa ręka Zbigniewa Ziobry, najpierw do sprawy podchodził kpiąco. Twierdził, że jedynym Pegasus, jaki kupił, była w latach 90. konsola do gier o tej samej nazwie. Gdy okazało się, że to jego podpis jest na ministerialnym dokumencie, na którym poleca wypłatę pieniędzy na rzecz CBA, nabral wody w usta.

Zakup Pegasus miał w Polsce pozostać tajny, tak jak tajne miały pozostać przed laty więzienia

■
***Służby meksykańskie,
by zainstalować działaczowi
walczącemu z korupcją Pegasus,
wysłały mu wiadomość:
Twoja córka miała wypadek
i jest w ciężkim stanie.
Kliknij w link, żeby sprawdzić,
w którym jest szpitalu***

CIA. Jednak, jak odkrył NIK, CBA kupiło Pegasus za 33 mln zł, z czego 25 mln przekazało Biuru Ministerstwa Sprawiedliwości za pośrednictwem podległego funduszu pomocy pokrzywdzonym. To te pieniądze nakazał przelać CBA Woś, któremu ów fundusz podlegał. By to zrobić, musiał uzyskać zgodę sejmowej komisji finansów publicznych.

Wzorem Węgrów posłowie nie poznali prawdy, za czym tak naprawdę głosują. Woś, który wnioskuje o przesunięcie pieniędzy, przemilczał fakt, że mają trafić na zakup Pegasus. NIK uznał, że do transferu doszło wbrew prawu, jednak nie dlatego, że posłowie nie wiedzieli, na co się zgadzają. Chodzi o to, że ustawa o CBA nie pozwala na finansowanie jej działalności ze źródeł innych niż bezpośrednio z budżetu państwa. Sprawę później badało Ministerstwo Finansów. Ale wiceminister Piotr Patkowski ukreślił jej łeb, stwierdzając, że wprawdzie doszło do złamania prawa, ale uznał to za „niską szkodliwość społeczną czynu”.

Brakujące 8 mln zł do Pegasus dołożyło CBA. Znow jak u Węgrów – do zakupu oprogramowania od Izraelczyków posłużyła firma mająca powiązania z dawną komunistyczną bezpieką. Większość udziałów w firmie Matic, która kupiła dla CBA Pegasus, miała dawna funkcjonariuszka Służby Bezpieczeństwa, która w PRL działała w wywiadzie.

Chodziło przecież o to, by ukryć prawdę. A nikt nie nadawał się do tego lepiej od wieloletnich agentów, pamiętających jeszcze czasy bezpieki.

Izraelczycy szkolenia systemu dla agentów CBA przeprowadzili jesienią 2017. Według naszych informacji testy Pegasus trwały w listopadzie, a miesiąc później CBA rozpoczęła inwigilację. Na

pierwszy ogień poszedł Bartłomiej Misiewicz, były zaufany Antoniego Macierewicza, zwolniony z MON. W tym samym czasie podsłuch został założony również byłemu posłowi PiS Mariuszowi Antoniemu Kamińskiemu. Obydwaj zostali aresztowani ponad rok później za powoływanie się na wpływy dla osiągnięcia korzyści materialnych.

W tym samym miesiącu Pegasusem zainfekowano telefon Tomasza Szwejgierta, współautora książki o Mariuszu Kamińskim, szefie MSWiA. Według naszych informacji Szwejgiert był inwigilowany przez półtora roku – od grudnia 2017 do czerwca 2019. CBA logowała się na jego telefonie ponad 50 razy. On sam utrzymuje, że powodem jest jego kompromitująca Kamińskiego wiedza o działaniach podległych mu służb. Stanisław Żaryn, rzecznik Kamińskiego, zaprzeczył, by Szwejgiert był powiązany ze służbami, i wskazał, że jest on oskarżony o przestępstwa gospodarcze, za co był dwukrotnie aresztowany w ostatnich latach.

Szwejgiert był jedną z pierwszych osób, o której inwigilowaniu poinformowała pod koniec 2021 agencja AP. Dziennikarze ujawnili wtedy jednocześnie, że na podsłuchu byli również prokurator Ewa Wrzosek i Roman Giertych. Wrzosek podpierała Ziobrze, gdy mimo karnego przeniesienia z prokuratury w Warszawie do odległego o 300 kilometrów Śremu za próbę wyjaśnienia „wyborów kopertowych” nadal krytykowała bezprawne działania ministra. Giertych był już wtedy od lat adwokatem reprezentującym opozycyjnych polityków, z Tuskiem na czele.

Obydwoje byli niewygodni dla PiS i Ziobry. Prokurator Wrzosek bezwzględnie wskazywała na bezprawie, które zapanało w prokuraturze za jego rządów, i wytykała mu błędy. Giertych reprezentował biznesmenów i polityków opozycji, na których haki zbiera władza, by postawić ich przed wymiarem sprawiedliwości i skompromitować. Aż w końcu sam doczekał się śledztwa. Prokurator postawił mu zarzuty działania na szkodę jednej ze spółek, należącej w przeszłości do biznesmena Ryszarda Krauzego. Ale sąd, który rozpatrywał wniosek o areszt Giertycha w tym roku, nie zostawił na zarzutach prokuratora suchej nitki, uznając „brak dużego prawdopodobieństwa, że podejrzany dopuścił się zarzucanych mu czynów”.

PiS od lat próbuje udowodnić, że wielkie majątki w Polsce powstały w wyniku „układu”, zgodnie ze starą maksy-

mą prezydenta Lecha Kaczyńskiego, „jeżeli ktoś ma pieniądze, to skądś je ma”. Na teorii o układzie skorumpowanych sądów, przedsiębiorców i polityków trzęsącym Polską bracia Kaczyńscy latami budowali kapitał polityczny. Uważali, że na drodze do jego wyjaśnienia stoi „imposybilizm prawny”.

CBA stosowała tymczasem Pegasusa do śledztw z politycznym tłem. O jednej z takich spraw „Wyborcza” pisała w lipcu. Chodziło o prywatyzację CIECH-u, chemicznego giganta, kupionego przez innego nie-

do kierowania kampanią PO (zarzuty postawiono tylko Ryszardowi Brejzie). Jednak jednym z głównych źródeł informacji w tej sprawie jest startująca w przeszłości z listy PiS pracowniczka urzędu, oskarżona o wyludzenie 250 tys. zł na podstawie lewych faktur.

Sprawę rzekomego wykorzystywania inowrocławskiego ratusza do prowadzenia kampanii przez Breję przez wiele miesięcy walczyła TVP Info. Na jej antenie publikowane były wiadomości z telefonu

W Polsce, jak na Węgrzech, do zakupu oprogramowania od Izraelczyków posłużyła firma mająca powiązania z dawną komunistyczną bezpieką

lubianego przez PiS potężnego przedsiębiorcę – Jana Kulczyka. Przed wyborami 2015 politycy PiS twierdzili, że ówczesny rząd PO-PSL sprzedał spółkę Kulczykowi za tanio. Dawid Jackiewicz, późniejszy minister skarbu, wyliczał straty państwa nawet na miliard złotych. Gdy sprawę zaczęła badać prokuratura, skończyło się na kilkudziesięciu milionach złotych rzekomej straty. Śledztwo trwa już siódmy rok i końca nie widać.

W tej sprawie, jak ustaliliśmy, CBA założyło Pegasusa Pawłowi Tamborskiemu, byłemu wiceministrowi skarbu. Tamborskiemu postawiono zarzuty, nie przyznał się do winy, a sąd odmówił jego aresztowania na wniosek prokuratury.

Najbardziej dobitnym przykładem politycznego wykorzystywania Pegasusa wydaje się sprawa Krzysztofa Brejzy. To senator Koalicji Obywatelskiej, którego CBA inwigilowała w 2019 przed kampanią wyborczą, którą kierował. Równolegle służby wzięły na cel jego asystentkę Magdalenę Łośko (obecnie posłankę KO) oraz jego ojca Ryszarda Breję, prezydenta Inowrocławia.

Sprawa przypomina polityczną intrygę. Opiera się na oskarżeniu Brejzów o wykorzystywanie inowrocławskiego ratusza

Krzysztofa Brejzy, do których dostęp można było uzyskać jedynie za pomocą Pegasusa (Breja twierdzi, że ich treść pokazywana przez stację i tak była zmanipulowana).

O tym, ile wysiłku CBA poświęciła tej sprawie, świadczy również przypadek Magdaleny Łośko. Jak ujawniliśmy w lutym, agenci pisali do niej sprofilowane SMS-y, za którymi kryły się linki instalujące Pegasusa. Wiadomości miały wyglądać jak prawdziwe i dotyczyły miejsc, które Łośko rzeczywiście odwiedzała i gdzie robiła zakupy. Oznacza to, że agenci musieli zadać sobie trud, by poznać jej zwyczaje lub dostać się do jej skrzynek mailowych czy też wyciągów z kont. Łośko nie tylko nie postawiono żadnych zarzutów, ale nie została nawet przesłuchana w sprawie.

Inwigilacja Pegasusem trwała w Polsce co najmniej do sierpnia 2021 – to ostatnia znana data graniczna, gdy śledzona była prokurator Wrzosek. To również czas, gdy grupa NSO zaczęła przechodzić poważny kryzys. Międzynarodowe konsorcjum śledcze dziennikarzy projektu „Forbidden Stories” ujawniło latem ubiegłego roku, że firma sprzedawała oprogramowanie do krajów autorytarnych jak Azerbejdżan czy

Arabia Saudyjska, które rozprawały się bezpardonowo z działaczami praw człowieka i dziennikarzami.

Firma została wciągnięta na czarną listę Stanów Zjednoczonych i zaczęła powoli chylić się ku upadkowi. Shalev Huelio, współzałożyciel i prezes, zdecydował o odejściu ze stanowiska. Dwa tygodnie temu ogłosił, że zmienia branżę. Nie chce już rozwijać programów szpiegowskich. Ma się teraz zająć tworzeniem oprogramowania chroniącego infrastrukturę energetyczną przed atakami hakerskimi. – To jak przejście z ofensywy do defensywy – przyznał. Interes rozwija wspólnie z byłym austriackim kanclerzem Sebastianem Kurzem, który popadł w ubiegłym roku w nielaskę i wycofał się z życia politycznego.

A Ziobro? Pegasus nie spełnił jego nadziei i nie wywindował popularności. Stawiane przez niego zarzuty i oskarżenia zapewniły mu przed laty opinię pierwszego sprawiedliwego Rzeczypospolitej, lecz ostatecznie nie znajdowały potwierdzenia w sądach i nie kończyły się nigdy surowymi wyrokami. Choć to jego resort dał pieniądze na Pegasusa, musiał polegać na współpracy z MSWiA, któremu podlegała CBA. Na jego czele stoi Mariusz Kamiński, wiceprezes PiS, skazany w 2015 na trzy lata więzienia i dziesięcioletni zakaz zajmowania stanowisk publicznych za przekroczenie uprawnień w sprawie afery gruntowej, gdy był szefem CBA.

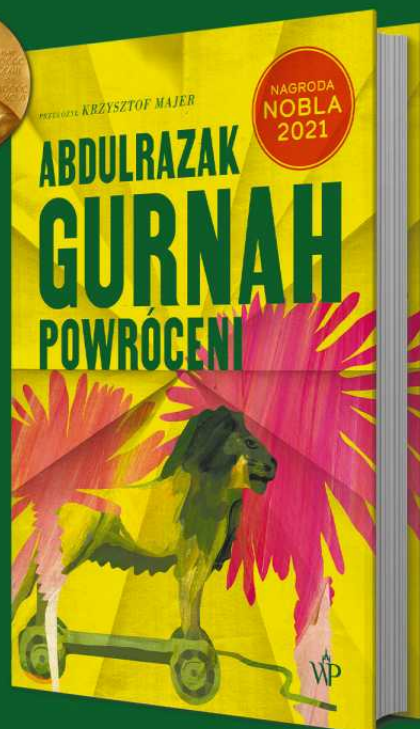
Jego zastępcą był wtedy (i jest do dzisiaj) Maciej Wąsik. Gdy był wiceszefem CBA w latach 2006-09, za pierwszych rządów PiS, zasłynął tym, że w swoim gabinecie urządził studio, w którym odsłuchiwał w czasie rzeczywistym rozmowy osób podsłuchiowanych przez swoich agentów. Łącznie spędził na tym ponad 6 tysięcy godzin.

Ale Ziobro nie będzie musiał najprawdopodobniej pracować już ani z Kamińskim, ani z Wąsikiem. Niedawno powołał nową służbę specjalną – Inspektorat Wewnętrzny Służby Więziennej. Ma mieć prawo do stosowania technik operacyjnych, które miały dotąd inne służby. Inspektorat ma podlegać bezpośrednio Ministerstwu Sprawiedliwości, czyli jemu. ●

Pierwsza w Polsce powieść

ABDULRAZAKA GURNAHA,
laureata Nagrody Nobla

Wielka powieść o miłości,
stracie i niepamięci.



Państwo nie lubi przepraszać

Dlaczego władzy nie przechodzi przez gardło magiczne słowo, gdy krzywdzony jest obywatel?

Adam Bodnar*

Niedawno zatrzymany został przez prokuraturę Maciej Witucki, prezes Konfederacji Pracodawców Prywatnych „Lewiatan”, a wraz z nim trzech innych przedsiębiorców. Sąd nie zgodził się z wnioskiem o zastosowanie tymczasowego aresztowania i podkreślił, że zarzuty są przestrzelone. Zatrzymani zostali zwolnieni do domu. Pewnie w przyszłości będą dochodzili zadośćuczynienia za zaistniałą sytuację, ale czy pieniądze w takiej sytuacji wystarczą? Czy państwo polskie nie powinno ich po prostu oficjalnie przeprosić?

W każdym państwie się zdarza, że dochodzi do naruszeń praw człowieka. Dlatego tak ważne są rządy prawa – musimy dysponować skutecznymi mechanizmami ochrony naszych praw, by w przypadku naruszeń co do zasady powinniśmy móc się domagać środków naprawczych. Po pierwsze, możemy żądać zaprzestania naruszenia, jeśli np. jesteśmy pozbawieni wolności. Po drugie, możemy żądać przywrócenia stanu sprzed naruszenia, jeśli to jest w ogóle możliwe, np. żądać zwrotu nieruchomości. Po trzecie, możemy żądać zadośćuczynienia za doznane krzywdy i cierpienia oraz odszkodowania za poniesione straty. Skorzystanie z tych mechanizmów zależy od istnienia niezależnych sądów.

W naszej tradycji prawnej przyjęło się, że zazwyczaj stwierdzenie naruszenia praw kończy się zapłatą konkretnych pieniędzy – osoba, która spędziła bezsensownie nocną komisariacie, dostaje ok. 8-12 tys. zł, ofiary niesłusznych aresztów mogą wywalczyć nawet kilkaset tysięcy złotych. W pewnym sensie system finansowy jest wkomponowany w naprawianie zaistniałej krzywdy, ale rzadko myśli się o tym, że dla ludzi ważniejsza może być inna forma rekompensaty.

Spójrzmy na praktykę ochrony dóbr osobistych. Jeśli spór się dzieje pomiędzy prywatnymi podmiotami, to zazwyczaj walczy się nie tylko o pieniądze, ale również o przeprosiny. Często w gazetach widzimy ogłoszenia z przeprosinami, które są wynikiem przegranych procesów, ale ze świecą szukać takich, gdy nasze dobra są naruszane przez organy lub funkcjonariuszy władzy publicznej.

Są ciekawe precedensy. Swego czasu red. Bogdan Wróblewski, którego dane billingowe były bezprawnie sprawdzane przez CBA (za czasów pierwszego PiS-u), pozwał CBA i zażądał przeprosin. Proces wygrał, a nowy szef CBA przeprosiny w imieniu CBA opublikował.

Niestety, praktyka zasądzania przeprosin nie jest rozpowszechniona w orzecznictwie Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Stwierdzając takie naruszenie, Trybunał w Strasburgu przyznaje zazwyczaj zadośćuczynienie, którego funkcja sprowadza się do „otarcia lez” ofiary. Tymczasem w niektórych sytuacjach można byłoby się spodziewać więcej od Strasburga. Warto wspomnieć sprawę Leona Przemyska przeciwko Polsce, dotyczącą braku wystarczającego zaangażowania organów państwa po 1993 r. w wyjaśnienie okoliczności śmierci Grzegorza Przemyka. Ojciec dostał zadośćuczynienie, ale pewnie wolałby usłyszeć głośne „przepraszam” od państwa polskiego. Podobnie mogło się stać w sprawie Solska i Rybicka przeciwko Polsce dotyczącej dokonania ekshumacji smoleńskich bez zgody sądu. Pienią-

dze nie wynagrodzą bólu i krzywdy spowodowanych tym haniebnym aktem politycznej gry na grobach ofiar tej wielkiej tragedii.

Co ciekawe, oficjalne przeprosiny ze strony państwa pojawiają się po drugiej stronie Atlantyku – w praktyce Panamerykańskiego Trybunału Praw Człowieka z Kostaryki. Sąd ten podchodzi do środków naprawczych zupełnie inaczej niż europejski odpowiednik. W jednej ze spraw np. nakazał wybudowanie szkoły dla dzieci ofiar, które zginęły w wyniku działań państwa. Zdarzały się także sprawy, w których żądał od państw wybudowania specjalnego pomnika czy tablicy upamiętniającej ofiary naruszeń praw. Najciekawsza jest jednak niedawna sprawa dotycząca Francisci z Chile, która została poddana przymusowej sterylizacji przy urodzeniu dziecka, ze względu na to, że była nosicielką wirusa HIV. W 2022 r. Gabriel Boric, prezydent Chile, po wyroku Trybunału w Kostaryce wystosował oficjalne przeprosiny. Stwierdził, że akt przeprosin potwierdza zobowiązanie Chile to naprawienia szkód wyrządzonych przez jego funkcjonariuszy.

Oczywiście przeprosiny pojawiają się w przypadkach różnych rażących naruszeń praw człowieka, które były dokonywane w przeszłości. Dotyczy to konsekwencji wojen, ale także ukrywania przez lata zbrodni, i dopiero z czasem ofiary zaczęły zabierać głos. Jednakże funkcja takich przeprosin jest inna, stają się częścią procesu pojednania. Mają także znaczenie dla ofiar i ich rodzin, są bardzo często częścią polityki wewnętrznej i międzynarodowej. Warto wspomnieć choćby o procesach rozliczeń historycznych dotyczących nazistowskich Niemiec, wykorzystywaniu dzieci przez księży i instytucje Kościoła katolickiego (pedofilia, ale także narody natywne w Kanadzie) czy wykorzystywaniu seksualnemu dzieci w Australii. Przykłady można mnożyć.

Niemniej wraca pytanie, dlaczego praktyka przeprosin nie może być stosowana w przy-

padku zwyczajnych, codziennych, indywidualnych naruszeń praw człowieka – czy wszystko musi być zawsze sprowadzane do pieniędzy? Szerokie stosowanie mechanizmu przeprosin mogłoby wymusić ustalenie linii odpowiedzialności za dane naruszenie praw – to może być istotne, kiedy bezpośredni sprawca nie może być ustalony, bo do naruszenia doszło ze względu na zaniedbania instytucji czy błędy systemowe. Przeprosiny miałyby znaczenie dla rodzin ofiary, zwłaszcza jeśli ofiara nie żyje. Praktyka przeprosin budowałaby także poczucie zaufania do państwa oraz wzmacniała indywidualną relację między państwem a obywatelem.

Nie trzeba czekać na zmianę prawa. Wiele można zrobić już na poziomie stosowania prawa. Jednym z sędziów, który w uzasadnieniach wyroków formułował przeprosiny „w imieniu państwa”, był sędzia Sądu Okręgowego w Warszawie Igor Tuleya. Warto także apelować do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka o poszerzenie arsenału środków naprawczych.

Niektórzy mogą twierdzić, że „nie czas ratować róże, kiedy płoną lasy”. Trudno oczekiwać refleksji od tych, którzy instrumentalnie wykorzystują ludzką godność do realizacji celów politycznych. Tak się dzieje nieraz w działalności prokuratury czy służb specjalnych. Ale obecne poważne choroby wymiaru sprawiedliwości nie powinny nas zwalniać z myślenia, jak chcielibyśmy kształtować w przyszłości kulturę praworządności w Polsce. Państwo nie może się obawiać przyznania do błędu, jeśli skrzywdziło obywatela, bo jest dla obywatela, jemu powinno służyć oraz przed nim odpowiadać. ●

***Adam Bodnar** – dr hab., prof. Uniwersytetu SWPS, rzecznik praw obywatelskich VII kadencji

Felieton jest skróconą wersją wykładu wygłoszonego na Uniwersytecie SWPS w ramach Festiwalu Nauki



REALIZUJEMY

obowiązek recyklingu dla firm wprowadzających opakowania na rynek



TWORZYMYS

innovacyjne projekty edukacyjne



JESTEŚMY

wyłącznym licencjodawcą zielonego punktu w Polsce



www.rekopol.pl



www.dzienbezsmeienia.pl



70. Urodziny TVP

PRZEPRASZAM ZA ZENKA



• **Rok 1960. Kamery TVP nie miały konkurencji** FOT. ZYGMUNT JANUSZEWSKI/TVP/EAST NEWS

Ustawianie rzeczy pod Jaka Kurskiego sprawiało, że czasem czułem się jak bohater filmu „Miś” albo jego współczesnej, nieśmiesznej kontynuacji

Jędrzej Słodkowski

25 października 1952 r. Telewizja Polska wyemitowała pierwszy program dla publiczności zgromadzonej przed 24 odbiornikami marki Leningrad. Gdzie jest TVP 70 lat później? Czy po kadencji Jacka Kurskiego jest w ogóle co świętować? Czego spodziewać się po jego następcy Mateuszu Matyszkowiczu?

W urodziny postanowiłem oddać głos tym, którzy telewizję tworzą lub do niedawna tworzyli, bo nie ma lepszych ekspertów od TVP niż jej pracownicy.

Wiele o kondycji szacownej jubilatki mówi to, że prawie wszyscy moi rozmówcy, także już niepracujący dla TVP, poprosili, bym nie podawał ich nazwiska. Często ważyli każde słowo, zastanawiając się, czy „nie sprowadzą niebezpieczeństwa na tych, którzy tam jeszcze zostali”. Kilkoro obecnych pracowników TVP po namyśle odmówiło nawet anonimowej wypowiedzi. Jeden z nich, który ostatecznie zgodził się porozmawiać, uprzedził mnie: „Tylko nie wysyłaj mi żadnych pytań ani na służbową, ani na prywatną skrzynkę mailową!”. Kiedy się spotkaliśmy, wyjaśnił, że to z obawy przed inwigilacją wewnątrz firmy.

CO PODOBA/PODOBAŁO CI SIĘ W TVP? A CO NIE?

• **Aleksander**, sekretarz redakcji na Woronicza z długim stażem

W TVP lubię ten klimat retro. Sama Woronicza to miejsce przeciekawe. Hektary terenów: magazyny, własna stacja benzynowa, boisko piłkarskie, baseny. W nowej siedzibie masz posadzki z marmuru, a zaraz obok, między halami, latają szczury.

Cenię to, że pracuję ze starszymi fachowcami, od których mogę się mnóstwo nauczyć. W naszej branży, gdy wspomina się o pracy w innych telewizjach, mówi się, że jest w nich chujowo, ale stabilnie. W TVP odwrotnie: pieniądze są nieźle, ale sytuacja zawodowa niestabilna.

Tak, jest w TVP swoisty deep state. Tworzą go ludzie, którzy pracują od lat, unikając na różne sposoby zwolnienia. Jeden z patentów polega na tym, że ci, którzy wiedzą, że mogą polecieć, sami przy zmianie prezesa zmieniają swoje stanowiska na niższe. Dyrektor zostaje głównym specjalistą. Na jego miejsce przychodzi dyrektor z nadania politycznego, który nie ma pojęcia o tym, czym ma się zajmować. Zanim się tego nauczy, zmienia się prezes, dyrektor znika, a główny specjalista wraca na stanowisko dyrektora.

• **Seweryn**, marketingowiec w jednym z większych ośrodków TVP

Podpisywałem na Woronicza umowę tego samego dnia, kiedy okazało się, że prezesem TVP zostanie Jacek Kurski. Zaskoczyło mnie, że w firmie tak długo rządzonej przez taką czy inną prawicę spotkałem znacznie więcej lewaków niż w dużym prywatnym medium, o którym lubi się myśleć, że jest liberalne i postępowe. Pokoik, który zajmowaliśmy, przypominał squat: lewicowe wlepki na drzwiach, non stop dyskusje o akcjach Śpiewaka, Ikonowicza. I nikt nas nie uciszał.

Dynamika mojej relacji z TVP to klasyczna love-hate relationship. Nie żałuję, że tu jestem, ale ta praca wiąże się z wieloma wewnętrznymi konfliktami.

• **Andrzej**, kierownik produkcji, montażysta, operator w ośrodku regionalnym, odszedł niedawno po 10 latach pracy

Lubiłem przede wszystkim dynamikę i brak schematyczności. Przy każdym projekcie miałem szansę pracować z innymi ludźmi.

Najbardziej dobił mnie brak decyzyjności u ludzi na wysokich stanowiskach, który wynikał z obawy przed ich utratą. Ustawianie rzeczy pod Kurskiego sprawiało, że czułem się jak bohater filmu „Miś” albo jego współczesnej, nieśmiesznej kontynuacji.

• **Maria**, dziennikarka, wydawczyni, szefowa jednej z redakcji, dziś u konkurencji

Do TVP przyszedłem jeszcze w trakcie studiów. Zostałem na 14 lat. Telewizja to było moje drugie imię. Czy ją lubiłem? Kochałem! To było spełnienie marzeń. TVP nauczyła mnie warsztatu, rzetelności, bezstronności... Dziwnie to teraz brzmi, prawda? Były czasy, kiedy jechało się na zdjęcia do kogoś, kto miał na ogrodzeniu tabliczkę „TVN – wstęp wzbroniony”. Dziś zamiast TVN jest TVP. Miałam szczęście, że trafiłam na fajnych ludzi. Z czasem stali się moimi przyjaciółmi, bo jeśli przebywasz z kimś non stop, to już nie masz czasu na znajomych spoza firmy. Zaczynacie jeździć razem na wakacje, zawierane są małżeństwa, rodzą się dzieci.

Czego nie lubiłam? Absurdów. Był okres, kiedy dziennikarze musieli płacić za korzystanie z własnych biurów! Normą było to, że pracowaliśmy po 12, 14 godzin dziennie, w niedziele i święta też, za marne pieniądze. Materiał, który robiłam cały dzień, był wyceniany na 50 zł, pracownicy studia dostawali też jakieś marne 30 zł. Teraz to się podobno zmieniło. Wkurza mnie też to, że przez 14 lat pracowałam na śmieciówce, bez ubezpieczenia i składki emerytalnej, a za urlop musiałam sobie sama zapłacić. To wstyd dla TVP, ale także innych stacji, które nadal łamią prawo pracy.

• **Jan**, dziennikarz, wydawca, reżyser, przez 10 lat w ośrodku regionalnym

Lubiłem możliwość pracy w kreatywnym środowisku. A nie lubiłem tego, że trzeba było wiecznie zbierać o pieniądze albo szukać ich „po sponsorach”.

• **Leszek**, dziennikarz z kilkudziesięcioletnim stażem w oddziale TVP, dziś poza firmą

Przygotowywanie materiałów dla odbiorców w regionie sprawiało mi wielką fra-

dę. To była skala, na jaką nie mogą sobie pozwolić nadawcy prywatni.

• **Karina**, reporterka, prezenterka redaktorka, wydawczyni, kierowniczka produkcji, montażystka, dziś poza TVP

Zaczynałam jeszcze za czasów PO. Dostałam etat w redakcji internetowej, która pracowała zmianowo, dzięki czemu mogłam to połączyć ze studiami. Czułam, że się dużo uczę, poszerzam horyzonty. Może głupio się przyznać, ale Teatr Telewizji po raz pierwszy zobaczyłam, pracując właśnie przy nim! W TVP miałam przyjaciół, ponad połowę doby spędzałam w pracy. Oddychaliśmy tym miejscem! Ktoś odważny wpuszczał 10 lat temu nas, bandę dzieciaków z kamerką i mikrofonem, żeby realizowali materiały do sieci. To był czas, kiedy TVP była niezwykle otwartym i twórczym miejscem, przyjaznym (może nie finansowo...) dla młodych ludzi.

• **Jarek**, operator kamery, w ośrodku regionalnym TVP od dziewięciu lat

Tę pracę trzeba kochać i traktować jako pasję, bo dzień pracy trwa czasem nawet 15-16 godzin; bywa, że w upale, w wichurze albo na siarczystym mrozie.

• **Agnieszka Szydłowska**, w latach 2005-20 gospodyni programów w TVP Kultura, z flagowym „Tygodnikiem kulturalnym” na czele;

• Byłam współpracowniczką TVP, więc omijały mnie wewnętrzne tarcia, nie miałam kontaktu ze słynnym „korytarzem”, który wie wszystko pierwszy. Ale to nie znaczy, że się nie identyfikowałam – z TVP Kultura przez długi czas było mi bardzo po drodze i kiedy myślę „moja praca w TVP”, to mam na myśli TVP Kultura właśnie.

CO ZMieniło się w TVP, kiedy prezesem został Jacek Kurski?

Andrzej: Juliusz Braun, poprzedni wieloletni prezes, pojawiał się tam, gdzie było to potrzebne. Jacek Kurski natomiast uwielbiał bywać, szczególnie w towarzystwie małżon-

ki, dosłownie wszędzie. Koncerty, uroczyste gale, czerwony dywan podczas konferencji ramówkowych – trzeba było organizować dodatkowe kamery, by pokazać go na różnych wydarzeniach.

Maria: TVP za Jacka Kurskiego stała się jar-markiem. Zawsze tu była rozrywka (niekoniecznie ambitna), ale zapraszanie Zenka śpiewającego disco polo na benefis do opery to gruba przesada. Kurski wymieszał katolicką ortodoksję (transmisje z mszy świętych i modlitw) z kłamliwą propagandą i gigantycznymi widowiskami sportowo-historycznymi.

Na lepsze zmieniły się warunki pracy. Ludzie dostali etaty (choć nie ja) i zaczęli zarabiać dobrą kasę. Zostali kupieni. Podobnie jak wyborcy PiS-u i beneficjenci 500+.

Aleksander: Na początku rządów Kurskiego, kiedy Kukiz wprowadził do zarządu TVP Macieja Staneckiego, wydawało się, że nie będzie aż takiego betonu. Stanecki to jednak człowiek telewizji – pozatrudniał sensownych dyrektorów, było sporo fajnych eksperymentów na antenie. Ale nadzieje szybko się rozmyły. A w newsach zaczęli się rozpychać ludzie Karnowskich.

Seweryn: Najbardziej zaskoczyło mnie to, kiedy jednym z ważnych dyrektorów został człowiek ściągnięty z TVN. Już go w TVP nie ma, ale i tak połowa mojej załogi to uciekinierzy z TVN, zmęczeni chujowymi warunkami zatrudnienia, absolutnie pozbawieni prawniczego skrętu. Wojna cywilizacyjna? A i owszem, ale niekoniecznie tam, gdzie jej szukamy.

Agnieszka: Z perspektywy współpracowniczeki TVP Kultura zmiana polegała na mianowaniu dyrektorem anteny Mateusza Matyszkowicza. Za nim przyszła nowa ekipa ludzi zdeterminowanych do zmiany mediów. Przedstawiali to w kategoriach młodzi kontra starzy. Uwierzyłam, że chcą robić ciekawą telewizję, odważniejszą, zderzającą wyraziste poglądy, bez cenzury. Korytarze zapelniali więc nowi ludzie, ale prędko się okazało, że nie mają doświadczenia w telewizyjnej robocie.

Sama szybko zaliczyłam kontakt z cenzurą. Reaktywowano „Pegaz”. Były kasa, wola działania, struktury; szeroko robiliśmy tę produkcję. W jednym z pierwszych odcinków mieliśmy rozmowę, której uczestnikiem był Przemysław Wojcieszek, a tematem jego mocny, polityczny spektakl „Hymn narodowy”. Program był zrobiony, reklamowany, ale kiedy włączyłam telewizor, okazało się, że go nie ma. Potem próbowano na nas, prowadzących, zrzuć odpowiedzialność za zdjęcie programu z anteny, sugerując, że nie byliśmy dobrze przygotowani do rozmowy. Ja mogę nie spać, ale jak się mam przygotować, to jestem przygotowana. I wtedy też byłam. Ale jakoś i wydzwiek rozmowy miały zerowe znaczenie. Liczyło się to, że Wojcieszek zrobił spektakl, w którym dotknął katastrofy smoleńskiej. Wtedy zaczęło się cenzurowanie tego, o czym można mówić, a jakie tematy nie mają prawa się pojawić.

Dlaczego nie odeszliśmy zbiorowo po tym szoku – łącznie z nową ekipą Matyszkowicza, która też była zszokowana? Każdy miał swoją ścieżkę, moją był przede wszystkim „Tygodnik kulturalny”, który nadal mówił bez cenzury. Uznałam, że kultura ma zawsze pod górę – bo ma – i gest zwolnienia się da znacznie mniej, niż moglibyśmy zrobić, pracując dalej. Z tego samego powodu po zmianie władzy nie odeszłam z Trójki – też nie chciałam oddawać pola.

Z „Pegaza” zrezygnowałam po pierwszym sezonie.

Jarek: Po nastaniu Kurskiego wzrosły: nie-nawiść do TVP i liczba koncertów disco polo na antenie. Nastąpił drastyczny spadek liczby audycji kulturalnych. Zmiany na lepsze? Modernizacja technologiczna ośrodków regionalnych: zakup kamer, wozów transmisyjnych, osprzętu.

Jan: Dziś nie da się oglądać TVP. Zwłaszcza jeśli zna się warsztat. Wszystko, czym stała kiedyś TVP – dykcja, prezencja, merytoryka – leży.

CZY PO 2016 R. ZDARZYŁO CI SIĘ WSTYDZIĆ, ŻE PRACUJESZ W TVP? A MOŻE BYLEŚ/BYŁAŚ Z TEGO DUMNY?

Seweryn: Nie wstydzę się, bo moja praca nie ma nic wspólnego z polityką. Co więcej, na wielu poziomach wydaje mi się moralnie o wiele bardziej klarowna, ponieważ w moim poprzednim zawodowym życiu dziennikarza kulturalnego w dużym portalu częściej miałem wrażenie, że jestem narzędziem akcji marketingowych. Dzisiaj sam się zajmuję marketingiem i przynajmniej wiem, za co mam płacone. A promowałem produkcje TVP na naprawdę przyzwoitym poziomie.

Andrzej: Ten wstyd rósł z biegiem lat, wraz z atakami na osoby LGBT+, odbieraniem niezawisłości sądom czy zaostreniem prawa aborcyjnego – a dokładnie przez narrację, jaka towarzyszyła tym wydarzeniom w TVP. Z czasem przestałem umieć oddzielać politykę od miejsca pracy.

Karina: Najpierw nie kumałam prestiżu, jaki łączy się z pracą w TVP, byłam za młoda. Potem skumałam i faktycznie byłam dumna, że tam pracuję. A później zaczęłam się wstydzić tego, że tam jestem i dokładałam swoją cegiełkę do przekazu TVP, z którym zupełnie się nie zgadzam.

Jarek: Nie wstydzę się, to praca jak każda inna. Owszem, w obecnej sytuacji nie ma się czym chwalić. Tylko że dumy do garnka nie włożę.

Prawda jest taka, że dla bezpieczeństwa jeździmy na zdjęcia autami bez oznakowania. A już zwłaszcza na wydarzenia w rodzaju Strajku Kobiet czy manifestacje LGBT. Jadąc kiedyś Krakowskim Przedmieściem oznakowanym autem, zatrzymałem się, żeby przepuścić rowerzystę. Kiedy zobaczył logo TVP, puścił wiązankę bynajmniej nie komplementów i uraczył wielką mełą z głębi zatok wprost na szybę. Podobnych sytuacji było wiele.

Dużo milej jest pojechać na prowincję. Tam, nawet jeśli nie lubią TVP (co też się zdarza), to przynajmniej nas nie oplują, tylko powiedzą, że dziękują, ale nie rozmawiają z TVP.

Seweryn: Paradoksem jest moja matka, bardzo konserwatywna i religijna, na której mój pakt z narodowo-katolicką propagandówką nie robi większego wrażenia, bo i tak wie, że jestem nieuleczalnym lewackiem. Nie daje mi żadnej taryfy ulgowej.

CZY TVP PO 2016 R. ZASŁUŻYŁA NA MIANO „KURWIZJI”?

Seweryn: Jeśli chodzi o newsy – tak. Jeśli chodzi o całą resztę, to jakieś 80-90 proc. struktury tej firmy, TVP jest wciąż taką samą TVP, jaką była wcześniej. I pracują w niej ci sami ludzie, którzy pracowali za Daszczyńskiego, Brauna czy innego prezesa. Co więcej, mam wrażenie, że za Kurskiego poprawiły się nieco warunki zatrudnienia, bo wcześniej TVP masowo wypychała pracowników na samozatrudnienie. Choć z liczbą etatów wciąż jest tutaj problem i przytłaczająca większość pracowników pracuje na umowach cywilnoprawnych. Ja też.

Andrzej: TVP od 2016 r. nie była telewizją publiczną, ale telewizją Jacka Kurskiego. Tworzoną dla niego, wychodzącą naprzeciw gustom jego i jego rodziny, zaspokajającą jego aspiracje oraz tworzącą rzeczywistość, w której chce żyć.

Maria: Tak, to najgorsza szczujnia przedstawiająca zakłamaną rzeczywistość. Pamiętam, gdy startowało TVP Info, kiedyś uwa-

żane za rzetelną stację ze świetnymi dziennikarzami. Była dobra publicystyka, ciekawe programy, reportaże. Jeździliśmy na szkolenia do Akademii Telewizyjnej, mieliśmy zajęcia z prawa prasowego, bazowaliśmy na materiałach szkoleniowych BBC. Teraz zatrudnia się ludzi młodych, niekoniecznie zdolnych, ale łatwo sterowalnych. A ci starsi? Co w przyszłości stanie się z czołowymi prowadzącymi „Wiadomości”? Gdzie oni znajdą pracę?

Leszek: Nie zgadzam się z tym sformułowaniem. Jako były pracownik TVP wiem, jak wiele osób na co dzień starało się i stara się nadal pracować zgodnie ze standardami. Nie patrzę na TVP wyłącznie przez pryzmat TVP Info i „Wiadomości”.

DLACZEGO JUŻ CIĘ NIE MA W TVP?

Andrzej: Coraz mocniej czulem, że to nie jest „moja” telewizja. Nie miałem nic wspólnego z publicystyką, ale programy informacyjne wykorzystywane do manipulacji, ataków na tych, którzy są przeciwko partii rządzącej, stały się dla mnie nie do wytrzymania. To był główny powód mojego odejścia.

Maria: Sama się zwolniłam. Był rok 2019, miałam mocną pozycję, prowadziłam redakcję, zarabiałam dobre pieniądze. Ale widziałam, jak bardzo moja telewizja wypacza rzeczywistość, jak bardzo kłamie. Pewnego razu kazano mi wyciąć z materiału fragment, który uderzał w państwową spółkę. Pomyślałam: robię to pierwszy i ostatni raz. Strasznie płakałam, bo ogromnie się tego wstydziłam. Odeszłam w ostatnim momencie, w którym mogłam jeszcze spojrzeć w lustro. Kiedy powiedziałam dyrektorowi, że odchodzę, był zszokowany. Zapytał, ile chcę podwyżki. Nie miałam odwagi powiedzieć mu, że chodzi o kwestie światopoglądowe; może dziś bym się na to zdobyła. **Leszek:** Odszedłem za porozumieniem stron. Pojawiła się interesująca propozycja z innej firmy.

Karina: Przyszedł moment, kiedy przestałam się przyznawać innym, gdzie pracuję. Stwierdziłam, że jestem na tyle młoda, że muszę się wyrwać teraz, kiedy jeszcze nie wrosłam totalnie w to miejsce. Bo kiedy długo pracujesz w telewizji, zaczynasz myśleć, że nigdzie indziej nie znajdziesz pracy, bo umiesz się poruszać tylko po TVP.

Kiedyś myślałam, że będę całe życie pracować w telewizji, że będę jak Grażyna Torbicka (marzyłam, by być prezenterką!). Potem zobaczyłam, jak dużo trzeba poświęcić, znieść, jak mocno zaciskać zęby, ile żab połknąć, jak często udawać, że bawią cię żarty przełożonych, wiecznie się uśmiechać, być miłą, słuchać często ludzi, którzy nie są autorytetami w danej dziedzinie. A to wszystko jeszcze za śmieszne pieniądze. Szkoda życia.

Agnieszka: Zwolnienie z TVP Kultura wspominam z uśmiechem. Odkbyło się przez telefon. 15 lat pracy, setki programów – i dwie minuty rozmowy. Od dyrektorki stacji Kaliny Cyz usłyszałam, że jestem spoko, ale nie możemy razem pracować. To było po moim odejściu z Trójki i zeznaniach przed senacką komisją kultury.

ZOSTAJESZ PREZESEM TVP. TWOJA PIERWSZA DECYZJA TO...

Andrzej: Zmiana całej kadry odpowiedzialnej za informację w TVP.

Jan: Przepraszam za Zenka.

Leszek: Rezygnacja z abonamentu RTV i założenie konta TVP na Patronite oraz deklaracja, że od dziś utrzymują nas wyłącznie patroni i robimy telewizję, jakiej oni sobie życzą. Oraz taką, na jaką będzie nas stać!

Seweryn: Wypierdoliłbym ten cały aktyw propagandowy, zaprosił do kontroli Państwową Inspekcję Pracy i dał pracownikom

porządne umowy. Prezesem pewnie byłbym przez tydzień.

Karina: Trzeba zmieść z ziemi całą TVP i postawić od nowa.

Agnieszka: Gdybym została prezesem TVP, moją pierwszą decyzją byłoby podanie się do dymisji. Nie wierzę, że w Polsce, niezależnie od wyniku wyborów, doczekam się mediów publicznych, o których marzę, które znam z innych państw. Reprezentujących różne postawy, ciekawie zderzających zdania, odróżniających komentarz od faktów. Promujących kulturę przed sporem. Finansujących misję. Wolnych od konieczności zarabiania.

Maria: Współczuję przyszłemu prezesowi. Odbudowanie wizerunku TVP będzie trwało latami. Mówi się, że jak zawieje nowy wiatr, to wymiecie wszystkich, a czystki zaczną się od wysokich stanowisk. Wiadomo – polecą szefowie, producenci i najbardziej znani dziennikarze. Ale to jest konieczne, bez tego nie uda się przywrócić wiarygodności TVP. O ile w ogóle jest to możliwe.

Aleksander: O rety, o co ty pytasz? Nie wyobrazasz sobie, jakim molochem jest TVP! Telewizja działa głównie siłą inercji. Ludzie z każdej kolejnej ekipy przychodzą z pomysłami na usprawnienia, a gdy zaczynają je realizować, okazuje się, że wszystko zaczyna się walić. A telewizja musi nadawać, więc szybko pierdołą własne pomysły i wracają do tego, co było. I tak to leci.

CO ZROBIĆ Z DISCO POŁO?

Seweryn: W TVP są nieśmieszne kabarety. Czy disco polo jest tak dużo gorsze od nich?

Aleksander: W TVP powinno być miejsce dla disco polo, tak jak powinno być miejsce dla kabaretów, „Pytania na śniadanie” i innych głupich programów. Bo czemu nie – ci ludzie płacą podatki, abonament. Tylko proporcje powinny być inne.

Maria: W TVP nie ma miejsca na disco polo. Od tego są koncerty plenerowe, święta miast i miasteczek, festyny wiejskie. Kiedyś w TVP był Kabaret Starszych Panów albo Kabaret Olgi Lipińskiej, też rozrywka, ale o ile ambitniejsza.

CZEGO ŻYCZYSZ NOWEMU PREZESOWI TVP?

Jan: Siły wobec pokus, jakim jest pójście na łatwiznę, żeby się utrzymać.

Leszek: Żeby pamiętał, dla kogo pracuje, kto mu płaci i czego od niego i zarządzanych przez niego ludzi wymaga. To wszystko jest zapisane w dokumentach – ustawie o RTV, misji publicznej, kartach powinności. To my mu płacimy. My wszyscy.

Maria: Żeby PiS przegrał i żeby jak najszybciej go zmieniono. Nie wierzę w to, że absolwent filozofii z marnym dorobkiem dziennikarskim i stażem pracy może dobrze pokierować TVP. Jest zwykłym figurantem. Chyba że potraktujemy zmianę Kurskiego na Matyszkowicza jak wybór mniejszego zła. Ale to się jeszcze okaże.

CZEGO NALEŻY ŻYCZYĆ TVP NA 70. URODZINY I NASTĘPNE 70 LAT?

Maria: Jak najszybszej zmiany, fajnych i zdolnych ludzi, dobrych zarządzających, równowagi między rozrywką a sztuką ambitną, pieniędzy... Kto wie, jeśli te życzenia się spełnią, może i ja wrócę do TVP?

Jarek: Bycia na bieżąco z postępem technologicznym. Normalności.

Aleksander: Kolejnych 70 lat. Bo to oznaczałoby, że w ciągu najbliższych miesięcy nie zmiecie nas nuklearna zagłada. ●

Jaka powieść o Polsce jest nam potrzebna, czyli kłopoty symetrystów

CZEKAM NA NOWE „PRZEDWIOŚNIE”

**Dziś polska literatura to literatura prokuratorska kontra literatura zgrywy.
Tak bardzo potrzebujemy nowego Żeromskiego**

ZBIGNIEW MENTZEL*

S

1.

Symetryści... Skąd się u nas wzięli? Kim właściwie są? O co im chodzi?

Jeszcze kilka lat temu o nich nie słyszeliśmy. „Symetrysty”, podobnie jak „symetryzmu”, próżno było szukać w słownikach języka polskiego. Od niedawna dopiero oba te wyrazy pojawiają się w obszarze sporu między poglądami, które, jak nigdy dotąd, podzieliły i skłóciły ze sobą Polaków.

Zdaniem symetrystów dwa skrajnie różne obozy walczące u nas o władzę i rząd dusz – Zjednoczona Prawica i jej przeciwnicy – wymagają sprawiedliwie wyważonych ocen, zwłaszcza tych krytycznych. Każdy błąd, każde kłamstwo, każdą nieprawość przypisaną jednej stronie sporu symetrysta potrafi odnaleźć u drugiej. Wart Pac pałaca, a pałac Paca – oto jego przesłanie do rządzących i opozycji.

Symetryści należą do mniejszości, mało znajdują zwolenników. Są AMBIWALENTNI. Ani jedna, ani druga strona konfliktu nie ma w ich przekonaniu racji, nie chcą więc żadnej poprzecz. A jednak spośród „głównych rozgrywających” na polskiej scenie tylko JEDNI mają zasadniczo rację, choć nie zawsze potrafią jej bronić przekonująco. Tak, jedni są mądrzej si od drugich, lepiej rozumieją, kim jesteśmy, kim być możemy w rozdzieranym sprzecznymi interesami świecie. Mimo wszelkich wątpliwości trzeba zatem zdecydować, po czyjej jest się stronie.

Wiara w potrzebę symetryzmu słabnie i zamiera przed urną wyborczą. Symetrysta konsekwentny (ten najbardziej nierozsądny) musiałby wybory zbojkotować albo oddać głos nieważny. Znamy takich. Są wśród nas. Kiedy się ich słucha, trudno nie odnieść wrażenia, że symetryzm wyrasta w klimacie społecznej rezygnacji.

Odmianą symetrysty jest polityk uważający się za męza opatrznociowego, który poprowadzi obywateli „trzecią drogą” między skrajnościami. Próbować każdy może. Przy obecnym układzie sił trudno mu wróżyć powodzenie.

2.

Pojęciem symetryzmu posłużę się z początku w luźnym związku z naszym życiem politycznym. Nie będę mówił o PO-PIS-ie, Kaczyńskim i Tusku, eurofobach i euroentuzjastach... Nie zamierzam jednak udawać, że polska zimna wojna domowa jest mi obojętna. Ale symetryzm ciekawi mnie też jako ogólniejsza postawa intelektualna i moralna z filozoficznym rodowodem sięgającym aż do źródeł sceptycyzmu.

O symetrystach mówiono kiedyś inaczej, np. „umiarkowani ludzie środka”. Rozmaite miewali wcielenia. Niektórzy – ci interesują mnie tu najbardziej – byli w minionych stuleciach wielkimi pisarzami i w swoich utworach szukali prawdy o Rosja-

nach, Polakach, Niemcach, Żydach... o nas, ludziach, po prostu. Jeśli utwory te nadal przyciągają naszą uwagę, to ze względu na najbardziej aktualne sytuacje dzisiejszego świata.

3.

Iwan Turgieniew (1818-83), autor „Ojców i dzieci”, jednej z najsłynniejszych, najbardziej doniosłych politycznie powieści XIX wieku, pozostawał na swój sposób symetrystą, choć raczej nikt go tak nie określał. Mówiono, owszem, o „symetrii” w prozie Turgieniewa jako o jej elemencie strukturalnym. W „Wykładach o literaturze rosyjskiej” Nabokow, analizując kompozycję „Ojców i dzieci”, zwracał uwagę, jak główni antagoniści w rozmowach z przyjaciółmi „symetrycznie” się nawzajem krytykują.

Na początku lat 60., kiedy pisarz pracował nad powieścią, atmosfera polityczna w Rosji gęstniała. Po śmierci Mikołaja I nastąpiła „odwilż”, rozbudzając – jak to zwykle bywa – rozmaite oczekiwania i nadzieje. Studenci tworzyli tajne organizacje, słynne „kółka”, i gorączkowo dyskutowali: co robić? Nie tylko w Moskwie czy Petersburgu, ale też na prowincji pojawiały się skrajne w tonie manifesty i ulotki. Powoli zaczynała wzbierać fala terroryzmu.



*O symetrystach mówiono kiedyś
„umiarkowani ludzie środka”.*

*Niektórzy byli wielkimi pisarzami
i szukali prawdy o Rosjanach,
Polakach, Żydach...*

O nas, ludziach, po prostu

Wkrótce odwilż się skończyła, nasiliły się represje. Ludzie wrażliwi, pełni odrazy do panujących stosunków, nie znajdując dla siebie miejsca we własnym kraju, uciekali w świat złudzeń i fantazji, cynizm i desperację. Poglębiał się kryzys świadomości moralnej.

W eseju osnutym wokół „Ojców i dzieci” brytyjski historyk idei Isaiah Berlin pisał: „Przez większą część życia Turgieniew śledził z troską spory, jakie w jego czasach dzieliły wykształconych Rosjan – zwłaszcza ostry konflikt między nacjonalistycznymi słowianofilami a »zapadnikami«, konserwatystami a liberałami i, nade wszystko, starymi a młodymi” (przel. Sergiusz Kowalski). Zawsze chciał pozostawać neutralny. Lękał się skrajności. Był ostrożny,

sceptyczny, zarzucano mu słabość charakteru, brak poczucia obywatelskiego.

Turgieniew nie był politykiem ani ideologiem. Był pisarzem i „pragnął nade wszystko przeniknąć, zrozumieć poglądy i ideały, usposobienie tych, którzy budzili zarówno jego sympatię, jak i zdumienie czy odruchy niechęci. Władał w nader rozwiniętej formie tym, co Herder nazywał »Einfühlen« (empatią), umiejętnością wnikięcia w przekonania, odczucia i postawy sobie obce”. Swoich bohaterów, rosyjskich inteligentów, poważnionych, często niemogących znieść swej obecności przy jednym stole, pokazywał przez ich przekonania, społeczne nawyki, obyczajowość, sposób bycia.

4.

W „Ojcach i dzieciach” przedstawiony został konflikt dwóch pokoleń, a zarazem starcie konserwatystów („starzy”) z radykałami („młodzi”). Ci pierwsi to bracia Kirsanow: Mikołaj, obywatel ziemski, i Paweł, emerytowany wojskowy w stopniu kapitana. Drugich reprezentuje Eugeniusz Bazarow, absolwent wydziału nauk przyrodniczych, przyszły medyk – najważniejsza postać utworu.

Mikołaj zarządza niewielkim majątkiem. Jest wdowcem, człowiekiem skromnym, dobrodusznym, niegłupim. Usiłując „sprostać współczesnym wymaganiom”, przekazuje chłopom ziemię i zakłada „fermę” (w guberni nazywają go nawet „czerwonym”). Ale agronomicznym pracom oddaje się bez większego przekonania i powodzenia. Brak mu energii, silnej woli. Czuje, że nie potrafi „nadażyć za epoką” i chyba znalazł się już „poza głównym nurtem życia” (tu i niżej przekład Joanny Guze).

Wrażliwy na sztukę, czyta wieczorami poezje Puszkina, gra na wiolonczeli „Oczekiwanie” Schuberta. Nie tylko z nadzieją, ale też z niepokojem myśli o przyszłości syna Arkadiusza, studenta, który znalazł się pod wpływem Bazarowa, nie wiadomo, czy dla niego korzystnym.

Paweł to typ angielskiego dżentelmena. Ma nie-naganne maniery i szlachetną urodę, ubiera się w najlepszym, zachodnim stylu. Niegdysiejszy bywalec petersburskich salonów, dandys uwielbiany przez kobiety, „wszędzie wozil ze sobą nesesor ze srebrnymi przyrządami i podróżną wannę”.

W domu brata na wsi zamieszkał po miłosnym zawodzie, bez pamięci zakochany w księżnej R., kobiecie tajemniczej i nieprzeniknionej, która bliska obłędu umarła w Paryżu. Samotny kawaler, unika kontaktów z sąsiadami, na zebraniach wyborczych przeważnie milczy. Czas spędza w wykwintnie urządzonym gabinecie, rozpamiętując przeszłość albo czytając angielskie książki i czasopisma.

I wreszcie Bazarow. Ambitny, zuchwały, pewny siebie, syn ubogiego lekarza, materialista zbuntowany przeciwko wszystkim autorytetom i odzie-

dzicznej tradycji, gardzący religią, filozofią, sztuką – całym tym „romantycznym śmietnikiem”. Zaproszony do majątku Kirsanowa przez Arkadiusza przywiózł mikroskop i spędza nad nim długie godziny, oglądając pokrojone żaby. W ludziach, podobnie jak w żabach, ciekawia go głównie NARZĄDY...

Bazarow nazywa siebie nihilistą, chce działać, powodując się tym, co pożyteczne, a ponieważ „w obecnych czasach najbardziej pożyteczne jest odrzucanie”, on i jemu podobni nie cofną się przed niczym, aby odrzucić i zburzyć „wszystko”. Na uwagę Kirsanowa, że nie można tylko burzyć, trzeba też budować, odpowiada: „To już nie nasza sprawa... Wpierw należy oczyścić grunt”. Rzecz znamienna: Bazarow budzi zaufanie w ludziach niższego stanu. Na wsi nie ukrywa, że nie znosi bogobojności i patriarchalizmu chłopów, ale jest lubiany: wprawdzie uczony „dochtór”, a jednak jakoś „swój”.

Dla Pawła Bazarow nie jest przedstawicielem cywilizacji i kultury, tylko „prostackiej mongolskiej siły”. Przy wspólnych posiłkach dochodzi między nimi do coraz bardziej ostrych starć. „Wyobrażacie sobie – mówi pierwszy – że jesteście ludźmi postępowymi, a powinniście mieszkać w kałmuckiej jurcie (...) jest was raptem cztery i pół człowieka, tych zaś, co nie dopuszczają, abyście zdeptali ich najświętsze przekonania, są miliony! (...) czy naprawdę sądzi pan, że dacie sobie radę z całym narodem?”. „Pan wie, że od lojowej świeczki spłonęła Moskwa” – odpowiada spokojnie drugi. Któregoś dnia, doprowadzony do ostateczności, Paweł wyzywa Bazarowa na pojedynek.

5.

Bracia Kirsanow to ludzie bierni, zmęczeni, anachroniczni. Obaj wstąpili już „w ów mroczny okres życia, pełen żalów podobnych do nadziei, nadziei podobnych do żalów”. Choć są uczciwi, zdolni do szlachetnych uczynków, trudno ich uznać za wyrazicieli potrzeb i dążeń narodu. Ani jeden, ani drugi nie nadaje się na rzecznika oświecenia i modernizacji zacofanego społeczeństwa. Czy może być nim Bazarow, ten – jak mówiono – pierwszy bolszewik rosyjskiej literatury?

Turgieniew nie chciał osądzać swoich bohaterów, chciał ich zrozumieć i opisać. Jego intencje nie zostały zrozumiane. Z prawa i z lewa sypały się na niego gromy. W bohaterach powieści zarówno konserwatyści, jak i radykalowie dostrzegli złośliwe, ba, odrażające karykatury – własne.

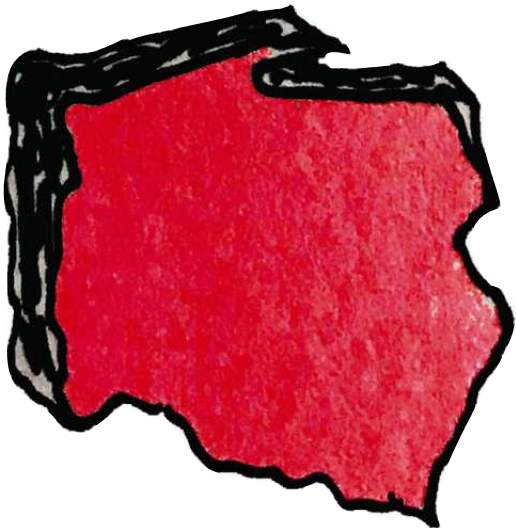
Czy rację miał wydawca Michail Katkow, pisząc, że istnieje coś takiego jak „nadmiar uczciwości, prowadzący do specyficznego zniekształcenia prawdy”? Namawiał autora do zmian w powieści, aby nie była „kapitulacją przed radykałem”, aby nihilista Bazarow nie dominował nad pozostałymi postaciami. Większość radykalów uznawała jednak, że Turgieniew nie tylko przed Bazarowem nie skapitulował, ale też go ohydnie oczernił. Przedstawiając wyzwolonego „człowieka przyszłości” jako barbarzyńcę i wywrotowca, stanął po stronie ciemniejszych, dostarczył argumentów policji.

Podobno ataki lewicy najmocniej Turgieniewa dotknęły. Tak bardzo pragnął młodych radykalów zrozumieć i zostać przez nich zaakceptowanym.

W listach do przyjaciół tłumaczył, że prawdopodobny, odważny Bazarow nie jest ani Dżyngis-cha-nem, ani człowiekiem cynicznym i bezdusznym. Szydzi z „romantycznych uczuć”, ale w końcu sam uczuciu ulega, wyznaje miłość zimnej, wyrachowanej arystokratce, a kiedy zostaje odrącony, długo i boleśnie to przeżywa.

Isaiah Berlin przedstawił bodaj wszystkie sprzeczne stanowiska w burzliwej debacie. Konkluzja? „Turgieniewa ukazywano w najlepszym razie jako wystraszonego, bezradnego jegomościa atakowanego z obu stron przez wściekłych, lewicowych synów demokratów i wymachujących bronią prawicowych ojców”.

Rozgorączony wyjechał na Zachód, gdzie zażywał już sławy europejskiej. Ale wciąż nade wszystko pragnął być zrozumiany we własnym kraju.



Podobno ataki lewicy najmocniej Turgieniewa dotknęły.

Tak bardzo pragnął młodych radykalów zrozumieć i zostać przez nich zaakceptowanym

6.

Pisząc swój esej (pełny tytuł: „»Ojcowie i dzieci«. Turgieniew i kłopoty liberalizmu”), Berlin, jeden z najświatlejszych XX-wiecznych liberalów, podkreślał, że dla ambiwalentnych ludzi środka, myślących podobnie jak rosyjski pisarz, „wspieranie ekscesów lewicy było przeciwne naturze człowieka cywilizowanego, lecz tym mniej wyobrażalne byłoby sprzeciwianie się lewicy, a zwłaszcza obojętność na jej los, porzucenie jej na pastwę reakcji”.

Awersja ludzi środka do reakcyjnych „szumowin” była tak silna, że mimo wszystko próbowali młodych radykalów usprawiedliwiać.

Nierozwiązany, być może nierozwiązywalny dylemat Turgieniewa, przez pół wieku spędzający sen z powiek rosyjskim liberalom, stał się na naszych oczach udziałem całego cywilizowanego świata – mówił Berlin. Pierwszą, skróconą wersją jego eseju był odczyt wygłoszony jesienią 1970 r. w Oksfordzie. Kiedy przekonywał, że w literackiej kreacji Turgieniewa możemy dziś znaleźć klucze nie tylko do przedrewolucyjnej Rosji, ale też do naszej TERAŹNIEJSZOŚCI, słuchacze tłumnie zebrani we wspnianym Sheldonian Theatre doskonale wiedzieli, co ma na myśli.

Od dwóch lat, rozpoczęta paryskim Majem ’68, studencka rebelia przetaczała się przez Europę aż po Stany Zjednoczone i Japonię. Już nie w carskiej ani w sowieckiej despotii, ale w nowoczesnych, najbardziej demokratycznych państwach świata potomkowie Bazarowa buntowali się przeciw odziedziczonej tradycji, głosząc konieczność „oczyszczenia gruntu” i „rewolucji”, która ludzkość „wyzwoli”.

Cóż miało to znaczyć? „Powstańcy naszych czasów – wyjaśniał Berlin – opowiadają się – jeśli stać ich na spójne stanowisko – za czymś w rodzaju dawnego prawa naturalnego. Chcą budować społeczeństwo, w którym ludzie będą traktować się nawzajem jak osoby mające prawo do wyrażenia swojego »Ja«, choćby w niezorganizowany i bałaganiarski sposób, nie zaś jako producenci i konsumenci, tryby scentralizowanego, ogólnoswiatowego, samonapędzającego się społecznego mechanizmu”.

Wyważona, w sumie przychylna młodym interpretacja. W rzeczywistości pogląd Berlina na agresywne zachowania studenckich radykalów oraz fanatyczne doktrynerstwo Nowej Lewicy był znacznie bardziej surowy. Jego pesymistyczną ocenę sytuacji i fatalny stan ducha znali jedynie przyjaciele. Bez skrępowania dawał swym odczuciom wyraz w rozmowach z Leszkiem Kołakowskim, a także w listach do Andrzeja Walickiego: „Wciąż rozmyślam o Turgieniewie: uwięzionym w sytuacji wcale nie tak różnej od naszej: niezdolnym, jak sam powiedział, do »uproszczenia się«, bezustannie atakowanym przez obie strony, ciągle próbującym przypodobać się młodym, kiedy zaś nadszedł kryzys, niezdolnym do zaangażowania się bez reszty. Nadal ostrożnie stą-pam wąską groblą między anarchistami – którzy, jak słusznie zauważyłeś, działają, niezależnie czy zdają sobie z tego sprawę, czy nie, na rzecz pewnego rodzaju despotyzmu – a zaślepioną prawicą”.

7.

Odczytu Berlina słuchał zapewne Kołakowski – wy-daje mi się wielce prawdopodobne, że zasiadł na widowni Sheldonian Theatre, gdzie sto lat wcześniej Turgieniew odbierał honorowy tytuł doktora praw, przyznany mu przez uniwersytet oksfordzki.

W listopadzie od kilku miesięcy Kołakowski mieszkał już w Oksfordzie. Przeniósł się tam z Berkeley, gdzie wykładał na Uniwersytecie Kalifornijskim. To właśnie w Berkeley zobaczył z bliska starcia studentów z policją, płonące samochody, barykady. Tam, a nie w Paryżu, gdzie w 1968 r. wybuchła, znajdował się wówczas ośrodek studenckiej rewolty.

Kołakowski oceniał ją znacznie ostrzej niż Berlin, choć nie aż tak ostro jak Allan Bloom. W głośnej książce „Umysł zamknięty”, sztandarowym dziele myśli konserwatywnej, Bloom porównywał studencką rewoltę do wydarzeń lat 30. w Niemczech. Amerykańską młodą lewicę uznawał za lewicę nietzscheańsko-heideggerowską.

Do takich porównań Kołakowski nie chciał się uciekać. Ale „ideologia” studenckich radykalów była

PS

dla niego zlepkim „niekoherentnych haseł, z których nic określonego nie wynikało, poza dużą frustracją i jeszcze większą agresją”. Podobnej degradacji intelektualnej nie spotkał nigdy przedtem w żadnym ruchu lewicowym.

Atakując „faszystowskie świny z establishmentu”, studenci roili sobie, że „reprezentują postęp ludzkości, który klasa robotnicza zdradziła”. Tak potężna eksplozja obskurantyzmu groziła poważnymi skutkami. Kołakowski i Berlin nie mogli pozbyć się wrażenia, że w „rewolucyjnym” roku 1968 tkwią korzenie głębokich zmian społecznej świadomości, które decydować będą o kształcie przyszłego świata. Intuicja ich nie zawiodła.

8.

Przywódcy rebelii uważali się za marksistów. Całą wiedzę o marksizmie – ironizował Kołakowski – wyrażało dla nich jedno, powtarzane do znudzenia zdanie, że filozofowie tylko objaśniali świat, idzie jednak o to, aby go zmienić. Tym, którzy chcieli go z dobrą wolą wysłuchać, tłumaczył, że na owym zdaniu marksizm się nie kończy.

Po doświadczeniach amerykańskich odkrywających mu nowe oblicze Zachodu napisał artykuł „Sens tradycji”, w którym do młodzieżowej „rewolucji” odnosił się w szerszym kontekście historycznym. W społeczeństwach zawsze czynny był zarówno duch konserwatyzmu, jak i duch rewolty, oba są potrzebne i mogą współistnieć tylko w konflikcie. Ale „społeczeństwo, w którym kult tradycji panuje wszechwładnie, skazane jest na stagnację; społeczeństwo, w którym bunt przeciw tradycji stanie się uniwersalny, skazane jest na zagładę”. Rewolta studencka 1968 r. była większym niż kiedykolwiek zmasowaniem postaw świadomie zwróconych przeciw tradycji.

W artykule nie pojawia się nazwisko Turgieniewa, ale tytułową frazę jego powieści – ojcowie i dzieci – raz po raz tam odnajdujemy. Kołakowski przyznawał, że choć formy, w jakich bunt młodych się przejawiał, bywały naiwne, głupie, nierzadko barbarzyńskie, „dzieci” nigdy chyba nie miały tyle powodów do rozgoryczenia wobec pokolenia „ojców” tworzących świat, z którym nikt tak naprawdę nie wie, co począć.

Cyniczny konformizm i karierowiczostwo – ucieczka od życia „przez szukanie oszłomienia w narkotykach i programowym nieróbstwie” – niszczyielska rewolta – oto, zdaniem Kołakowskiego, trzy postawy negatywne, jakie w obliczu ostrego kryzysu społecznego mogą zająć ludzie rozgoryczeni.

Istnieje też jednak postawa pozytywna. „Wartości, które są potrzebne ludziom i które każdemu człowiekowi są potrzebne, to zarówno zdolność do przystosowania, jak i zdolność do nieprzystosowania. Potrzebne jest przystosowanie w sensie zdolności do solidarności oraz nieprzystosowanie w sensie zdolności do sprzeciwu”.

Te dwie wartości dają się łączyć, czego w rządzonej przez komunistów Polsce doświadczyliśmy na masową skalę w sierpniu 1980 po strajkach na Wybrzeżu. „Solidarność” dała polskiemu społeczeństwu szansę zjednoczenia.

Ale poczucie społecznej jedności bywa zwykle krótkotrwałe. Już wtedy, w Sierpniu ’80, za robotnikami, którzy pod Stoczną Gdańską nieśli na ramionach Lecha Wałęsę – żywy symbol wymodlonej przez polskiego papieża, bezkrwawej rewolucji nie rewolucji – już wtedy za plecami stoczniovców czały się małe biesy chcące „S” zniszczyć, podzielić, pogrążyć w kłamstwie i dwuznacznościach.

9.

W marcu 1984 r. jeden z „ludzi »S«,” Adam Michnik, chcąc uczcić niedawno minio-

ną setną rocznicę śmierci Turgieniewa, w areszcie śledczym na warszawskim Mokotowie pisał szkic o „Rudinie”, wcześniejszej niż „Ojcowie i dzieci” jego powieści.

Potrzeba przeczytania na nowo tego właśnie utworu wydawała się zrozumiała. Po wojnie najważniejsze podziały polskiego społeczeństwa nie przebiegały według granicy pokoleniowej. Nie „ojcowie” i „dzieci”, nie „starzy” i „młodzi”, ale „my” i „oni” – te dwa zaimki pomagały ludziom określać swoją duchową tożsamość, wybor polityczne i moralne. W roku 1984, dwa z górą lata po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego, bohater Turgieniewa musiał być dla Michnika jednym z „nas”. Kim był Rudin?

10.

W eseju o radykalnym krytyku Wissarionie Bielińskim, przyjacielu Turgieniewa, Berlin zauważył, że Rudin, zatrudniony w szlacheckim dworze w roli preceptora, to młodziemiec niezbyt inteligentny i ciekawy, ale o „czystym sercu, krępująco szczerzy i ekstrawertyczny, zabawnie naiwny. Jego radykalizm nie wynika ze sprecyzowanych intelektualnych czy moralnych poglądów politycznych, ale nieokreślonej, acz zapiekłej wrogości do władzy, szarego, zezwie-

mistycznego doświadczenia”. Takiemu oto bohaterowi Michnik postanowił przyjrzeć się wnikliwiej.

Rudin nie był dla niego tylko postacią historyczną, zrodzoną w carskiej Rosji. Był „jednym z egzemplarzy typu ludzkiego żywotnego do chwili obecnej. Tacy ludzie trafiają się w różnych epokach i różnych krajach”. Nie tylko on zresztą, także inne postacie powieści Turgieniewa, ludzie spotykający się w salonie bogatej wdowy po tajnym radcy, tam, gdzie Rudin zostaje duszą towarzystwa – wszystko to typy „żywotne do chwili obecnej”.

Michnik nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ludzie ci są mu dobrze znani, że wiele razy ich spotykał, że z nimi rozmawiał, klócił się, jednych szanował i lubił, innymi gardził... Jego szkic nasycony jest osobistymi emocjami, dobrze wyczuwamy to w czasie lektury.

Tytuł szkicu, „Rudin – człowiek zbyt techniczny”, od razu wskazuje zasadniczy problem, który będzie nas interesował. To problem WYOBECOWANIA, izolacji inteligenta w społeczeństwie. W mikołajowskim reżimie Rudin jest ofiarą dyktatorskich rządów blokujących normalną wymianę elit i naturalne mechanizmy awansu w warunkach pluralizmu i konkurencji.

„Taki człowiek – pisał Michnik – może stać się rezydentem lub szpiclem, urzęd-

stały się wydarzenia marcowe 1968 r. Studenci protestujący wtedy na uczelniach Warszawy czy Krakowa zapisywali się w historii zupełnie inaczej niż ich rówieśnicy z Paryża czy Berkeley. Oni bronili kultury i wartości demokratycznych, tamci mieli te wartości i kulturę w pogardzie. Michnik zamiast portretów Mao, Marksa czy Lenina chciałby obnosić po ulicach portrety Mickiewicza, Kołakowskiego, Miłosza.

W eseju „Sens tradycji” Kołakowski pisał, że najgorsza „mieszanka wychowawcza”, jaka może istnieć, to „przystosowanie w sensie tchórzliwego konformizmu i nieprzystosowanie w sensie aspołecznego egoizmu”. Rodząca się w Polsce jawna opozycja, w której ludzie uformowani duchowo w Marcu ’68 odegrali znaczącą rolę, potrafiła z czasem znaleźć na tę trującą miksturę skuteczne antytoksyny.

Ale za Michnikiem długo jeszcze wleć się będzie cień „człowieka zbyt technicznego”, politycznego chuligana, może prowokatora, za jakiego zdarzało mu się uchodzić nie tylko wśród rządzących, ale i rządzonych, w tym też, niestety, niemałej części inteligencji polskiej („inteligencji prawdziwej – precyzował Kołakowski – a nie wszystkich ludzi z jakimkolwiek dyplomem, bo takich pełno wśród najgorszej hołoty”).



• Rok 1968, studenckie barykady na paryskim Bulwarze St. Germain

FOT. BE&W

**Studenci protestujący
w 1968 na uczelniach
Warszawy czy Krakowa
bronili kultury i wartości
demokratycznych.**

**Ci protestujący na Zachodzie
mieli te wartości i kulturę
w pogardzie**

rzęconego żołdactwa, tępych, nieuczciwych i wystraszonych urzędników, ciemnego, przesadnego i płaszcącego się kleru – z odrazy do szczególnej mieszaniny strachu, chciwości, niechęci do wszystkiego, co nowe i znamionujące żywotne siły, tak typowej dla panujących w Rosji stosunków” (przeł. Sergiusz Kowalski).

Głęboki sprzeciw Rudina budzą różne odmiany konformizmu, cynicznej rezygnacji, akceptującej martwą stagnację rosyjskiej prowincji jako coś „co jest nie tylko naturalne, ale i odzwierciedla głębokie, tradycyjne wartości, zgoda duchowe piękno i jest przedmiotem szczególnego, na polu nacjonalistycznego, na polu religijnego,

nikiem lub spiskowcem; może być utrzymankiem zamożnych znajomych, pić wódkę i brać łapówki w urzędzie, może też – naczytawszy się książek europejskich filozofów – marzyć o lepszej Rosji. Nie może wszakże stać się zaczynem zdrowego fermentu i rozwoju w istniejących instytucjach, bo tam na reformatorski ferment nie ma miejsca. Dlatego też reformatorzy łądowali w alkoholu, w wzięzieniu, w domu dla obłąkanych lub w salonie”. Czasami – dodajmy – jeśli im na to pozwolono, wyjeżdżali za granicę, na Zachód.

11.

Kondycja „człowieka zbyt technicznego” znana była Michnikowi od dawna. W Polsce rządzonej przez komunistów, państwie, którego instytucje nie zezwalały na „zdrowy ferment i rozwój”, pozostawał na marginesie życia publicznego jako ELEMENT wrogi, aspołeczny, antysocjalistyczny. Był nim już jako chłonny wiedzy licealista, „poszukiwacz sprzeczności”, duch niespokojny, ofiara nagonki antyinteligentkiej i antysemitkiej, czarna owca, stale tropiony przez bezpieczeństwo, często zmieniający miejsce pobytu – z domu na więzienie.

Dla Michnika i jego przyjaciół najważniejszym doświadczeniem pokoleniowym

12.

Marzec roku 1984. W areszcie śledczym na warszawskim Mokotowie Michnik, „człowiek »S«,” czyta powieść Turgieniewa. Wydawałoby się, że Rudin gardzący ludźmi, którzy dla kariery gotowi są powtarzać – kiedy i komu trzeba – martwe frazesy, mniej lub bardziej świadomi ich bezsensu, że ten młodziemiec pełen odrazy do tchórzostwa i podłości wzbudzi jego sympatię, zasłuży na współczucie. Tymczasem...

„Rudin jest postacią przerażającą. Nie ma własnej twarzy – ma maskę. Cały jest maską zrodzoną z nadużywania ludzkiej ufności. Pracę wewnętrzną nad sobą poświęca na rzecz odgrywanej przed sobą i innymi roli teatralnej. Jest nieautentyczny. Potrafi żyć jedynie w opinii drugich i z niej wyłącznie czerpie poczucie własnego istnienia”.

Tę negatywną charakterystykę Michnik uzupełniał słowami jego bliskiego niegdyś kolegi ze studiów, Leźniewa: „Najgorsze, że jest chłodny jak lód. – Tak, chłodny jak lód, wiedząc o tym, udaje płomienną duszę. Złe jest to, że on gra niebezpieczną grę, że nie jest uczciwy”.

I jeszcze uwaga Michnika o silnym wpływie, jaki Rudin wywierał na otoczenie: „Tego wpływu, osiągniętego w czasie filozoficznych dysput, używał Rudin dla wtrącania się w najbardziej osobiste i intymne sprawy swoich kolegów. Z ideolo-

ga przeobrażał się samozwańczo w duchowego spowiednika i przewodnika”; bo Rudin „dużo miał drobnych przywar, lubił nawet plotkować; namiętnie wtrącał się do wszystkiego, wszystko określał i wyjaśniał”.

Michnik celnie zauważył, że Turgieniew oszczędził Rudinowi dylematów dramatu politycznego, uchronił go przed próbą charakteru przechodzoną podczas śledztwa, któremu poddani byli np. pietraszewcy, młodzi ludzie próbujący stworzyć w Rosji tajną organizację rewolucyjną.

Swoją próbę charakteru Rudin przechodzi nie w areszcie śledczym, nie w więzieniu czy na placu straceń, ale w ogrodowej altanie, gdzie spotyka się z Natalią, dziewczyną, którą w sobie rozkochał. Natalia gotowa jest iść za Rudinem na koniec świata, zrywając związek z despotyczną matką. Ale Rudin, który obiecał zostać przewodnikiem duchowym dziewczyny, bojąc się odpowiedzialności, tchórzliwie doradza Natalii, żeby podporządkowała się matce i została w domu. Szlachetna dziewczyna wykrzyczy mu w twarz: „Na przyszłość, proszę, niech pan waży swe słowa!”.

Nie przypadkiem anarchista Piotr Kropotkin odnotował w „Zapiskach rewolucjonisty”, że to właśnie Turgieniew pokazał mu, czym jest kobieta, „jakim skarbem jest jej rozum i serce i jaką rolę może ona spełnić jako inspiratorka mężczyzny”.

Ostatecznie Rudin wymyka się jednoznacznym ocenom. Nawet Leźniew, tak krytyczny wobec dawnego kolegi, swój stosunek do niego z czasem przewartościował. „W tobie się pali ogień miłości prawdy – powiedział mu po latach – widocznie, mimo wszystkich twoich przywar, pali się silniej niż w wielu innych, którzy nawet nie uważają się za egoistów, a ciebie może nazywają intrygantem” (przel. Jadwiga Dmochowska).

13.

Dawno temu, kiedy po raz pierwszy z przejęciem czytałem szkic Michnika, nie to było w nim dla mnie najważniejsze, czy autor charakterystykę Rudina odpowiednio wyważył, czy sprawiedliwie ocenił kaliber jego osobowości. Nie. Także teraz, po kolejnej lekturze tekstu, najważniejsze wydaje mi się tam wezwanie do samokrytycyzmu.

W jednym z najsłynniejszych wierszy napisanych w Polsce po wojnie, w „Przesłaniu Pana Cogito” Zbigniewa Herberta, obok słów: „bądź odważny gdy rozum zawodzi bądź odważny/ w ostatecznym rachunku jedynie to się liczy” są też inne: „strzeż się jednak dumy niepotrzebnej/ oglądaj w lustrze swą błazeńską twarz”.

Nawet ci najodważniejsi, mówił Herbert, być może zwłaszcza oni, muszą się przeglądać w lustrze z uwagą.

14.

Szkic o Rudinie, który w 1848 r. zginął na paryskiej barykadzie, napisał Michnik z myślą o literaturze polskiej i o powodach zakłamywania przez nią rzeczywistości. „Polski pisarz zawaha się wielokrotnie, nim nakreśli obraz polskiego Rudina, nosiciela najcenniejszych narodowych wartości, a zarazem pozera, aktora i życiowego gówniarza. Lękać się będzie – i trudno mu się dziwić – że utwór jego posłużyć może celom tyleż pozaliterackim, co nieoczekiwanym. A jednak – myślę – ten lęk ma częściowe tylko uzasadnienie. Czytelnik polski nauczył się już odróżniać literacki utwór od literackiego donosu”.

Do arcydzieł XIX-wiecznej literatury rosyjskiej wracam dzisiaj, bo bardziej jestem duchowo zbudowany po lekturze „Rudina” albo „Ojców i dzieci” niż wielu powieści o współczesnej Polsce, które odkładałam znużony i rozczarowany, że napisane są OBOK tego, co może mieć wpływ na moje życie. Powtarzam sobie wtedy słowa Profesora znajdującego literaturę polską jak chyba nikt inny, Kazimierza Wyki, z jego poruszają-

cych „Wyznań uduszonego”: „Literatura polska w jej rozwoju od »Bogurodzicy« do braci Brandysów (B+B+B), jest taką, jaka jest, ale ona mogła być inną. Ona powinna być inną”.

Odkąd tylko pamiętam (a dobrze pamiętam cztery bez mała dekady przeżyte w PRL-u), od pisarzy polskich oczekiwano ZAANGAŻOWANIA, stawiając im za wzór „Przedwiośnie” Stefana Żeromskiego jako powieść o narodowych sprawach najważniejszych. Tak. Pamiętam dobrze jałowe dyskusje na ten temat z ówczesnych czasopism „społeczno-kulturalnych”. Cóż to był za pokaz hipokryzji! Przecież gdyby tylko pojawiło się wtedy na horyzoncie blade widmo takiej powieści jak „Przedwiośnie”, przebito by je na wylot czerwonym ołówkiem, świeżo zaostrzonym przez cenzora.

15.

Ale oto, po krachu komunizmu, Polska Rzeczpospolita Ludowa przeminęła i setną rocznicę odzyskania niepodległości w 1918 r. mogliśmy obchodzić w suwerennym, wolnym od cenzury państwie. To z tej właśnie uroczystej okazji prezydencka para, Andrzej Duda wraz z Agatą Kornhau-ser-Dudą, rozpoczęła w Ogrodzie Saskim „Narodowe czytanie” „Przedwiośnia” Żeromskiego...

„»Przedwiośnie« jest czytane w 2930 miejscach, m.in. na wodzie w Świnoujściu, pod ziemią w Opatowie, na motocyklach w Kleczewie, na plaży w Rewalu, w środkach komunikacji miejskiej, na przykład w Żorach, Szczecinie, Sochaczewie... – wyliczała pierwsza dama. – Pobity został rekord »Quo vadis«. Pogratulować.

Wcale nie ironizuję. Nasuwa mi się jednak pytanie, jak „Przedwiośnie” czytane przez Polaków „na wszystkich kontynentach, nawet na Antarktydzie”, ZOSTAŁO PRZECZYTANE. Co było dla nas w jego lekturze najważniejsze? Czy zechcieliśmy przypomnieć sobie historię tej powieści określanej w endeckiej prasie mianem „cuchnącej kloaki”? Zastanović się, z jakiego powodu zawładnęła wyobraźnią czytelników? Pomyśleć, kim był jej twórca i dlaczego, oskarżany z prawa i z lewa, cieszył się wśród pisarzy odrodzonej Polski największym autorytetem?

W 1975 r. Tomasz Burek, charyzmatyczny, wówczas jeszcze lewicowy krytyk, w eseju o Żeromskim i „rozdartej świadomości” traktował twórczość autora „Przedwiośnia” jako wyraz ostrego protestu „przeciw postawie ugody osłanianej szumnym narodowym frazezem, przeciw cynicznemu czuwaniu obłudników nad moralnym zdrowiem społeczeństwa, przeciw najgorszej spośród ideologii przystosowania się do status quo: ideologii opty-mizmu, co serca krzepi, a zabija szacunek dla prawdy”.

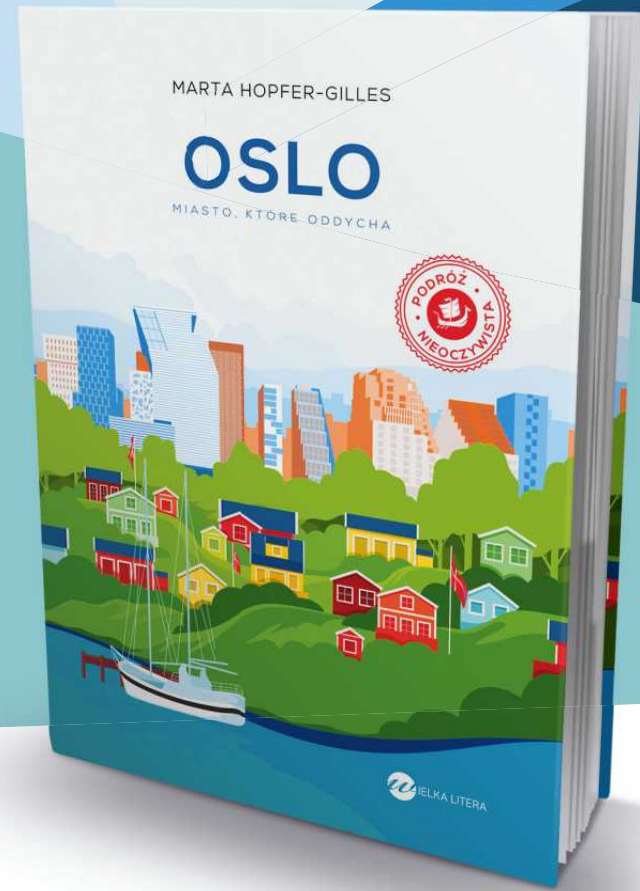
Żeromski – pisał – śniąc sen o przyszłej Polsce idealnej, wolnej od przemocy zewnętrznej i wewnętrznej, niepodległej i sprawiedliwej, „wzbraniał się w swym sumieniu patriotycznego pisarza i za żadną cenę nie chciał, jak najrozmaitsi prelegenci »czysto narodowych« partii, rzucać zasłony na prawdziwy przebieg dziejowych procesów, dokonujących się w życiu nowożytnej Polski, choćby go one napawały nie wiedzieć jak wielkim cierpieniem moralnym, zgrozą i goryczą. Nie chciał, w imieniu jednej części lub jednej warstwy narodu, podającej się za naród cały, wykluczać z wizji życia narodowego zjawisk groźnych, tragicznie splełanych, trudnych do objęcia”.

Inaugurując „Narodowe czytanie” „Przedwiośnia”, prezydent Duda, wspomniawszy o „świętej pamięci profesorze Tomaszu Burku”, nie zacytował tamtych zdań. Mówił za to z patosem o Żeromskim – „budzicielu sumień”. I o jego powieści, z której „wypływa wciąż to wielkie zdanie, że Polska potrzebuje wielkiej idei”.

Ale przecież w czytanim dzisiaj „Przedwiośniu” nie pojawia się żadna wielka idea, która dla wszystkich „Polek i Polaków” byłaby do przyjęcia. Przeciwnie, najwięk-

Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

- 1. Serwisu Wyborcza.pl na sobotę i niedzielę**
- 2. Fragmentu książki „OSLO. Miasto, które oddycha” Marty Hopfer-Gilles**



Oslo to barwne, otwarte, nowoczesne i wielokulturowe miasto przyszłości. Ciągłe się zmienia, zaczyna od nowa, żyje i przepoczwacza się, reaguje na swoich mieszkańców i poddaje się ich wyobraźni. A przede wszystkim oddycha i ma czas.

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki „OSLO. Miasto, które oddycha”
Marty Hopfer-Gilles oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

MHGOMKO

Aby skorzystać z kodu:

- ①** Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- ②** Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- ③** Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- ④** Aktywuj dostęp w ten weekend
- ⑤** Fragment książki czytaj na Wyborcza.pl/czytelnia

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9–17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

sze znaczenie ma w niej wielogłosowa dyskusja ideowa, w której Żeromski nie autoryzował żadnego stanowiska. „Myśl pisarza – przypominał Burek – wierząca u progu tamtych lat, iż »w chwale nieśmiertelnej Polska powstaje«, dramatycznie się różnicowała pod naporem rzeczy, zjawisk i refleksji, stawała się znowu ambiwalentna”.

16.

Piszę te słowa jesienią 2022 r. Coraz mniej zostaje nam czasu do kolejnych wyborów, które zdecydują o przyszłości Polski. Atmosfera polityczna gęstnieje. Spór między dwoma skrajnie odmiennymi obozami stale się zaostrza. Antagoniści nie próbują nawet udawać, że chcą wysłuchiwać swoich racji. Kampania wyborcza – słyszymy – będzie wyjątkowo brutalna.

Dwa znane zaimki „my” i „oni” nabierają teraz odwrotnych niż dawniej znaczeń. W Stoczni Gdańskiej na wiecu poparcia PiS-u prezes rządzącej partii mówił o przeciwnikach jej polityki: „My jesteśmy tam, gdzie wtedy, oni tam, gdzie stało ZOMO”. „Człowieka zbytęznego”, podobnego do zomowca, Jarosław Kaczyński dostrzegł w Lechu Wałęsie! Historia robi sobie z nas niemiłosiernie drwiny.

Nie wydaje mi się, aby nowe „Przedwiośnie”, powieść o Polsce, jaka jest nam dzisiaj potrzebna, zostało napisane pod patronatem Zjednoczonej Prawicy. Znamy, owszem, autorów, którzy mają takie ambicje. Nie zrealizują ich wszelako dopóty, dopóki nie zdobędą się na krytycyzm wobec myślących tak jak oni.

Bez wątplenia najważniejszą powieścią zwolenników dzisiejszej prawicy pozostaje „Dolina nicości” Bronisława Wildsteina. Jest ona ostrym oskarżeniem elit intelektualnych i politycznych III RP, przeciwników lustracji i dekomunizacji, którzy społeczeństwo zatruwają myślami o możliwości „rehabilitacji Judasza”.

Rzecz znamienna: jeden z krytyków wychwalających „Dolinę...” dał recenzji tytuł: „Coście z tym marzeniem zrobili?”. Zwracam uwagę na to „coście...”, nie „cośmy”. W powieści o zaprzepaszczeniu idei wolnej, sprawiedliwej Polski role z góry zostały rozdane. Czytelnik od początku ma wiedzieć, kim są winni, a kim niewinni. Głos ma oskarżyciel, obrony do głosu się nie dopuszcza.

Niejedyny to utwór współtworzący w ostatnich latach polską LITERATURĘ PROKURATORSKĄ. Jej szczytowym osiągnięciem pozostają wiersze polityczne Jarosława Marka Rymkiewicza pisane po ka-

tastrofie smoleńskiej. Czytamy tam o krwi „na białych rękawiczkach Tuska”, o marciej Polsce wiezionej w trumnie na lawecie i o drugiej Polsce, sprzedawanej Zachodowi przez takich jak Tusk. Głębiej w absurdalne oskarżenia polski pisarz prokurator zabnąć już chyba nie może.

Niektórzy znani mi pisarze – przeciwnicy Zjednoczonej Prawicy – literaturze prokuratorskiej zdolni są, niestety, przeciwstawić co najwyżej LITERATURĘ ZGRYWY, rodem z marnego kabaretu. Te wymęczone dowcipy, ten mechaniczny rechot. Jakież to jałowe.

Znam, oczywiście, pisarzy – jest ich bodaj większość – którzy ideowej dyskusji o współczesnej Polsce w ogóle nie są skłonni podejmować, zapewne w przekonaniu, że jest domeną publicystyki, że literatura nie powinna wyręczać innych działów piśmiennictwa, że społeczne funkcje nie są najważniejszym uzasadnieniem jej istnienia, a pisarze, którzy tak myślą, rezygnują ze swojego powołania artystycznego.

To przekonanie mylne. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby powieść o konfliktach społecznych w Polsce była dziełem sztuki, nowoczesną wizją artystyczną, której twórca potrafi nasze narodowe doświadczenia zuniwersalizować. Wojny cywilizacyjne ogarniające dzisiaj cały świat, wojny kulturowe, wielkie wojny technologiczne o sztuczną inteligencję i genetykę, wojny walutowe, zimne wojny i wojny krwawe, a wreszcie żalosne partyjne wojenki zrodzą w końcu taką wizję, oby prędzej niż później.

17.

Dalekowzroczni historycy idei, tacy jak Berlin czy Kołakowski, dobrze wiedzieli, że momenty zwrotne następują w historii, kiedy narasta poczucie, że „istniejące w danym społeczeństwie formy życia zbiorowego i instytucje krępują jego najżywotniejsze siły twórcze ekonomiczne i społeczne, artystyczne i intelektualne – a zarazem nie mają już dość siły, by się im skutecznie przeciwstawić”. Sądzę, że program edukacji narodowej proponowany przez Zjednoczoną Prawicę, zrodzony z lęku przed wszystkim, co nowe, takich „najżywotniejszych sił twórczych” w Polsce nie uwalnia, przeciwnie, od dawna je blokuje.

Moment zwrotny – upragnione OTWARCIE UMYSŁÓW ZAMKNIĘTYCH – może w Polsce nastąpić szybciej, niż się nam wydaje. Ale zanim nastąpi, doświadczając będziemy tego, co w życiu społecznym najgorsze: frustracji, bezradności, zubożenia, nudy.

W rozmowie opublikowanej przez „Wyborczą” pod tytułem „Dobrzy ludzie budują gilotynę” Berlin powiedział Michnikowi, że bezmyślna rewolta studencka 1968 r. na Zachodzie zrodziła się z nudy. „Do zdo-bycia mamy świat rozkoszy, do stracenia – nic oprócz nudy” – pisał Raoul Vaneigem w książce „Rewolucja życia codziennego”, podobno najczęściej kradzionej w paryskich księgarniach. Nuda rodziła rewolucję, by nam uświadomić kontrrewolucyjny charakter nudy.

Za to, co Polsce przyniesie zmiana w nadchodzącym „punkcie zwrotnym” naszej historii, wszyscy będziemy odpowiedzialni. Oby zdolność do sprzeciwu raz jeszcze połączyła się w nas ze zdolnością do solidarności. Także literatura, także powieść może na rzecz takich wartości oddziaływać.

Zacząłem te uwagi od symetryzmu, który w życiu społeczno-politycznym uważam obecnie za szkodliwy. Ale w powieści o Polsce, jaka mogłaby nami wstrząsnąć, tak jak dawniej powieść Żeromskiego, symetryzm pojmowany jako zderzanie ze sobą różnych racji jest potrzebny. Wygrana z przeciwnikiem ideowym ma wartość tylko wtedy, kiedy zostaje on pokazany „in optima forma”. Polski pisarz powinien o tym pamiętać.

18.

„Przedwiośnie” kończyła pamiętna scena marszu zdesperowanego tłumu, który od Nowego Świata przez pl. Trzech Krzyży ruszył pod Belweder, by wykrzyczeć tam rządzącym, jakie bezprawie i niesprawiedliwość ciągle ich spotyka w odrodzonej Polsce.

„Gdy tłum zbliżył się pod sam już pałac belwederski, z wartowni żołnierskiej wysunął się oddział piechoty i stanął w poprzek ulicy, jakby tam nagle ściana szara, parkan niezłomny, mur niezdo-byty wyrósł”.

Kiedy bez mała sto lat po ukazaniu się „Przedwiośnia” myślę o powieści, której dzisiaj w Polsce potrzebujemy, wyobrażam sobie, że w jej zakończeniu – a może lepiej na samym jej początku – również znajdzie się scena marszu. Marszu, w którym ulicą Mickiewicza na warszawskim Żoliborzu tysiące młodych ludzi, skandując hasła obelżywe dla rządzącej partii, szło pod dom jej prezesa, Najważniejszego Człowieka w Państwie.

Maszerujący do celu nie dotarli, zatrzymały ich kordony policji zwiezionnej setkami radiowozów. Marsz protestacyjny szybko wtedy zmienił się w karnawałową zabawę, błazeński happening. Na oczach zdumionych policjantów młodzi ludzie tańczy-

li poloneza. Zachodnia dziennikarka fantazjowała, że okno w domu prezesa nagle się otworzyło i Najważniejszy Człowiek przemówił do młodzieży przez gigantofon, aby ją przekonać do własnych racji. Opowieść dziennikarki była tak sugestywna, że przez chwilę można było uwierzyć w to, co zakrawałoby na cud.

Ale cud się nie zdarzył. Okno w domu Najważniejszego Człowieka było zamknięte. Na parapecie siedział czarny kot i nie-ruchomo – niczym Sfinks – wpatrywał się w nieodgadnioną przyszłość. ●



FOT. ALBERT ZAWADA / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Zbigniew Mentzel

• ur. w 1951 r., absolwent filologii polskiej UW, autor dziewięciu książek, m.in. powieści „Wszystkie języki świata” (finalistki Nike). Jako edytor opracował wiele tomów pism Leszka Kołakowskiego. Jego biografia „Kołakowski. Czytanie świata” otrzymała Nagrodę im. Jana Długosza za najlepszą książkę z zakresu humanistyki w 2021 r. Przez ostatnie ćwierć wieku mieszka na warszawskim Żoliborzu

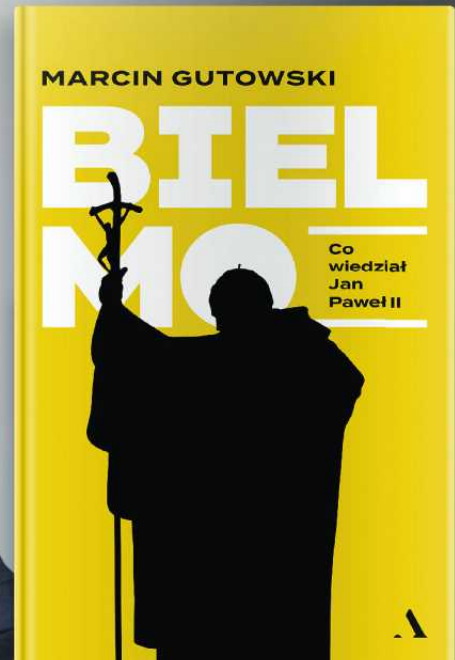
Cały tekst: [Wyborcza.pl/magazyn](https://wyborcza.pl/magazyn)

„HISZPAŃSKI NOBEL” DLA MICHNIKA

Adam Michnik odebrał w piątek w Oviedo Nagrodę Książniczki Asturii za rok 2022 w dziedzinie komunikacji i nauk humanistycznych. Ceremonii przewodniczył król Hiszpanii Filip i królowa Letycja, towarzyszyła im księżniczka Asturii Eleonora.

Kapituła nagrody napisała, że naczelny „GW” był „zawsze oddany wolności”, a w ostatnich latach nie szczędził krytyki autorytarnym prądom, które „uderzyły w Europę Wschodnią”. „Jego koncepcja Europy przyczyniła się do utrwalenia wartości demokratycznych w jego kraju” i jest „moralnym wzorem oporu wobec tyrańskich zagrożeń”. Był zawsze zaangażowany „w wysokiej jakości dziennikarstwo”, m.in. kierując czołową polską gazetą.

Michnik jest szóstym Polakiem uhonorowanym tą nagrodą. Przed nim otrzymali ją: Zygmunt Bauman, Ryszard Kapuściński, Krzysztof Penderecki, Krzysztof Wielicki i Adam Zagajewski.

CZEGO JAN PAWEŁ II NIE MÓGŁ, A CZEGO NIE CHCIAŁ WIEDZIEĆ O PEDOFILII W KOŚCIELE?

ŚLEDZTWO MARCINA GUTOWSKIEGO, REPORTERA PROGRAMU "CZARNO NA BIAŁYM" TVN24

”
Mam wrażenie, że nie znaliśmy Jana Pawła II jako „szefa” instytucji, która tworzy świat wspólnych interesów zamkniętej grupy, pod osłoną świętości przemilcza błędy, winy, korupcję, a brudy pierze we własnym gronie. Marcin Gutowski w swojej książce przedstawia papieża z nowego punktu widzenia.

ANNA KAROŃ-OSTROWSKA,
wieloletnia znajoma Jana Pawła II

K S I A Ż K A J U Ż W S P R Z E D A Ż Y

Sklepikarze przestają przyjmować ruble

Z taktycznego punktu widzenia rosyjski odwrót z Chersonia byłby racjonalny, ale porażka wizerunkowa przyćmiłaby nawet zatopienie „Moskwy”

Bartosz T. Wieliński

Jaka przyszłość przed Chersoniem, przed wojną niespełna 300-tysięcznym miastem u ujścia Dniepru, jedyną ukraińską stolicą obwodu, którą udało się podczas tej wojny zająć Rosjanom? W zeszłym tygodniu nawet rosyjscy blogerzy wojenni zapowiadali, że Rosja ewakuuje wojska, bo pozycji na prawobrzeżnej Chersońszczyźnie bronić nie ma sensu. Lepiej konsolidować obronę przed Ukraińcami po drugiej stronie, odbudować wykrwawione jednostki. Ukraiński wywiad tym zapowiedziom nie dowierzał, bo do Chersonia ciągle, mimo ukraińskiego ostrzału, napływają rosyjscy żołnierze. Budują umocnienia. Z taktycznego punktu widzenia odwrót byłby racjonalny. Ale byłby wizerunkową porażką na miarę zatopienia krążownika „Moskwa” czy ostrzelania mostu Kerczeńskiego. Na to Putin nie może sobie pozwolić.

W okupowanym Chersoniu sklepikarze przestają przyjmować ruble. Rosyjska waluta wprowadzona została w mieście ukazem okupantów pod koniec maja, wypłacano w niej pensje i emerytury. Póki działały kantory, mieszkańcy wymieniali – demonstrując nieposłuszeństwo – ruble na hrywny. W Chersoniu działały przez jakiś czas dwa obiegi walutowe, w sklepach wisiały podwójne cenniki. Rosyjskie władze zapowiadały, że hrywna zniknie z obiegu do końca roku. Tym bardziej że we wrześniu Putin ogłosił przyłączenie całego obwodu do Rosji.

Czas rubla na Chersońszczyźnie właśnie mija. Rosyjskiej waluty nie przyjmują w sklepach z żywnością. Ruble można wymienić na hrywny po szalonym kursie sześć do jednego. Na stacjach benzynowych rosyjscy żołnierze nawet jak mają hrywny, to i tak nie zatankują. Okupantów nie obsługuje się.

Kiryl Stremusow, przed wojną prorosyjski blogger i lokalny polityk, obecnie wiceszef rosyjskiej administracji na okupowanej Chersońszczyźnie, ostrzegł „spekulantów”, że zostaną „pociągnięci do odpowiedzialności”, jeśli będą próbować wykorzystać trudną sytuację, w jakiej znalazł się Chersoń. To nie są czcze groźby. Dwa tygodnie temu Rosjanie zastrzelili dyrygenta Jurija Kerpatenkę, który odmówił poprowadzenia propagandowego koncertu. Mieszkańcy podejrzewani o współpracę z ukraińskim ruchem oporu znikają bez śladu. Teraz o życie musi drzeć Stremusow i jego bezpośredni zwierzchnik Wołodymyr Saldo. Ukraińcy są coraz bliżej Chersonia, kolaboranci i stworzone przez nich instytucje uciekają. Utrzymanie miasta jest mało prawdopodobne.

Sami Rosjanie w to nie wierzą, skoro wywożą, co się da: karetki pogotowia, wozy straży pożarnej, wyposażenie fabryk; zdemontowano i przerzucono na drugi brzeg Dniepru nawet dźwigi z chersońskiej stoczni. Równolegle Rosjanie zarządzili wielką ewakuację cywilów, którzy – dla ich bezpieczeństwa – mają zostać osiedleni w Rosji. Taka rosyjska taktyka wobec okupowanej Ukrainy: wywieźć, co się da, łącznie z ludźmi. Gdy Ukraińcy w końcu wyzwolą Chersoń, zastaną spaloną ziemię...

Dla Ukraińców to sprawa honoru. Chersoń wpadł w ręce Rosjan w wyniku zdrady już szóstego dnia wojny. Zajął go jednostki nacierające z okupowanego od 2014 r. Krymu. Kolumny czołgów i transporterów jechały w kierunku Chersonia przez wiele mostów, których Ukraińcy nie wysadzili. Już pierwszego dnia wojny Rosjanie byli przy najważniejszym moście – Antonowskim – nad Dnieprem. Przeprawy były zaminowane, ładunków nie zdetonowano. Ktoś zdradził. Ukraińscy politycy obiecują, że rozliczą winnych po wojnie,

o ile kolaboranci ją przeżyją. W Chersoniu działa ruch oporu, który regularnie wymierza sprawiedliwość. Ostatnio rozwiesił w mieście billboardy „Wiemy o wszystkim”.

Zdrada to jedno, ale na południu, gdzie Rosjanie w lutym rzucili 35 tysięcy żołnierzy, Ukraina miała pod bronią ledwie 15 tysięcy. Gdy Rosjanie przekraczali Dniepr, Ukraińcy wszystkie siły i uzbrojenie, jakie byli w stanie, skierowali do obrony Kijowa. Z Chersońszczyzny wycofano jednostki obrony przeciwlotniczej i dużo ciężkiego sprzętu. Upadek Chersonia, jedynej utraconej stolicy obwodu, był dla Ukrainy ciosem, ale utrata Kijowa byłaby katastrofą.

Rosjanie planowali, że po zajęciu Chersonia ruszą na Krzywy Róg i Mikołajów, a dalej – na Odesę. Przeliczyli się. Od wiosny są powoli spychani w kierunku Dniepru, a prezydent Zelen-ski zapowiada odbicie Chersonia. Latem, gdy Rosjanie zamieniali ostrzałem artyleryjskim w gruzy miasta Donbasu, wydawało się to nierealne. Broń NATO zmieniła obraz bitwy. Pod koniec lata Ukraińcy zaczęli nękać Rosjan atakami i ostrzałem artyleryjskim. Szukali słabych punktów na ich liniach.

Znaleźli je na początku października, gdy Rosjanie przeprowadzali rotację jednostek 100 km na północ od Chersonia. Ukraińcy uderzyli z całej siły na świeżo przysłane wojsko, które nie zdążyło okrzepnąć na nowych pozycjach. Front się załamał, Ukraińcy odrzucili Rosjan na ponad 20 km, w ciągu miesiąca weszli w głąb Chersońszczyzny o kolejne 20. Na początku trwały walki o miejscowość Myłowe. Gdy Ukraińcy ją wyzwolą, następną będzie położony nad brzegiem Zbiornika Kachowskiego Braclaw. Za tym miastem znajduje się długa na trzy kilometry tama przy elektrowni wodnej w Nowej Kachowce. Biegąca po niej dwupasmowa droga to drugie po moście Antonowskim połączenie lewo- i prawobrzeżnej Chersońszczyzny.

Rosjanie wywożą, co się da: karetki pogotowia, wozy straży pożarnej, wyposażenie fabryk, zdemontowano i przerzucono na drugi brzeg Dniepru nawet dźwigi w chersońskiej stoczni

Obecnie nie działa. Obydwa mosty Ukraińcy ostrzelali za pomocą precyzyjnych rakiet odpalanych z przysłanych z USA wyrzutni HIMARS, dziury w jezdni uniemożliwiają przejazd sprzętu wojskowego czy ciężarówek z zaopatrzeniem dla wojska. Przez most można przejść na piechotę. – Jeśli zajmą Braclaw, to będzie po zawodach. Będziemy uciekać wpraw przez Dniepr – przewidują Rosjanie w rozmowach przechwyconych przez ukraiński wywiad.

Oglądam film nakręcony przez rosyjskich żołnierzy, świeżo zmobilizowanych i wysłanych na Chersońszczyznę. Siedzą w zagajniku i utyskują. Nie ma wody, nie ma żywności, noce zimne, a nie wydano ciepłej odzieży. Ukraińska artyleria ciągle strzela. Z dowództwem nie ma łączności. Tak nie wygląda wojsko, które zwycięża. Napór Ukraińców będzie rósł, Amerykanie wyposażyli ich w nowy typ rakiet do wyrzutni HIMARS, które sięją zniszczenie na dużym obszarze. W sam raz na rosyjskie transzeje i prowizoryczne fortyfikacje.

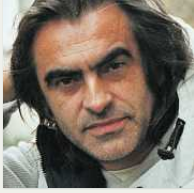
Gdy w rosyjskich rękach pozostanie tylko Chersoń, zobaczymy, jaka jest realna siła ukraińskiego ruchu oporu. Amerykański think tank Instytut Studiów nad Wojną twierdzi, że ukraińska flaga powieje nad miastem do końca roku. ●

**W PONIEDZIAŁEK
W „WYBORCZEJ”**



Którzy odeszli

– ponad 100 sylwetek zmarłych w minionym roku, więcej na **wyborcza.pl**



Z **SYLWIĄ CZUBKOWSKĄ***, AUTORKĄ KSIĄŻKI „CHINŹCYCY TRZYMAJĄ NAS MOCNO. PIERWSZE ŚLEDZTWO O TYM, JAK CHINY KOLONIZUJĄ EUROPE, W TYM POLSKĘ”, ROZMAWIA **WALDEMAR PAŚ**

Ile razy byłaś w Chinach?

– Tylko trzy. I więcej już raczej nie pojadę.

Bo napisałaś książkę „Chiny trzymają nas mocno”? Nie dostaniesz wizy?

– Sądzę, że dostałabym wizę. Ale dla mojego dobra lepiej, abym nie jechała.

Wybacz, ale czy te Chiny naprawdę nas tak mocno trzymają? My, Czechy czy Serbia jesteśmy dla nich tak ważni?

– Polska perspektywa nie wystarcza, żeby wytłumaczyć, z czym naprawdę się mierzymy. Trzeba połączyć wątki finansowe, inwestycyjne, polityczne, kulturowe, technologiczne. Wtedy widać szerszy obraz.

A co widać w szerszym obrazku?

– Ważna jest próba zrozumienia, czego Chiny chcą od naszego regionu i czy jesteśmy w stanie odpowiedzieć na ich oczekiwania tak, abyśmy na tym skorzystali.

Musielibyśmy mieć jakąś narodową strategię, a my jej nie mamy.

– Prezydent Duda dzwonił po szczepionki do Xi Jinpinga nie dlatego, że naprawdę ich chcieliśmy. To miał być prztyczek w nos Komisji Europejskiej.

On i jego zaplecze polityczne bez przerwy rozdają „prztyczki”, zwykle nieudatne z punktu widzenia dobra Polski.

– Tymczasem Orbán bierze pożyczki z Chin, zacieśnia relacje, sprowadza inwestycje – chce, będąc w Unii, osłabiać ją, pokazując, że mamy jakąś alternatywę.

Z drugiej strony Litwa odwróciła się od Chin, widzi w tym konkretne korzyści dla swojego bezpieczeństwa – niech USA zobaczą, kto jest najbliższym ich sojusznikiem.

Należy rozumieć regionalny kontekst. Przypominam słowa Kundery, że w naszym zakątku Europy dzielimy z innymi narodami nie tyle wspólnotę położenia, co wspólnoty losu, traumy, choćby tę pojaltańską.

Jak trauma pojaltańska ma się do dzisiejszej ekspansji Chin?

– Każde z państw ma poczucie niesprawiedliwości, coś mu zabrano, czegoś nie oddano, każdego coś boli. My chcemy odszkodowań od Niemiec, Serbii chodzi o niepodległość Kosowa, Bośni i Hercegowinę uwiera brak wybrzeża, Litwa ma żal o wciśnięcie jej mniejszości rosyjskiej.

Wspólny mianownik – blisko 80 lat temu odłączono nas od ultraszybkiego rozwoju Zachodu, straciliśmy pół wieku. Ale mamy już dosyć nadrabiania zaległości przez ostatnie trzy dekady. Chcemy żyć tak samo jak Zachód. Nie rozumiemy, dlaczego oni mają wyższe emerytury, zarobki, siłę nabywczą swoich pensji.

A wtedy przychodzą Chiny i mówią: róbcie biznes z nami!

Chińczycy to samo mówią Europie Zachodniej. Czyje jest szwedzkie Volvo?

– W tym sensie to bardziej uzależnili od siebie Niemców.

Z drugiej strony jaka to różnica, czy Mercedes jest niemiecki czy chiński?

– To nie problem, dopóki nie okazuje się, że za związkami biznesowymi idą zależności polityczne. Wyraźnie widzimy to dziś, gdy trwa rozgrywka o port w Hamburgu, w którym udziały próbuje kupić chińska wielka korporacja Cosco. Federalne służby ostrzegają, że to dopuściłoby dyktaturę do infrastruktury krytycznej, a mimo to kanclerz Scholz osobiście zgodził się, by Cosco kupiło niemal jedną czwartą udziałów. I stoi za tym także fakt, jak ściśle gospodarka niemiecka jest zależna od Chin.

W książce opisałaś schemat: na początku dużo obiecują, potem w jakiś sposób

SMOKI ISTNIEJĄ

Przynajmniej te chińskie. I kuszą: nie będziemy was pytać o jakąś praworządność, to nas nie interesuje, nie jesteście jak Komisja Europejska

uzależniają i wtedy ciach, nie ma obiecanej autostrady czy portu ani pieniędzy i jeszcze trzeba spłacać chiński kredyt?

– Tak. Zachód, gdzie działa państwo prawa, wprowadza zabezpieczenia przyszłych zysków, pilnuje przetargów. W Afryce Chiny wciąż mogą sobie pozwolić na wszystko. A my jesteśmy pomiędzy.

Za dużo w nas Wschodu?

– Ambicje państw naszego regionu plus ogromne zapóźnienia to ułatwienie dla Chin. Łatwiej zapewniać potencjalnych partnerów o dobrej woli, finansować, podkreślać słynne hasło win-win, czyli że obie strony skorzystają. A do tego nie będziemy was pytać o jakąś praworządność, to nas nie interesuje, nie jesteście jak Komisja Europejska.

Czarny sen demokracji. Pewnego dnia rząd PiS lub jego pogrobowcy wybierze opcję chińską, mówiąc Europie: pa, pa.

– To nie jest takie proste na szczęście. Próby rozgrywania tej perspektywy, jeszcze powiedzmy do 4 lutego...

...chyba 24 lutego?

– 4 lutego, czyli w dniu rozpoczęcia zimowych igrzysk w Pekinie, podpisano dokument nazywany umową o osi Moskwa – Pekin. W świat wyraźnie poszły informacje o tym, o czym wcześniej wiedziały służby.

W Europie Środkowej na prochińskim placu boju zostali Orbán i Aleksandar Vučić, przy czym Serbia nie jest w Unii i NATO.

A Polska?

– 4 lutego Andrzej Duda był w Pekinie jako jedyna głowa państwa z dużego kraju UE. Byli też Liechtenstein, Monako, premier Zoran Tegeltija z Bośni i Hercegowiny, no i Vučić. Orbán nie pojechał.

Gdy wojska rosyjskie weszły do Ukrainy, to z miejsca nastąpił zwrot w stronę Stanów Zjednoczonych. Władze przypomniały sobie, że to USA, a nie Chiny rzeczywiście mogą nas uratować przed Rosją.

Wracając do pytania, co dalej – wiele zależy od zrozumienia, co jest najważniejsze dla poszczególnych państw. Bezpieczeństwo czy rozwój? Specjaliści, władze, elity, media powinny próbować odpowiedzieć na to pytanie.

Jak ma się w tym odnaleźć przeciętny Kowalski?

– Na przykład, gdzie robi zakupy, jakich aplikacji używa, co mu to daje.

A jaka różnica jest dla Polski, czy Kowalski kupił taniego xiaomi czy drogiego apple'a? Zwłaszcza jak Kowalski zarabia w okolicach pensji minimalnej? Telefon z tymi samymi usługami, a dziesięć razy tańszy.

– Faktycznie ten sprzęt jest pożądany. Tak bardzo, że – jak opisywałam jeszcze w „Wyborczej” – przed otwarciem jednego ze sklepów Xiaomi działały się dantejskie sceny. Ludzie walczyli o tańsze opaski i hulajnogi. Tył że wielu z nas nie uświadamia sobie, że Polska jest wśród 30 najbogatszych państw świata i moglibyśmy kupować świadomie.

Inflacja szaleje, brakuje do pierwszego – dlaczego kupować drożej?

– A musisz kupować? Wymieniamy telefon co dwa lata. Producenci nas do tego przyzwyczaili, tak produkują ten sprzęt, że on po dwóch latach działa coraz wolniej, więc pędzimy po kolejny i kolejny model.

Ja nie wymieniam telefonu co dwa lata.

– Chwali ci się, ale inni owszem. Osoby, które pracują na danych, jak dziennikarze, pracownicy naukowcy, urzędnicy, analitycy, wciąż raczej rzadko przywiązują uwagę do szerszego kontekstu – na jakim sprzęcie pracują i jak szybko go zużywają. Decy-



Książka śledcza Sylwii Czubkowskiej

„Chińczycy trzymają nas mocno. Pierwsze śledztwo o tym, jak Chiny kolonizują Europę, w tym Polskę” już w księgarniach

dujące są marka i cena. A aspekty takie jak zaufanie, że producent działa w środowisku, gdzie jest nad nim demokratyczna kontrola, stoją gdzieś na ostatnim miejscu. Można by o tym pomyśleć w imię patriotyzmu i własnego bezpieczeństwa.

W Chinach nie ma kontroli demokratycznej, która jest w Stanach. Słusznie obwiniamy amerykańskie big techy za ich modele biznesowe, brak dbałości o konsumenta, kapitalizm inwigilacji. Ale jakkolwiek by było, amerykańskie prawo stara się samowolę ukrócić. W Chinach może to jedynie zrobić partia. Której nikt nie kontroluje.

To chyba wiedza powszechna, że Chińczycy mogą nas podglądać przez telefony?

– Rzecz do dyskusji. Gdy podczas tegorocznych zimowych igrzysk wszyscy sportowcy musieli ściągnąć specjalną chińską aplikację na telefon, poszczególne państwa radziły więc swoim sportowcom: „Nie instalujcie tej apki na prywatnych urządzeniach, najlepiej nie zabierajcie żadnego prywatnego sprzętu. Kupcie sobie jednorazówki na kartę albo je od nas dostaniecie”.

W Polsce wysłałam milion pytań do wszystkich możliwych służb, do Minister-

stwa Cyfryzacji, NASK-u, Polskiego Komitetu Olimpijskiego i nic. Dopiero na dzień przed wyjazdem naszej ekipy do Pekinu dostałam odpowiedź: „Przeszkolimy sportowców z bezpieczeństwa”. Rychło w czas.

Kilka lat temu wciąż słyszałam: „Dla mnie to obojętne, co Zuckerberg o mnie wie”. Dziś słyszę to coraz rzadziej. Za to coraz częściej: „Czy to ważne, czy dostęp do moich danych ma amerykańska NSA czy komunistyczna partia Chin? Co to za różnica?”.

Ja też widzę pogłębiającą się obojętność na to, co wiedzą o nas obce służby.

– Powtórzę się: to wynika z nieświadomości skali takiej kontroli i jej celu. Producenci smartfonów oferują odkurzacze, oczyszczacze, głośniki – całą gamę sprzętu domowego do połączenia w jednej aplikacji do zarządzania domem. Oczywiście to wygodne, włączyć zdalnie oczyszczacz powietrza przed wyjściem z pracy, ale czy na pewno chcesz oddawać komuś całą wiedzę o twoim domu?

Wielu ludzi odpowie, że nie widzi chińskich wpływów.

– Bardzo dobrze, że nie widzi, bo Chinom o to chodzi, żeby nie widzieć.

Powiedzą też: co w tym złego, że Chińczycy budują porty lub sprzedają tanie telefony?

– Nic, dopóki gramy w równą grę. A tak nie jest. Nie wiemy, z kim gramy, na jakich zasadach, nie rozumiemy drugiej strony.

Dlaczego?

– Bo jesteśmy przekonani, że to taki sam partner jak państwa Europy Zachodniej czy USA. A w relacjach z Chinami nie bardzo wiemy, jakie są długofalowe cele.

Jakiś czas temu powstał układ 16 plus 1 – Europa Środkowa plus Chiny, zamieniony potem w 17 plus 1, gdy doszła Grecja i wydawało się, że będziemy dla Chin bramą do Europy Zachodniej, bo bardzo im zależy na naszym stumilionowym rynku. A potem się okazało, że Chiny mają inne pomysły, niż nam się wydawało.

Jakie?

– Kluczowa jest budowa potencjału państwa, rozwoju wewnętrznego. 2049 rok, Chiny to najsilniejsze państwo świata, pierwsze imperium gospodarcze, technologiczne. Reszta świata to kamyczki na drodze do budowy tego celu.

Gdy Chiny wchodziły do Europy Środkowej, sądziły, że pójdzie im gładko, bo nasze głodne, ambitne, żadne szybkiego rozwoju gospodarki nie będą zadawać tylu pytań co Zachód. Ale w naszym regionie każdy kraj jest inny, z każdym się trzeba dogadywać oddzielnie. Do tego – cóż za pech – po wyborach zmieniają się władze. Nasza środkowo-europejska spuścizna okazała się w pewnym sensie zbawienna. Inwestycje nie szły tak szybko i łatwo jak w wielu ubogich państwach afrykańskich. I w Polsce – przynajmniej na razie – nie ma partii prochińskiej, podobnie w krajach bałtyckich, Słowacji, w Czechach, chociaż tam są powiązania oligarchów finansowych z Chinami.

Ale pytanie: jak długo utrzymamy naszą suwerenność technologiczno-gospodarczą, pozostaje otwarte.

Jak długo?

– Staralam się tak pisać, aby u czytelników nie pojawiło się przekonanie, że powinniśmy wykluczyć wszystkie chińskie firmy. Nie trzeba robić wszystkiego naraz. Trzeba odpowiedzieć na pytanie, co jest dla ciebie ważne. Chcesz mieć konto na TikToku? Proszę bardzo. Jeżeli to ma dla ciebie konkretną wartość, bo np. chcesz być influencerem. Ale przynajmniej miej z tyłu głowy, skąd jest TikTok.

Pisząc książkę, zjeżdżałaś nasz kawałek Europy wzdłuż i wszerz.

– Bardzo zależało mi, by ta książka to nie była geopolityczna rozprawka, tylko reportaż opowiadający o tym, co jest najważniejsze,

czyli o ludziach. Moich rozmówców, ekspertów i zwykłych ludzi pytałam o ich doświadczenia z Chinami, z chińskimi inwestycjami. Nieźle rozumieli Rosję, ale Chiny to w większości – poza Serbią – wciąż biała plama.

Bardzo dużo legend, mitów, podkręcania opowieści. A informacje trzeba było wyciskać. Przykład szybkiej kolei z Belgradu do Budapesztu, gdzie wszyscy od strony rządowej przekonują, że to będzie rewolucja. Tyle że budowana za wielką pożyczkę z Chin, przez chińskie firmy – typowy przykład pułapki zadłużenia – i to ma być kolej tylko towarowa, więc zwykli pasażerowie tego nie odczują. Zyskają ludzie powiązani z Orbánem i z Vučićem, bo przyplyną pieniądze i obydwa będą mogli robić sobie PR.

Parlament węgierski na wniosek rządu utajnił te umowy mimo kolejnej sądowej rozprawy, aby opinia publiczna mogła się z nimi zapoznać.

Wyobraźmy sobie, że następuje przesilenie. Polacy zaczynają myśleć: „Ta Unia faktycznie nas się wciąż czepia, dlaczego nie postawić na Chiny?”.

– Gdyby nie wojna w Ukrainie, ta opowieść już byłaby bardzo przekonująca dla wielu Polaków. Bo chcemy mieć szybko inwestycje, rozwijać się, a Bruksela i Ameryka za dużo nam mieszają w garnuszku. Ta opowieść przez lata padała na podatny grunt.

Przez lata byliśmy dla Chin piaskownicą do uczenia się. Co można, a czego nie, do jakiego stopnia można. Stąd rozmowa Xi i Dudy o szczepionkach na COVID, PGNiG otwierająca linię kredytową w chińskim banku inwestycyjnym – ciągle próbowanie, jak dużo możemy.

A Centralny Port Komunikacyjny?

– Chiny już chyba nie są nim zainteresowane. Ale był pomysł, że to będzie element nowego Jedwabnego Szlaku.

Jak w tym jest osadzony PiS?

– Jest bardzo niejednorodny, nie jest monolitem, w rządzie ścierają się frakcje. Morawiecki jest proamerykański, jego ludzie też są powiązani z Amerykanami. Ale nowelizacja ustawy o krajowym systemie cyberbezpieczeństwa, która miała wykluczyć Huawei, jest w zawieszeniu od dwóch lat. Nie ma ustawy, nie ma aukcji 5G.

To świetny przykład na to, jak się zachowujemy. Chcielibyśmy, ale się boimy. Jak Amerykanie mówią, że nie, to się wycofujemy. A jak Amerykanie nie patrzą, to krok w kierunku Chin.

A my wciąż najbardziej boimy się w Polsce Rosji, nie konglomeratu Rosja-Chiny, który opisujesz jako DragonBear.

– Te powiązania wciąż nie są powszechnie kojarzone. Choć ostatnie wojenne miesiące mocno nami wstrząsnęły i zaczęło się uważniejsze patrzenie w stronę Pekinu.

Gdybyś na chwilę dostała władzę, co zrobiłabyś w pierwszej kolejności?

– Powszechną edukację medialną w Polsce. Serio. Bo ludzie sporą część wiedzy czerpią z „mediów”, czyli z Facebooka, TikToka, YouTube’a, i mają poważne problemy z przesłaniem i oceną wszystkiego, czym są bombardowani. Są przesiąknięci różnymi niesprawdzonymi wiadomościami, nie potrafią ich przefiltrować.

Trzeba systemowo, od pierwszych lat edukacji, kształtować umiejętność szukania, pogłębiania wiedzy, przesiewania źródeł, zadawania sobie pytań. Dlaczego, przynajmniej dotychczas, nie udaje się w Polsce działać rosyjskiej i chińskiej dezinformacji? Bo opinię publiczną udało się – i tu duża zasługa mediów – uwrażliwić na te procesy.

To, czego się od nas domagasz, wymaga decyzji podejmowanych kolektywnie, i to na różnych poziomach – państwa, regionu, uniwersytetu, rady gminy, zaopatrzeniowca sklepu.

– Właśnie o to chodzi. Gmina chciałaby podpisać umowę stowarzyszeniową z miastem w Chinach. Super, róbcie to, ale może najpierw sprawdźcie, kogo spytać, do której służby się odezwać i jak się do tego przygotować. A jak wysyłacie przedstawicieli z uczelni do współpracy z uczelnią w Chinach, to też może spytacie, czy to jest dobry pomysł, że akurat z tą uczelnią.

Dziś już wiemy, że naiwna była wiara z czasów Deng Xiaopinga, że jak się Chiny otworzą na świat, wejdą do Światowej Organizacji Handlu i jak ich studenci i naukowcy będą jeździć po świecie, to oddolnie zrobią się demokratyczne. Takiego scenariusza nie będzie, co nie znaczy, że mamy się zamknąć na Chiny, opuścić nową żelazną kurtynę pod kątem technologicznym, edukacyjnym, cywilizacyjnym, handlowym, politycznym.

Trzeba tylko wiedzieć, w co można grać. Mnie zastanawia choćby, jaka byłaby reakcja na polskich uczelniach, które mają instytuty Konfucjusza, gdybym chciała tam zrobić spotkanie o mojej książce.

Może warto sprawdzić? Piszesz o współpracach naszych uczelni, w tym politechnik, z Chinami jako o ewentualnie groźnych.

– Bo chodzi nie o zwykłe kooperacje, tylko o działania podejmowane ze słynnymi „siemioma synami”, czyli uczelniami techniczno-wojskowymi będącymi kuźniami kadr dla Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Sporo uczelni z nimi współpracuje, nie tylko z Polski. Na świecie jednak zaczął się mocny odśiew takich działań, np. w Australii, gdzie współprace są ucinane przez służby.

Jak w Polsce DragonBear wpłynie na wojnę w Ukrainie i nasze bezpieczeństwo?

– W miejscu dezinformacji rosyjskiej albo obok niej pojawi się dezinformacja chińska. Wojna w Ukrainie? To wina NATO i ambicji tej organizacji. Kryzys z Tajwanem? Wina

Stanów Zjednoczonych i Nancy Pelosi – po co się tam pchała i drażniła Chiny?

Na razie mówią tak mikre środowiska narodowców, może „wolnościowców”. Do mainstreamu się nie przebiło.

– A jak zima okaże się mroźna i długa? I zmęczeni inflacją ludzie zaczną się wkurzać? Łatwiej będzie przesłiznąć się takiej narracji do naszych umysłów. Rosyjską propagandę umiemy wyczuć, bo z nią się oswoiiliśmy. A chińskiej możemy nie widzieć.

Co może mówić propaganda prochińska?

– Może być wykorzystywany argument ceny. Rosja wykorzystuje argument ceny paliwa, to Chiny będą mówiły o cenie mikroprocesorów, łańcuchów dostaw przy technologiach.

Będziemy słyszeć: tracicie na tym, po co wam to, chcemy działać pokojowo. To wewnętrzna sprawa Rosji, nie ma co się w to wtrącać. Tak samo wewnętrzną sprawą Chin jest Tajwan i Hongkong.

Chiny w swojej dezinformacji nie tyle szkolą konkretne ośrodki i autorów, co wylapują i inspirują tych, którzy są gotowi przyjmując nową prawdę. Sieją ziarno wątpliwości. ●



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Sylwia Czubkowska

• dziennikarka technologiczna i ekonomiczna, kieruje Magazynem Spider’s Web+, projektem reporterskim, śledczym i analitycznym popularnego serwisu Spider’s Web. W Radiu TOK FM współprowadzi podcast „Techstorie”

GOSPODARKA OBIEGU ZAMKNIĘTEGO

Tania energia z odpadów

Rezygnując z wartości energetycznej, która drzemie w odpadach, godzimy się na droższe rachunki za prąd i ciepło

Jak wygląda rynek odpadów w Polsce?

WIKTOR MOKRZYCKI, WICEPREZES MO-BRUK-U:

Odpady komunalne w Polsce generowane są w ilości ponad 12 mln ton rocznie. Odpady niebezpieczne, których przetwarzanie stanowi rdzeń działalności Mo-BRUK-u, generowane są w ilości ok. 2 mln ton w skali roku. Niewątpliwie jako Polska powinniśmy dążyć do ich maksymalnego przetworzenia z zachowaniem ścisłych norm środowiskowych. Mo-BRUK jest istotnym graczem na tym rynku, dążącym do maksymalizacji przetworzenia odpadów na wartościowe materiały i produkty, w myśl polityki gospodarki obiegu zamkniętego.

Mo-BRUK produkuje RDF (paliwo alternatywne), które mogłoby być wykorzystywane na masową skalę przez elektrociepłownie, zwłaszcza w dobie kryzysu energetycznego i braku węgla.

RDF powstaje na bazie odpadów palnych, takich jak drewno, tworzywa sztuczne, tkaniny, które po rozdrobnieniu, a następnie odpowiednim przetworzeniu i przygotowaniu mieszanki może być wykorzystywane jako substytut węgla. W Polsce aktualnie głównym odbiorcą RDF są cementownie oraz jedna elektrociepłownia w Zabrze. Liczymy, że w Polsce samorządy dostrzegą potencjał



NFOŚiGW przeznaczył konkretne środki na dostosowanie istniejących instalacji do spalania RDF

w energetycznym wykorzystaniu RDF. Dla przykładu, w Niemczech funkcjonuje blisko 80 instalacji opalanych RDF. Nasi zachodni sąsiedzi doskonale zdają sobie sprawę, że odpady oferują poważną wartość energetyczną. Z wspomnianych 12 mln ton odpadów komunalnych ok. połowę stanowią śmieci palne, które można by wykorzystać na cele energetyczne czy ciepłownicze.

Warto podkreślić, że podczas spalania RDF wszystkie szkodliwe związki zostają rozłożone na części pierwsze, a proces technologiczny jest restrykcyjnie kontrolowany w trybie ciągłym. Profesjonalne wykorzystanie paliw z odpadów jest w pełni bezpieczne i korzystne dla środowiska naturalnego.

Czy proces dostosowania krajowych instalacji do spalania RDF byłby kapitałowy i czasochłonny?

Niestety, większość przedsiębiorstw energetyki cieplnej nie jest dostosowana technologicznie i śro-

dowiskowo do spalania RDF. NFOŚiGW przeznaczył konkretne środki na dostosowanie istniejących instalacji do spalania RDF, jednak podmioty, które powinny być zainteresowane modernizacją, nie wykorzystują jeszcze tych funduszy w znaczącym stopniu. Ostatecznie, rezygnując z wartości energetycznej, która drzemie w odpadach, godzimy się na droższe rachunki za prąd i ciepło. Nie zapominajmy, że ceny za odbiór odpadów również są wysokie – w przypadku dostosowania PEC-ów do spalania RDF problem ten zostałby w znaczący sposób zredukowany.

Robimy zbyt mało w zakresie edukacji społeczeństwa dotyczącej efektywnej gospodarki odpadowej. Wystarczy wymienić Kopenhagę, gdzie na dachu elektrociepłowni opalanej odpadami znajduje się stok narciarski czy Wiedeń, gdzie w jego centrum, w sąsiedztwie domów, znajduje się spalarnia śmieci.

Czy w procesie spalania odpadów są generowane stałe pozostałości?

Pozostałości po spalaniu odpadów niebezpiecznych, komunalnych czy osadów ściekowych oraz innych procesach termicznych, zachodzących np. w hutach aluminium, wykorzystujemy do produkcji kruszyw sztucznych dzięki naszej autorskiej, opatentowanej technologii. Polega ona na stabilnym związaniu szkodliwych substancji w produkt neutralny dla środowiska. Dzięki temu przyczyniamy się do ograniczenia eksploatacji kruszyw naturalnych oraz oczyszczamy środowisko z niebezpiecznych odpadów.

NASZA EUROPA

Andrew Wylie, „Szakal” globalnego rynku książki:

AMAZON JEST JAK ISIS

Najsłynniejszy agent literacki świata o jednym ze swoich najważniejszych klientów:
„Salman Rushdie nadal będzie pisał po sierpniowym ataku”

Guillermo Altares

EL PAÍS

Otwórzmy gruby katalog autorów z „jego stajni”: tylko pod literą B figurują Giorgio Bassani, Jorge Luis Borges, Saul Bellow, Paul i Jane Bowlesowie, Josif Brodski, William S. Burroughs i Roberto Bolaño – czyli ośmioro spośród grona absolutnie najważniejszych pisarzy XX wieku. C to m.in. Guillermo Cabrera Infante, Italo Calvino i Albert Camus... Zatrudniający w dwóch placówkach, nowojorskiej i londyńskiej, swojej legendarnej agencji 50 osób 74-letni dziś Andrew Wylie jest najpotężniejszym agentem literackim na świecie, czyli innymi słowy – najważniejszą postacią tego rynku, prawdziwą szarą eminencją. Jego reputacja człowieka bezwzględniego w zarządzaniu prawami swoich klientów przyniosła mu w branży wydawniczej przydomek „Szakal”. Utrzymuje jednak niezmiennie, że jego celem jest po prostu obrona interesów autorów, którzy w wielu przypadkach wprawdzie może nie sprzedają masowych ilości egzemplarzy książek, za to oferują najwyższą jakość literacką. Od nowych agentów, których rekrutuje, wymaga, aby po pierwsze, doceniali emocje, jakie wywołuje w nich nowa książka, a nie szacowali sprzedaż, jaką może osiągnąć.

Lista jego podopiecznych jest ogromna, choć akurat autorów hiszpańskojęzycznych jest na niej stosunkowo niewiele. Wylie próbował wejść na wielki rynek iberyjski w 2015 r. przez zakup agencji Carmen Balcells, legendarnej agentki m.in. autorów boemu latynoamerykańskiego, która zmarła właśnie w tamtym roku – ale transakcja upadła. Niemniej, czy chodzi o pisarzy żywych, czy martwych, nikt nie ma w portfolio takiego zestawu nazwisk jak Andrew Wylie: od Milana Kundery do Antonia Muñoz Moliny, od Salmana Rushdiego do Arta Spiegelmana czy Yasminy Rezy, od Szekspira do Orhana Pamuka, od Susan Sontag do Louise Glück. Wylie nawet nie pamięta dokładnej liczby laureatów literackiego Nobla, których reprezentuje jego agencja.

Nie należy przy tym do osób, które gryzą się w język, o czym przekonuje się podczas rozmowy w jego apartamencie hotelowym podczas frankfurckich Buchmesse, najważniejszych targów książki na świecie.

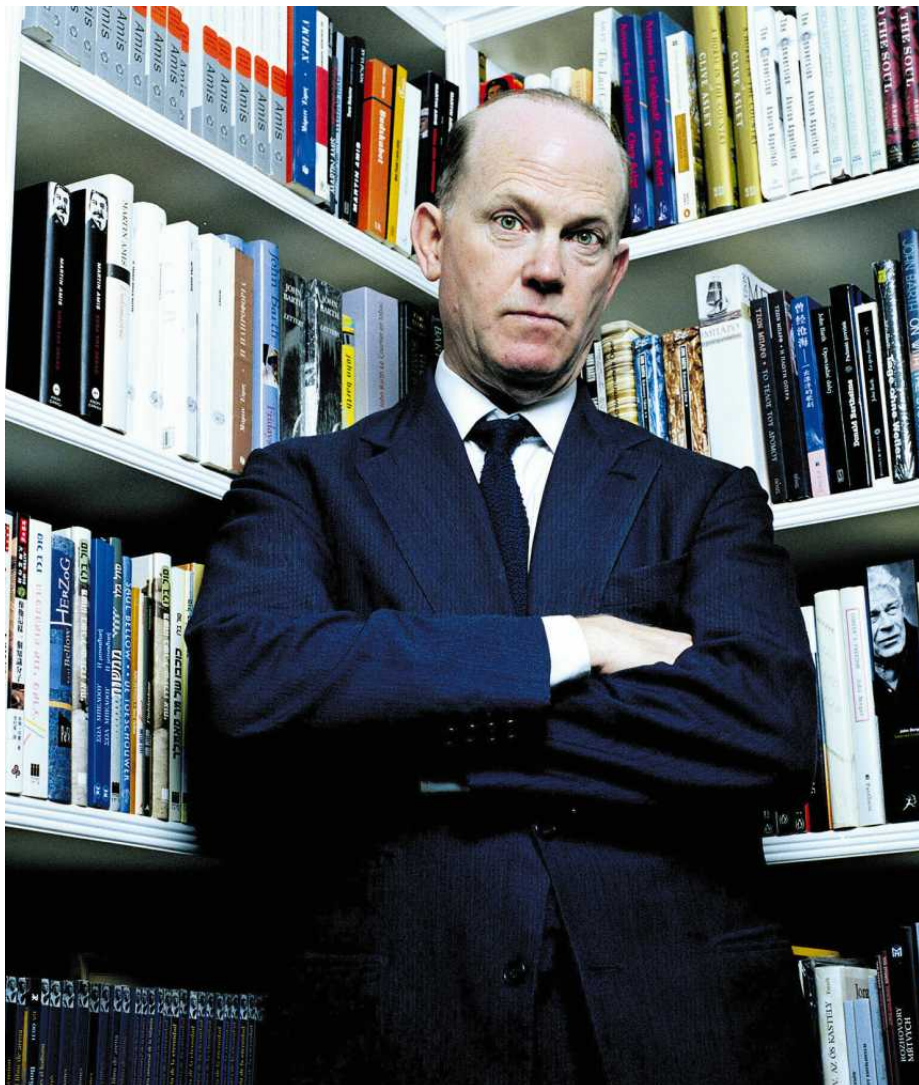
...

Czy może się pan podzielić informacjami o stanie Salmana Rushdiego?

– Rany, które odniósł podczas ataku, są poważne. Stracił wzrok w jednym oku, do tego trzy głębokie urazy szyi i utrata władzy w jednej ręce, ponieważ nerwy zostały pocięte przez nóż napastnika. W sumie odniósł 15 ran, także na plecach i klatce piersiowej. To był bardzo brutalny atak.

Nadal odbywa rekonwalescencję w szpitalu?

– Nie mogę udzielić żadnych informacji o miejscu jego pobytu. Ale mogę powiedzieć, że wyjdzie z tego, to najważniejsze.



Czy uważa pan, że sierpniowy atak na Rushdiego – podczas odczytu w Chautauqua w stanie Nowy Jork – tak wiele lat po wydaniu przez Iran fatwy wzywającej do zabicia pisarza, oznacza, że żyjemy w szczególnie niebezpiecznych czasach dla wolności słowa?

– Ryzyko ataku było zawsze czymś, co Salman i ja braliśmy pod uwagę. Nawet gdy już odstąpiono od jego stałej bezpośredniej ochrony, głównym zagrożeniem, z jakim się spotykał, wiele lat po wydaniu fatwy przez ajatollahów, było to, że zaatakuje go przypadkowa osoba znikąd. I to jest coś, z czym nie można nic zrobić, bo jest całkowicie nieprzewidywalne i nielogiczne. To coś w rodzaju zamachu na Johna Lennona.

Inni pańscy autorzy, nawet noblista Orhan Pamuk, też spotykają się z niebezpiecznymi sytuacjami z powodu zaangażowania w sprawy publiczne w swoich krajach, w przypadku Pamuka to coraz bardziej autorytarna Turcja.

– Świat przeżywa trudny okres, nie tylko z powodu wojny. Nacjonalizm i fundamentalizm rosną w siłę, we Włoszech, właściwie w całej Europie, w Ameryce Łacińskiej i w Stanach Zjednoczonych, gdzie połowa kraju wierzy, że Joe Biden ukradł wybory Trumpowi. I nadal podziwiają człowieka, który jest nie tylko całkowicie niekompetentny, jest też złodziejem i łajdakiem, ale nade wszystko uosobieniem farsy. To niedorzeczne, ale musimy wszyscy z tym żyć.

O czym pan myśli, kiedy dowiaduje się np., że komiks o Holokauście, „Maus” jednego

z pańskich autorów, Arta Spiegelmana, uważany za klasykę gatunku, zostaje nagle zakazany w wielu szkołach w Stanach?

– Że sposób, w jaki zachowuje się religijna prawica, jest infantylny, a więc i żaloszny. To haniebne, ale właśnie tacy ludzie stanowią teraz istotną siłę w Ameryce.

Poszerzacie swój katalog o autorów non fiction i sporo dziennikarzy. Czy non fiction to gatunek przyszłości?

– Zły czas dla świata to dobry czas dla wydawców. Dobrze radzili sobie podczas pandemii: miliony ludzi nagle zyskały czas, a że nie mogli opuszczać swoich domów, to wzięli do ręki książkę lub dwie.

Trwa konsolidacja branży, która moim zdaniem jest spowodowana zagrożeniem, jakie stwarza Amazon, ostro negocjując z wydawcami stawki dystrybucyjne. Ale mimo wszystko nadal jest to zdrowy biznes i myślę, że pozostanie taki w przewidywalnej przyszłości. I dotyczy to zarówno literatury pięknej, jak i literatury faktu.

Nie reprezentuje pan wielu pisarzy wielkiego przeciwieństwa obszaru iberyjskiego. Są Muñoz Molina i spuścizna Roberto Bolaño czy Jorge Luisa Borgesa, ale niewielu więcej. Dlaczego?

– Nie mówię po hiszpańsku i to jest pewien problem. Niemniej spędziłem trzy lata na pielgrzymkach do Barcelony, aby kupić agencję Carmen Balcells, i już w zasadzie mieliśmy gotową umowę – ale ostatecznie nie zdecydowali się jej podpisać. W pewnym momencie założyłem nawet biuro w Madrycie... Mamy dziś autorów z całego świata, od Japo-

nii po Włochy, i naprawdę nie dążymy do dominacji w żadnym obszarze językowym.

Zarzuca się panu czasem, że żąda pan od wydawców drakońskich stawek...

– Nasza agencja reprezentuje najlepszych autorów literatury pięknej i faktu, jakich jesteśmy w stanie rozpoznać i zidentyfikować. Większość z nich to nie są ludzie majątni. Oczywiście, że troska o zagwarantowanie im dobrej pensji za ich wybitne dzieło jest czymś, co ma priorytet.

A ryzyko, że jeśli zażąda się wyłącznie bardzo wysokich zaliczek, najważniejsi autorzy trafią do wydawnictw należących do dużych korporacji, ze wszystkimi negatywnymi skutkami, jakie może to mieć dla, nazwijmy to, biblioróżnorodności?

– Często w imieniu naszych klientów wybieramy ofertę niższą niż najlepsza dostępna, ponieważ prognoza dla danego wydawnictwa jest dobra, a redaktor dostatecznie zaangażowany. To płynna branża, wiele osób przenosi się z jednego wydawnictwa do drugiego. I to także ważny aspekt wpływający na nasze decyzje, gdy oferujemy książkę: jak długo redaktor, któremu ufamy, będzie tam pracował. Czy jego pozycja w firmie nie osłabnie, czy sama firma jest stabilna – na takie rzeczy zwracamy wiele uwagi.

Czy zgodziłby się pan ze Stephenem Kingiem, który powiedział...

– Nie zgadzam się ze Stephenem Kingiem w niczym.

Nawet wtedy, gdy zeznawał tego lata jako świadek w procesie dotyczącym zakupu przez Penguin Random House firmy Simon & Schuster – transakcji potępionej nawet przez Departament Sprawiedliwości USA, i twierdził, że zagraża to utrzymaniu różnorodności autorów na rynku i konkurencji?

– Wydało mi się to jakimś kabaretem... Stephen King był kiedyś publikowany przez Penguin. I miał z nimi umowę, prawdopodobnie podział zysków. Potem przeniósł się do Scribnera, imprintu Simona & Schustera. Przypuszczalnie dlatego, że zaoferowali lepsze warunki niż Penguin. Stephen King stoi więc teraz przed faktem, że będzie musiał powrócić do Penguin. W tej sytuacji protest i argumentacja Kinga są śmieszne. To tak, jakby Warren Buffett narzekał na przepisy podatkowe w Stanach Zjednoczonych. Natomiast błąd, jaki popełnił tu Departament Sprawiedliwości, polega na tym, że mówili o tym biznesie w taki sposób, jakby zakładali, że autorzy z topowego bestsellerowego jednego procentu ogółu mają być traktowani jak każdy autor w branży. Ale przecież tacy ludzie, jak Stephen King, Danielle Steel czy John Grisham, są zupełnie nieistotni dla biznesu, który ja prowadzę. Są wyjątkami. Konstruować ramy prawne na podstawie ich obaw – to nieporządne. Co mnie obchodzi, że biedna Danielle Steel dostanie mniej niż 5 milionów dolarów za książkę, czy ile jej tam płacą. Te powieści to są śmieci. Więc dla mnie bez znaczenia. To właśnie powiedziałem sędziemu, kiedy przyszła kolej na moje zeznania.

NASZA EUROPA

Rishi Sunak na Downing Street 10

Początek końca brexiterstwa

Po farsie związanej z fantazjami Liz Truss rozpoczyna się bolesny powrót Wielkiej Brytanii do rzeczywistości.

Garton Ash*

Pan również zeznawał na tym procesie?
– Tak. Na korzyść przejęcia. I powiedziałem, że argumentacja, którą przedstawia się tu w sprawie przemysłu wydawniczego, jest równoważna z układaniem przepisów podatkowych na podstawie przypadku Elona Muska.

A czy przypadek Amazona jest inny?
– Amazon to potwór. Odpowiada dziś za jakieś 40 proc. tego biznesu. Ale Amazon jest bardziej zainteresowany sprzedażą lodówek niż książek, bo na lodowce zarabiają więcej. Więc traktują książki jak małe lodówki. Pomysł pierwotnie był dobry, bo każda książka była wystawiana w przynajmniej jednym egzemplarzu online. Ale został zepsuty przez drapieżne poszukiwanie zysków, wyższej rentowności i wyższej marży. I nie zależy im na wydawaniu czegokolwiek. Wolą jednak sprzedawać lodówki. Kiedyś zapytano mnie, co myślę o Amazonie, i odparłem, że zachowują się jak ISIS. Niestety, przetrwali dłużej niż ISIS, ale ich model biznesowy nadal opiera się na trybie działania ISIS, moim zdaniem.

To znaczy?
– Na zastraszaniu, eliminowaniu, niebraniu jeńców, niedbaniu o nic, nieposiadaniu żadnych zasad – tylko ekspansja i władza.

Obrona praw autorów staje się coraz trudniejsza?
– Agencja, którą prowadzę, jest bardzo specyficzna i operuje tylko w jednym obszarze tego biznesu; to nie jest ten sam obszar, w którym działa Stephen King. To, co mnie interesuje, to wysoka jakość, a nie masowa atrakcyjność. Większość wysokonakładowych autorów jest według mnie nieczytalna. Gdybym miał czytać takie rzeczy, wolałbym zmienić zawód. Ale ja nadal chcę to robić: wyluskiwać książki, które są ciekawe i dobrze napisane, wiedząc, że ich sprzedaż m.in. właśnie z tego powodu jest niższa niż sprzedaż tandety.

W jaki sposób Szekspir dostał się na listę pańskich klientów? Myślałem, że jego dzieła były w domenie publicznej.
– Mamy prawa do konkretnego wydania, którym jest pierwsze folio – zbiór 36 sztuk, opublikowany w 1623 r., siedem lat po śmierci Szekspira.
To długa historia. Doradzałem Royal Shakespeare Company. Ich logo było używane jako znak towarowy na różnych szekspirowskich wydaniach i otrzymywali z tego tytułu symboliczne tantiemy, jeden, góra dwa procent. Powiedziałem im: „Słuchajcie, wasz trademark jest wart dużo więcej. Zatrudnijmy najlepszego badacza Szekspira, znajdziemy to, co nie zostało ujęte w kanonicznej prezentacji dzieł Szekspira. Umieścimy na tym logo Royal Shakespeare Company. I w ten sposób odzyskajmy dla Szekspira tantiemy, których został pozbawiony, bo nie prowadził swoich interesów jak Walt Disney.

Nie opuścił pan ani jednej edycji na Targach Książki we Frankfurcie od prawie 40 lat. Czy takie spotkania branżowe twarzą w twarz wciąż robią różnicę, nadal mają sens?
– Uwielbiam to wydarzenie. To dla mnie jak najlepsze wakacje w roku. To tu odbywam kluczowe rozmowy z wydawcami, które są konstruktywne i prowadzą do konkretnych przedsięwzięć. To niesamowite. Chodzi mi o to, że tylko w ciągu ostatnich 48 godzin we Frankfurcie udało mi się osiągnąć kilkanaście rzeczy, które są interesujące i znaczące dla mnie i dla naszej agencji, i, szczerze mówiąc, ważne dla wielu wydawnictw. Nie da się tego zrobić inaczej. Nie jestem zainteresowany pracą zdalną. Lubię, gdy ludzie przychodzą do biura i dyskutują twarzą w twarz, a nie przez Zooma. Dopiero taka interakcja generuje dobre pomysły.
[Gdy się żegnamy, Wylie rzuca jeszcze, że tuż przed przyjazdem do Frankfurtu przeczytał wiersz Amerykanina Fredericka Seidla, którego od tamtej pory nie może wyrzucić z głowy. – To doświadczenie jak lektura „Czterech kwartetów” Eliota. Nazywa się „The Blue-Eyed Doe” (Niebieskooka sarna). Proszę koniecznie przeczytać]. ●

tłum. Łukasz Grzymistawski

Chaotyczne okoliczności wyłonienia Rishiego Sunaka jako nowego premiera Wielkiej Brytanii sygnalizują koniec nie brexitu, ale na pewno brexiterstwa – czyli ideologii złudzeń co do zdolności Wielkiej Brytanii do samodzielnego działania globalnie, która osiągnęła kulminację w postaci farsy niespełna dwumiesięcznych rządów Liz Truss.
Forsowane przez Truss pomysły ekonomiczne doprowadziły logikę brexiterstwa do absurdalnej skrajności – z łatwymi do przewidzenia skutkami. W ciągu ostatnich ośmiu lat pod rządami obecnej Partii Konserwatywnej kraj przeszedł od pragmatycznego eurosceptycyzmu Davida Camerona, przez miękki brexit proponowany przez Theresę May, do twardego brexitu Boriisa Johnsona, a następnie do brexitu z fantazji Liz Truss. W ten sposób „rewolucja brexitowa” przebiegła według znanego schematu wszelkich rewolucji – z tą różnicą, że o ile tradycyjnie „rewolucja pożerająca swoje dzieci” wiązała się z radykalizacją na lewo (od żyrondistów do jakobinów we Francji, od mieniszewików do bolszewików w Rosji), o tyle w tym przypadku była to radykalizacja na prawo.
„Wyzначyliśmy wizję gospodarki o niskich podatkach i wysokim wzroście, która wykorzystaby wszelkie swobody wynikające z brexitu” – mówiła Truss, gdy informowała o swojej rezygnacji. Ta wizja była uludą: obniżyć podatki, pozbyć się regulacji, zachęcić zamoznych do inwestycji – i w jakiś cudowny sposób Wielka Brytania wróci do swego wspaniałego dynamizmu z XIX wieku. Wystarczy, że my w to wierzymy, aby uwierzyła także reszta świata. Podróż, która rozpoczęła się od hasła „odzyskać kontrolę”, zakończyła się najbardziej spektakularną utratą kontroli.
Rzeczywistość dogoniła brexitowców, a zarazem brytyjskie społeczeństwo zaczyna doganiać rzeczywistość. Gdyby jutro odbyły się wybory powszechne, a ludzie głosowaliby tak, jak obecnie mówią ankietantom prowadzącym sondaże, torysi zostaliby praktycznie zmieceni ze sceny politycznej.
Jeszcze bardziej wymowne jest to, że tłąca się wciąż wiara w sens brexitu wśród tych, którzy na niego głosowali – i która utrzymywała się przez wiele lat – najwyraźniej wygasa. W ostatnim sondażu YouGov tylko 34 proc. pytanых stwierdziło, że Wielka Brytania zrobiła słusznie, opuszczając UE, podczas gdy 54 proc. uważa, że był to błąd.
Oczywiście nie wszystkie gospodarcze nieszczęścia Wielkiej Brytanii są spowodowane brexitem. Jeszcze przed referendum w 2016 r. kraj ten miał chroniczny problem z produktywnością, cierpiał na

nadmierną zależność od sektora finansowego oraz borykał się z poważnym niedostatkiem umiejętności i zdolności przekwalifikowywania pracowników. Ale w miarę jak znikają skutki pandemii, możemy wyraźniej dostrzec efekty brexitu.
Według wielu wskaźników, od inwestycji po odbudowę handlu po pandemii, gospodarka brytyjska radziła sobie najgorzej spośród wszystkich państw grupy G7. Liczba małych i średnich firm prowadzących interesy z kontynentem spadła o mniej więcej jedną trzecią. Według oficjalnych prognoz w wyniku brexitu kraj straci ok. 4 proc. PKB. Agencje ratingowe Moody’s i S&P obniżyły perspektywę gospodarczą Wielkiej Brytanii ze stabilnej na negatywną. Tak, to brexit, głupcze.
O Sunaku można powiedzieć wiele z wyjątkiem tego, że jest przekonany europejczykiem. Oś jego świata to Dolina Krzemowa – Londyn – Bombaj, a nie Londyn – Paryż – Berlin.
W 2016 r. głosował za brexitem. Ale jeśli kiedykolwiek podzielił jakieś złudzenia brexiterstwa, to z pewnością już je stracił.
Jak pokazał tego lata w swojej kampanii o przywództwo torysów (które wtedy przegrał z Truss głosami szeregowych członków Partii Konserwatywnej), jest realistą stawiającym na pierwszym miejscu stabilne finanse publiczne i wiarygodność rynku – podobnie jak Margaret Thatcher. A realizm dziś wymaga, aby w wyjątkowo trudnych warunkach gospodarczych ograniczać bariery dla prowadzenia działalności gospodarczej z największym jednolitym rynkiem (czyli UE), a nie dalej je zwiększać.
Będą dwa szybkie testy dla Sunaka. Jeden jest dobrze znany: protokół w sprawie Irlandii Północnej. Jest to nie tylko kwestia trudna sama w sobie, ale też impas w sprawie Irlandii Północnej blokuje również postęp na wielu innych frontach, takich jak choćby ponowne przystąpienie Wielkiej Brytanii do programu współpracy naukowej „Horizon”.
Drugi test przykuwa jak dotąd mniejszą uwagę. Za czasów rządu May wszystkie istniejące regulacje unijne były zachowywane w prawie brytyjskim – chyba że poszczególne przepisy zostały wyraźnie zastąpione nowymi, krajowymi. Rząd fantazji Liz Truss wprowadził ustawę, która sprawi, że do końca 2023 r. wszystkie istniejące regulacje pochodzące z UE mają zostać uchylone. Ministerstwa muszą przedstawić specjalne uzasadnienie zachowania każdego z ponad 2400 takich przepisów lub zastąpić je nowymi regulacjami. Jeśli Sunak poważnie myśli o skupieniu się na tym, co naprawdę ważne dla brytyjskiej gospodarki, wyrzuci ten szalony projekt do kosza.

O ile Sunak może być ekonomicznie kompetentnym realistą, o tyle będzie przecież rządził, mając za plecami beznadziejnie podzieloną partię. Ideolodzy brexiterstwa wciąż mają w niej silne wpływy. I w imię jedności partii Sunak zapewne będzie musiał włączyć część z nich do swojego gabinetu.
Gdyby brytyjski system polityczny działał tak jak większość innych wielkich zachodnich demokracji, w kraju odbyłyby się teraz albo wybory powszechne, albo „konstruktywne wotum nieufności” doprowadzające do władzy opozycję. Ale tak nie jest. Torysi wciąż mają znaczną większość w parlamencie. Ponieważ według sondaży olbrzymia większość konserwatywnych posłów straciłaby mandaty w przyspieszonych wyborach, trudno się dziwić, że karpie raczej nie zgłosują na Boże Narodzenie. Jednak skala niezadowolenia, pretensji i niezgody wewnątrz partii władzy, a do tego poważny kryzys gospodarczy sprawiają, że Wielka Brytania i tak może stanąć w obliczu wyborów przedziej niż w 2024 r.
Bez względu na datę następnych wyborów brytyjski elektorat prawie na pewno, zgodnie z tradycją, „wykopie drani” – „dranie” jest tutaj określeniem w ogóle nienacechowanym partynijnie – i tym razem wybierze rząd umiarkowanej centrolewicy.
Z tym że lider Partii Pracy Keir Starmer zachowuje nadmierną ostrożność w sprawie Europy, obawiając się, że nie uda mu się odzyskać wyborców z północnej Anglii, którzy zasadniczo poparli Johnsona, aby „doprowadzić brexit do końca”. On też ciągle powtarza: „Make brexit work!” – okropny slogan, który sugeruje, że jedyłą wadą brexitu jest to, że nie został wykonany prawidłowo i do końca. Ale ponieważ opinia publiczna wyraźnie się zmienia, powinien zacząć od zmiany tego hasła na „Make Britain work!” (pomimo brexitu oczywiście).
Nikt nie wie, co wydarzy się jutro. 24 godziny w brytyjskiej polityce to obecnie szmat czasu. Ale kierunek jest jasny: Wielka Brytania rozpoczęła wreszcie swój długi, bolesny odwrót od złudzeń brexiterstwa. ●
tłum. Łukasz Grzymistawski

*Timothy Garton Ash

● jest profesorem europeistyki na uniwersytecie oksfordzkim i senior fellow w Hoover Institution na Uniwersytecie Stanforda. Twitter: @fromTGA

Z IWONĄ PIETRZAK-PŁACHTĄ, NAUCZYCIELKĄ ROKU 2022, KTÓRA PROWADZI WYPOŻYCZALNIĘ SKRZYDEŁ W ZESPOLE SZKOLNO-PRZEDSZKOLNYM W PLISZCZYNIE, ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

Dlaczego Wypożyczalnia Skrzydeł, a nie po prostu biblioteka?

– Bo bibliotek jest tysiące, a Wypożyczalnia Skrzydeł jest jedna.

Oprowadzi nas pani?

– Mieści się na poddaszu. Na parterze jest przedszkole, na pierwszym piętrze klasy szkolne i tak zwany korytarz głośny, po którym można biegać. Piętro wyżej znajduje się „korytarz cichy” oraz „strefa relaksu”, którą współtworzyłam z samorządem uczniowskim jako jego opiekunka. Dzieci mogą tam odpocząć, odrobić lekcję, coś zjeść. Jest bujak, a na ścianie wiszą Skrzydła Mocy, które zrobiliśmy z uczniami na warsztatach na podstawie książki „Pięciu Nieudanych” Beatrice Alemagny. To opowieść o naszych wadach, które mogą się okazać zaletami. Zna ją pani?

Nie.

– Jeden z Nieudanych jest na przykład dziurawy, więc najpierw z dziećmi zastanawialiśmy się – dziurawy, czyli jaki? Wybrakowany? A czego mu brakuje? Szukaliśmy metafor odpowiednich do wieku. Potem się okazało, że Dziurawemu przez tę dziurę ulatuje cały gniew, więc nigdy się nie złości. Inny był Pozaginany. Zamknięty w sobie? Niewiele nam to powie. Okazało się, że on w tych zagięciach nosi najpiękniejsze chwile swojego życia... Na końcu dzieci dostały dwa pióra. Na jednym wypisały swoją supermoc, a drugie było dla kolegi albo dla koleżanki, którą wylosowali. Na nim wypisali, co widzą wartościowego w tej drugiej osobie. W ten sposób wszyscy dostali coś bezcennego, czego być może sami u siebie nie dostrzegają, a co im daje siłę do walki z codziennością.

I co było na tych piórach?

– Na przykład: „Często żartuję, dzięki czemu inni się uśmiechają”. „Fajnie tańczę”. „Pomagam w lekcjach”. To nie musiało być żadne „wow”! Nie trzeba być gimnastyczką artystyczną czy supermatematykiem, choć i takich mamy, żeby być kimś wartościowym. Staram się to im przekazać.

Na końcu korytarza znajdują się drzwi do Wypożyczalni Skrzydeł. Nad wejściem jest hasztag „strefa cisy”, ale to nie znaczy, że my tam nie rozmawiamy. Przeciwnie! Tyle że rozmawiamy tak, żeby nie przeszkadzać tym, którzy przyszli po odpoczynku.

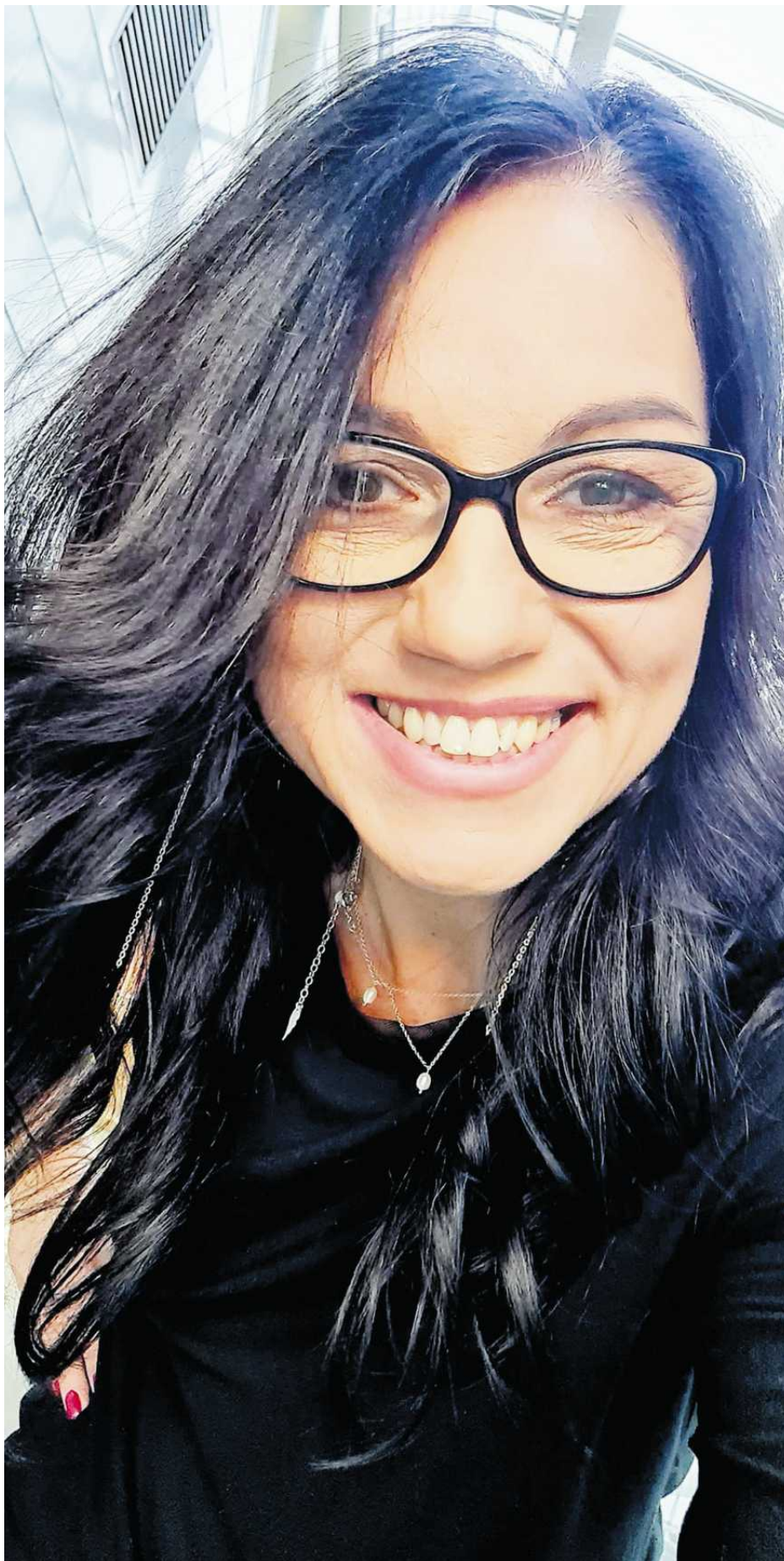
Po prawej stronie jest ściana ze skrzydlatą tapetą, a pod nią długa, żółta ława. Na wprost – wykusz, w nim siedziska i stół zrobiony ze starej skrzyni katalogowej. Na belce pod sufitem widnieje napis: „Usiądź. Poczytaj. Bądź”. Tu zwykle czas spędzają uczniowie ze starszych klas. Po lewej jest duży stół, przy którym robimy różne warsztaty. Są też trzy komputery, dość stare. Można z nich oczywiście korzystać, choć bardziej myślę o tym miejscu jako o „centrum odpoczynku od nowych technologii” niż o „centrum nowych technologii”. No i jest jeszcze moja duma. Za ścianą z tymi dużymi skrzydłami mieści się wnękka, a w niej „Dział Skrzydeł Dziecięcych”, czyli książek dla klas 1-3. Są tam schodki, po których można się wspiąć na wyższe półki, wielkie poduchy. Jest głośnik, z którego plumka muzyka. To ich oaza. Naprawdę znajduje się moje biurko, bo maluchy lubią być blisko.

Jak się udało zmienić bibliotekę w takie miejsce?

– Dzięki współpracy. Po tym, jak dostaliśmy liczne nagrody, w tym jako pierwsza szkolna biblioteka w Polsce stanęliśmy na podium w konkursie Mistrz Promocji Czytelnictwa, poszłam do wójta i powiedziałam: „Panie Wójcie, cała Polska widzi, że tu

SKRZYDŁA POD KURTKĄ

Powiedziałam zapłakanej dziewczynce,
że nie jest maszyną do zapamiętywania.
Odpowiedziała: „A wie pani, że ja dokładnie tak się czuję?
Jak taka maszyna”



się dzieją dobre rzeczy. Zrobmy tak, żeby to było miejsce, w którym dzieciaki naprawdę rozwijają skrzydła”. I wójt odpowiedział: „Dobrze! Zrobmy to!”. Znalazł budżet, 10 tysięcy. To nie były wielkie pieniądze, ale wykroiliśmy z tego, co mieliśmy. Bardzo mi pomogli pracownicy techniczni. Kierownik wszystko nosił. Nasz pan Tadzio skręcał meble. Ja mierzyłam ściany, sprawdzałam, które meble gdzie wejść, bo to poddasze i skosy, więc niełatwo. No i już! Klimat robią chyba te tapety ze skrzydłami. Jak je zobaczyłam, od razu wiedziałam, że musimy je mieć. I elementy rękodzielnicze, na przykład brzozywe zagajniki. Też je zrobiłam sama. Wracaliśmy kiedyś znad jeziora z mężem i synem, jak zobaczyliśmy ścięte brzozy przy drodze. Zrobiliśmy w tył zwrot, obcieliśmy scyzorykiem gałęzie i liście z pni, a potem zawieźliśmy je do biblioteki.

Taki zaangażowany nauczyciel się „rodi” czy „robi”?

– Ja się chyba zrobiłam. Zresztą nie mogłabym być nauczycielem przedmiotowym. Z moją osobowością trudno by mi było wtłaczać w kogoś wiedzę. A trochę to na tym polega.

Mimo wszystko chciała pani pracować w bibliotece szkolnej, nie publicznej.

– Przede wszystkim chciałam pracować z człowiekiem. Marzyło mi się liceum, ale się nie udało. Udało się natomiast gimnazjum. I wierzę, że w życiu nie ma przypadków. Po studiach, po bibliotekoznawstwie, pracowałam w hurtowni kosmetyków. Nie mogłam znaleźć pracy w zawodzie, więc jak zobaczyłam, że biblioteka gminna oferuje pół etatu, pojechałam złożyć podanie. W sekretariacie stał akurat wysoki mężczyzna. Spojrzał na mnie i spytał: „A nie wolałaby pani pracować w szkolnej bibliotece? Jeśli poczekam pani rok, będę miał dla pani etat w gimnazjum, które właśnie powstaje”. To był dyrektor tej szkoły, a później mój mistrz. Niezamowity człowiek, który miał dar dobierania zespołu. Po roku dostałam telefon, że na mnie czekają. Od tamtej pory, czyli od 22 lat, to jest moje miejsce na ziemi. Chociaż bardzo przeżyłam żalobę po gimnazjum.

W jakim sensie?

– Byliśmy doskonale zgranym zespołem. Tak nie mogliśmy bez siebie żyć, że spotykaliśmy się nawet w wakacje. I to się przekładało na uczniów. Bo oni czuli, że my się lubimy, że atmosfera jest domowa. No a potem przyszła „dobra zmiana”, która nam powiedziała: „Nie będziecie ze sobą”. Nauczyciele się porożjeżdżali szukać pracy gdzie indziej, do Lublina. Zostało nas kilkoro, wchłonęła nas szkoła podstawowa, która mieściła się w tym samym budynku.

Balam się, że nie będę umiała pracować z tak małymi dziećmi. Nie zapomnę, jak pierwszy raz przyszła do mnie grupa maluchów. Zaczęłam im opowiadać o bibliotece językiem, którym mówiłam do gimnazjalistów, i nagle się zorientowałam, że oni nie bardzo wiedzą, co do nich mówię. Wtedy zrozumiałam, że muszę nauczyć się z nimi rozmawiać inaczej, bo to są inni ludzie.

Gdzie się pani tego uczyła?

– Intuicyjnie. Jak się ma uważność na dzieci, słucha się ich, to one same nami pokierują. Widzę, co do nich trafia, co nie, co jest za trudne. Stąd też te rekwizyty typu skrzydła, magiczna różdżka, woreczek, z którego wyczarowuje się różne skarby. Moja praca w dużej mierze polega na czarowaniu.

Po to dzieci przychodzą do Wypożyczalni? Po czary?

– Nie uważam, że dziecko musi wyjść ode mnie z książką, bo jakkolwiek przymus powoduje, że my nie chcemy w danym miejscu być. Poza tym dzieci mają tyle innych napięć w szkole, tyle rzeczy muszą, że u mnie już nic nie muszą. Jedyne, co mi się marzy, to to, żeby w nieinwazyjny sposób pokazać im, że czytanie może być ogrom-

na przyjemnością. Plasterkiem na różne leki. Często jest tak, że dzieci przychodzą ni- by po książkę, ale tak naprawdę po to, żeby ktoś je wysłuchał. Po rozmowie. I jak się wi- dzimy po długim weekendzie albo po prze- rwie świątecznej czy po wakacjach, to usta- wia się tu kolejka. Tyle mają do powiedze- nia.

Z czym jest im trudno?

– Mówią, że w ogóle w szkole jest im trud- no, że wszystkiego jest za dużo. Ostat- nio przyszła dziewczynka – kaptur na głó- wie, lzy płyną po twarzy. „Bo, proszę pani, wczoraj była wycieczka i tak mi się wszyst- ko pomyliło, że dziś spakowałam się na środe zamiast na czwartek”. Zaproponowa- łam, że znajdę jej podręczniki, żeby się czu- ła przygotowana. A ona powiedziała: „Nie, dziękuję. Miałam dziś mieć pracę domową, ale nie wzięłam zeszytu na tę lekcję. I znów rodzice się będą denerwować. A moja ko- repetytorka będzie na mnie krzyczeć”. Nie mogłam zrozumieć, jak to możliwe, że ta rodzina płaci korepetytorce, żeby krzycz- ała na dziecko...

Co jej pani powiedziała?

– „Pomyśl o tym tak, że jak będziesz mia- ła 40 lat, to nie będziesz o tym pamiętać. To nie jest najważniejszy moment w twoim życiu. Wszyscy mamy prawo do tego, że- by mieć słabsze dni. Ja też bywam nieprzy- gotowana. Też czasami zapominam, zawa- łam. I to nie znaczy, że jestem gorsza”. Po- wiedziałam jej też, że nie jest maszyną do zapamiętywania, a potem do wyrzucania z siebie tych zapamiętanych rzeczy. Wtedy ona spojrzała na mnie tymi swoimi mądry- mi oczami i powiedziała: „A wie pani, że ja dokładnie tak się czuję? Jak taka maszyna”.

Strasznie smutne...

– Myślę, że oni w ogóle często się tak dziś czują. Podstawy programowe są przełado- wane. Nauczyciele pędzą z programem, bo muszą się w tym jakoś zmieścić. Pędzą też z lekcji na lekcję, z lekcji na dyżur na ko- rytarzu, z dyżuru dalej na lekcję. Nie mają czasu zjeść. A potem wiele z nich pędzi da- lej, na korepetycje, żeby dorobić do pensji. Zostaje tam mało czasu na człowieka. Dla- tego biblioteka powinna być w strukturze szkoły takim miejscem, w którym ten czas dla ucznia jest zawsze.

Rodzice też pędzą. A do tego się boją, że dziecko nie zda, że egzaminy, stąd kore- petycje.

– Dzieci opowiadają mi też czasem, co się dzieje w domu, w relacjach z rówieśni- kami. Nigdy nie zapomnę chłopca, któ- ry wyjechał za granicę, ale po roku wró- cił, nie wiadomo dlaczego. Przyszedł i opo- wiedział mi przejmującą historię. Wszyst- ko działo się na przerwie. Wokół nas hu- czało. Siedzieliśmy na tej ławie pod skrzy- dłami, a z niego ta historia po prostu pły-nęła. Wiedział, że jak się przede mną otwo- rzy, to ja tego nie posypię solą, tylko spró- buję się tym zaopiekuować. W takich chwila- ch czuję, że moja praca ma sens. „Przy- tulasy” i uśmiechy są bardzo ważne, ale te lzy są cenniejsze. Choć absolutnie nie kreu- ję się na szkolnego psychoterapeutę, bo nie taka jest moja rola.

Jest w ogóle psycholog w szkole?

– Jest. Ma dyżury.

Czyli pewnie pracuje w kilku szkołach?

– Tak, a oni potrzebują takiego kontaktu na co dzień. Na szczęście jestem w Wypoży- czalni Skrzydeł codziennie i oni to wiedzą.

Powiedziała pani, że książki mogą być plasterkiem, lekarstwem. Co pani „prze- pisuje” dzieciom na poczucie wyobcowa- nia, samotność?

– Najczęściej „Nietypowego Adasia” Toma Percivala. To książka o chłopcu, któremu wyrosły skrzydła. Najpierw wpada w eufo- rię, bo bawi się najlepiej na świecie. A po- tem przychodzi zagubienie i smutek, bo mama woła na obiad, a on nie wie, co z ty-

mi skrzydłami zrobić. Myśli: „Kurczę, je- stem jakiś nie taki”. Chowa je pod kurtką przez kilka dni. Jest mu niewygodnie. Nie może pójść na basen, na podwórku mu sła- bo, aż w końcu odważa się tę kurtkę zdjąć. I wtedy nagle się okazuje, że dookoła są in- ne dzieci ze skrzydłami, które też je ukry- wają.

Jest tyle sytuacji, kiedy się nam wydaje, że jesteśmy samotni, jedyni tacy, a wystar- czy tylko uchylić drzwi do swojego świata. Wie pani, co jeszcze fajnego robię z „Nie- typowym Adasiem”? Inicjację czytelniczą. Odbywa się przy okazji pasowania na Czy- telnika, w pierwszej klasie. Najpierw czy- tam dzieciom „Nietypowego Adasia”, nie pokazując im ani jednego obrazka. A po- tem rozdaję im sylwetkę chłopca i proszę, żeby narysowali Adasiowe skrzydła. Ile ra- zy to zrobiłam, nigdy nie było dwóch ta- kich samych. Potem rozwieszamy te obra- zki na tablicy i pytam ich: „Słuchajcie, a gdy- byśmy obejrzeli film, zamiast przeczytać tę książkę, to mielibyśmy szansę zrobić taki eksperyment z wyobraźnią?”. I oni już wie- dzą, o co chodzi z tym czytaniem. Jaka to jest moc.

A co by pani poleciła komuś, kto nie wie- rzy w siebie? I nie ma specjalnie kogoś, kto by wierzył w niego?

– Na przykład „Może” Kobiego Yamady. To picture book, więc słów jest tam niewie- le. Zaczyna się tak: „Czy zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego tu jesteś? Nikogo takie- go jak ty jeszcze tu nie było i nigdy nikt taki jak ty już się tu nie pojawił”. A potem prze- prowadzi się dziecko przez te różne obra- zy i możliwości. „Być może będziesz niósł światło tam, gdzie tak długo panowała ciemność?”. „A może staniesz się głosem tych, którzy sami go nie posiadają?”. Ta książka dodaje sił.

Proponuje ją pani również nastolatkom z siódmej, ósmej klasy?

– Oczywiście! W pandemii mieliśmy po- żegnanie ósmych klas. Sporo ich nie by- ło w szkole, więc nie zdążyłam z nimi zo- bić warsztatów z tą książką, ale chciałam im coś z niej dać. Podczas uroczystości po- żegnania spontanicznie weszłam na sce- nę i poprosiłam ich, żeby dali mi cztery mi- nuty. Tyle trwa przeczytanie tej książki. Za- padła cisza. Ale ja wiem, że oni usłyszeli to, co chciałam, że każdy z nich jest wyjątko- wy i wszystko jest możliwe.

Czyli daje pani dzieciom coś, co dziś jest tak deficytowe: czas, uwagę i nadzieję?

– No i chyba jeszcze możliwość pozna- nia siebie. Bo jak wchodzę do nich na lek- cje przeprowadzić warsztaty, to nie mó- wię: „wyciągnijcie zeszyty”, tylko „posłu- chajcie”. Najpierw im czytam, a potem roz- mawiam, często o tym, jak się mają. Dla- tego uwielbiam też książkę „Co robią uczu- cia” Tiny Oziwicz. Lubię ten moment, kie- dy dzieci odkrywają, że u każdego inaczej się te emocje przejawiają. U jednego szcze- ście chodzi po górach, u drugiego jeździ na rolkach, u trzeciego bawi się z psem. W ten sposób dowiadują się więcej o samych so- bie. A bez kontaktu ze sobą nie jesteśmy w stanie być w kontakcie z innymi. Zależy mi więc, żeby to im dać przez czytanie.

Jak pani wygrywa z nowoczesnymi tech- nologiami?

– Nie wiem, czy wygrywam. Czy w ogóle chcę z tym konkurować, bo świat tak szyb- ko się zmienia, że nie wiemy, jakie kompe- tencje będą nam za chwilę potrzebne. Chcę im po prostu pokazać, że kontakt z książką daje oparcie, którego smartfon nie daje.

Pamiętam, jak pracowałam w gimna- zjum. Przychodzili do mnie chłopcy w wie- ku 13, 14, 15 lat. To trudna grupa wiekowa. Rozumiem to, bo też miałam tyle lat. Przy- chodzili pogadać, książki ich nie intereso- wały. Podpytałam, co ich interesuje. Oka- zało się, że jeden hoduje gołębie, drugi cho- dzi na ryby, trzeciego kręcą motocykle. Ku- piłam więc do biblioteki książki na te tema- ty. Albumy: duże, kolorowe, mało tekstu.

„Supermotocykle”, „Gołębie”, „ABC węd- kowania”. I nagle po te książki ustawiały się kolejki. Bo tam odnaleźli to, co jest dla nich ważne, co ich zaciekawia. Takim sa- mym sukcesem był zakup „Księgi rekor- dów Guinnessa”. Niektórzy nauczyciele się marszczyli, że co to za głupoty? A ja, jak zobaczyłam, że dzieci siedzą na przerwach całą bandą nad tą księgą i zaśmiewają się w głos, to pomyślałam: „O to właśnie cho- dzi! Dla nich, tu i teraz, książka jest przy- jemnością”. Jeśli w ten sposób na to spojrzą dziś, to może przyjdzie czas, że sami sięgną po literaturę. Dlatego u mnie żadne dziec- ko nie czuje przymusu czytania. Ja ich nie będę z książek przepytywać. Biblioteka dziś to w ogóle nie może być już tylko wy- pożyczalnia książek. To powinno być miej- sce, w którym dzieciom chce się być. Cen- trum animacji kultury, tak jak w Skandy- nawii. Tam nikt nie ma problemu z tym, że w jednym rogu dzieciaki zjeżdżają z drewnianej zjeżdżalni, w drugim są konsole do gry, a w trzecim kawiarnia. No i w biblio- tece powinien być bibliotekarz, który coś z siebie daje. Po książki są wszędzie – w in- ternecie, na różnych nośnikach, można po- słuchać audiobooka.

Miała pani taką panią bibliotekarkę w swojej szkole?

Dziś dziecko może się czuć źle w dwóch światach: realnym i wirtualnym, życie może boleć dwa razy bardziej

– Tej z podstawówki nie pamiętam, ale z li- ceum już tak. Nie robiła żadnych fajerwer- ków, za to wpuszczała mnie do magazynu książek. Do dziś pamiętam tamto światło, zapach. To było pomieszczenie pełne meta- lowych regałów, książek w szarych okład- kach i kurzu. Ale dla mnie ten kurz był jak złoty pyłek, a zamiast szarych okładek wi- działam tylko pulsujące pod nimi historie. I wtedy pomyślałam, że chciałabym takie światy pokazywać dzieciakom.

Dlaczego pani się wciąż chce? Pytam, bo tylu nauczycieli odchodzi z zawodu. Bibliotecznych również. Nie jest tajem- nicą, że polska szkoła wypała.

– Bibliotekarz w strukturze szkoły ma jed- nak inaczej, łatwiej. My w ogóle jesteśmy tacy nie wiadomo jacy. Dla bibliotekarzy z bibliotek publicznych jesteśmy nauczy- cielami. Dla nauczycieli – niekoniecznie, bo nie jesteśmy tablicowi. Nawet dzieci ma- ją wątpliwość, kim jesteśmy. Mamy inne pensum, bo nauczyciel ma 18 godzin w ty- godniu, a bibliotekarz 30, ale rozkład obo- wiązków jest inny. Dzieci przybiegają do mnie na przerwach albo są w bibliotece po lekcjach lub przed lekcjami. No i przycho- dzą do mnie tylko te dzieci, które chcą ze mną być. A do klasy – wszystkie. I te, któ- re nie chcą tam być, też. I te, które mają zły dzień. Ale myślę, że jest jeszcze jeden po-

wód, przy całej mojej wzniosłości bardzo przyziemny, który pozwala mi pracować w szkole – mam męża, który nie pracuje w oświacie. Dzięki temu codzienność mnie tak nie ciągnie w dół i jak mówi czasem mój mąż: mogą sobie czarować.

Niektórzy nauczyciele odchodzą nie tylko dlatego, że warunki są złe, ale równie dlatego, że – jak twierdzą – dzieci się zmieniły. Nie szanują nauczycieli, trudno im się z nimi porozumieć.

– Te dzieci mają takie same problemy i ta- kie same potrzeby jak ja 20 lat temu. Waż- na była dla mnie przynależność do grupy, poczucie sprawczości, poczucie, że jest się dla kogoś ważnym. To się nie zmieniło. Je- dyne, co się zmieniło, to pojawienie się no- wych technologii, które gdzieś te dzieci po- chlaniają i sprawiają, że jest im trudniej, bo mają jeszcze jeden kanał hejtu. Dzie- ci sprzed 20 lat, jak gdzieś źle się czuły, to był to świat realny. A dziś można się czuć źle w dwóch światach – realnym i wirtual- nym, co oznacza, że życie może boleć dwa razy bardziej.

Jeszcze à propos tego, że dziś dzieci są trudniejsze. Wszystkie dzieci, trudne czy nie, potrzebują akceptacji, docenienia. I za- stanawiam się, czy my, nauczyciele, nie za- rzadko im mówimy, że są wartościowe, że coś potrafią. Kiedy przychodzą do mnie uczniowie z ADHD, często ich proszę, żeby opieczętowali nowe książki albo pomogli mi je układać. Wie pani, jaką oni mają z te- go satysfakcję? Jak się czują wyróżnieni?

Ma pani jakiś sposób na to, żeby prze- brnąć przez lektury szkolne?

– Te trudne, opasłe tomiska napisane języ- kiem, którego dzieci nie rozumieją? Mam. Zmienić kanon na taki, który jest w stanie rozbudzić w nich miłość do literatury, albo omawiać we fragmentach.

A poza tym?

– Ja ze swoim dzieckiem czytam lektury i trochę mu tłumaczę tamten język i tam- ten świat. Nie zapomnę, jak czytaliśmy „Oto jest Kasia”. Syn ciągle mnie pytał: a co to znaczy? A co to znaczy? Pomyślałam wtedy: „Boże, jakie to jest niedzisiejsze”. Czułam jak on, mimo że pamiętam tamten klimat i język. Przyznam, że czasem jestem bezradna. Bo te lektury to nie jest droga do pasji, do rozumienia świata. I chyba nie ma innego wyjścia, jak podejść do nich na za- sadzie obowiązku.

Takim kanonem lektur można skutecz- nie zabić chęć do czytania?

– Oczywiście! Chyba że dzieci mają fajnego polonistę albo polonistkę, którzy pozwolą im nie rozumieć. Uszanują, że im się to nie podoba. Przejdą z nimi przez te trudności.

Badania pokazują, że dzieci mają już in- ne mózgi, dlatego takie liniowe czytanie jest dla nich trudne. Teraz przydałoby się zrobić porządne badania, czy warto je w ta- ką umiejętność wyposażać, skoro wiemy, że będą pracowały w zawodach, które jesz- cze nie istnieją. Moje dziecko ma na przy- kład problem z przetwarzaniem wzroko- wym, za to słucha audiobooków. Ale to też jest obcowanie z literaturą, ze słowem.

Powiedziała pani, odbierając nagrodę Nauczyciela Roku, że nie ma pani ma- gicznej różdżki, żeby zmienić polską szkołę. Jakby ją pani miała, to co by pani chciała zmienić?

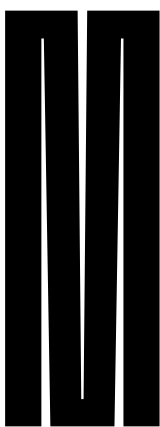
– Chciałabym, żeby było więcej czasu dla człowieka, żeby dzieci nie czuły się jak te maszyny. I żeby nauczyciele się tak nie czu- li. Żeby organ nadzorujący nie był orga- nem kontrolującym, tylko wspierającym. Oraz żeby nauczyciele zarabiali tak, że- by nie musieli myśleć, czy jutro będą mieć na chleb.

Nauczyciele wykonują najważniejszą ro- botę na świecie. Pracują na najcenniejszym kruszcu, jakim jest żywy człowiek. ●

ŚNIADANIE NA TRAWIE

Dobry design znika. Jest tak idealnie wpasowany w nasze potrzeby, że przestajemy go dostrzegać. Jeśli projekt jest zły, nasze ciało od razu to zauważa.

Natalia Mazur



ieszkami w piekle – mógłby pomyśleć ktoś, kto buduje wiedzę o krajobrazie polskich miast tylko na podstawie mediów. Nie tylko społecznościowych, ale też tradycyjnych, które ochoczo nagłaśniają wybuchające w internecie wojenki. Piekło wybrukowane jest polbrukiem, patodeweloperzy tną drzewa w pień, na ulicach trwa wieczna rywalizacja kierowców z pieszymi i rowerzystów z całym światem.

Jest aż tak źle? O dobrze, po ludzku zaprojektowane przestrzenie zapytałam ekspertów. Tych, którzy albo sami projektują, albo to, co zaprojektowane, badają. Albo też intensywnie użytkują.

GOŚCINNA WYSPA

Olga Drenda

- pisarka, eseistka, dużo jeździ po Polsce – służbowo i dla przyjemności

Rewitalizacja nie kojarzy się dobrze. Pierwsze na myśl przychodzą antywzory, niesławne ukamienowane rynki. Ale jest takie miejsce, w którym rewitalizacja się udała – ludzie rzeczywiście lubią tam przebywać. To Wyspa Młyńska w Bydgoszczy. Niedługo cel szkolnych wagarów, przez swój bałaganiarski urok uważana za nieco niebezpieczną. Po zmianach stała się malowniczą przestrzenią spacerową, z mostkami nad Brdą i promenadą nad rzeką.

Młodych nadal jest dużo (choć nie wolno tu już pić alkoholu), siedzą na ławkach, rozkładają koce na trawie. Posłuchano głosu mieszkańców i na wyspę wróciły rybki, które w latach 60. dekorowały fontannę Potop, a potem długie dekady przeleżały w składzie. Dziś siedzą nad Brdą z pyszczkami skierowanymi w stronę opery.

Wyspa Młyńska jest oczywiście miejscem bardzo turystycznym, z muzeami, z otwierającym się w Młynach Rothera centrum kultury; ale to teren otwarty dla wszystkich, niebiletowany. Czułam się tam swobodnie, nie towarzyszyło mi wrażenie – tak częste w źle odnowionych przestrzeniach – że jestem na widoku i zaraz powinienam się zbierać. Siedziałam sobie pod rybką z poczuciem, że jestem w miejscu, w którym mogę sobie pobyc.

KIESZONKOWE PARKI

Agnieszka Labus

- architektka, prezeska fundacji LAB 60+ promującej architekturę przyjazną starzeniu

Niedawno wróciłam z kongresu rzeźby w Orońsku, dyskutowaliśmy o roli sztuki w przestrzeni publicznej. Ktoś powie: „Po co stawiać pomniki? Są lepsze sposoby wydawania pieniędzy”. Tymczasem rzeźba ma sens, może nadawać tożsamość okolicy, być



• Koncert Bellezza Opera Trio „Rzeka muzyki” na Wyspie Młyńskiej w Bydgoszczy

FOT. GRAŻYNA MARKS / AGENCJA WYBORCZA.PL

znakiem rozpoznawczym, dawać pretekst do dyskusji, a nawet zachęcać do aktywności. Służyć zabawie, niekoniecznie będąc naczyniem etykiety „placu zabaw”.

Taki element małej architektury zamierza wprowadzić nasza fundacja wraz ze studium Supergut znanym z manifestów w przestrzeni miasta (np. łódzkiego neonu „Wdech – wydech” i „Zachody słońca” w Katowicach). Na tym meblu miejskim będzie można usiąść, ale nie tylko. Dziś tego rodzaju wielofunkcyjny design spotykamy w galeriach handlowych, przykładem może być instalacja Izabeli Boloż na tarasie Galerii Młociny w Warszawie, w kształcie przewróconego wiaderka z farbą – łączy rolę rzeźby, strefy odpoczynku i placu zabaw, którego elementy użytkownicy mogą dowolnie interpretować.

Design mebli miejskich to jedno, równie ważne jest ich rozmieszczenie. Przykładem udanego projektu może być skwer Sportów Miejskich przy stacji metra Ratusz Arsenal. Jest kontrą dla śródmiejskiej betonozy, daje szansę na oddech w pełnym zgiełku centrum miasta, schładza miejską wyspę ciepła, umożliwia aktywną rekreację, łączy pokolenia. Alejki wykonano z przepuszczalnej dla wody nawierzchni, a przy utwardzonych alejkach służących do jazdy na rolkach lub desce znalazły się murki, które można wykorzystać jak skatepark. Są też ławki, leżaki, stoły piknikowe. Metrowy nasyp porośnięty różnymi gatunkami zieleni oddziela teren wypoczynkowy od ul. Andersa.

Ważne jest systemowe podejście: to nie będzie pojedynczy skwer, w Warszawie powstają kolejne. Parki kieszonkowe rozwija też Kraków. Ogród ptasi, literacki, matematyczny... Wpisane w kontekst dzielnicy i angażujące mieszkańców. Łącznie ma ich być kilkadziesiąt, połączonych grą terenową zachęcającą do wędrówki pomiędzy nimi. Doceniam też park kieszonkowy otwarty wiosną tego roku w Bytomiu przy ul. Katowickiej, wielofunkcyjną przestrzeń z elementami placu zabaw. Choć może jest on nawet zbyt spektakularny – takie parki powinny powstawać relatywnie małym kosztem, by można je było otwierać szybko i łatwo zmieniać ich funkcję. To, co zaprojektowane po ludzku, niekoniecznie musi być luksusowym projektem na miarę domu mody Dior.



PIESI RZĄDZA

Krzysztof Rogatka

- urbanista, architekt krajobrazu

Mam takie zdjęcie, zrobione w sierpniu tego roku: sosny, piasek, ścieżki, pomosty. Wygląda trochę jak droga na plażę, a jest to fotografia z Torunia, osiedla JAR. Bloki zbudowane na dawnym terenie wojskowym zostały wkomponowane w miejski las, w którym urządzono miejsca piknikowe, siłownię, place zabaw. W tym integracyjny, ze sprzętami dostosowanymi do potrzeb dzieci z niepełnosprawnościami.

Z toruńskich projektów wspomnę jeszcze parkowe schody pomalowane przez mieszkańców na kolorowo (notabene schody już wróciły do pierwotnego koloru, ale to osobna historia). Nie tyle chodzi o tę konkretną inicjatywę, ile o pomysł. W schodach widzę wielki potencjał: można po nich spacerować, przysiąść na nich, wysłuchać koncertu, pokolorować w ramach zbiorowego działania. Mogą się na nich odbywać spotkania, happeningi, można je wzbogacać w drewniane, wielofunkcyjne elementy siedzisk czy placów zabaw. Oczywiście obowiązkowe są pochylne dla wózków.

Świetnym projektem są też łódzkie woonerfy, ulice zwane podwórcami, na których pierwsze miejsce mają piesi i rowerzyści. Samochody nie są wyrzucone całkiem, ale już sam sposób, w jaki ulica jest zaprojektowana, daje kierowcy sygnał, że nie on tu rządzi. Drzewa, mała architektura, zakręty – to wszystko sprawia, że nie może się rozpedzić, a prym na woonefach wiodą piesi.

• Pomorska Kolej Metropolitalna w Gdańsku

FOT. WOJCIECH STROŻYK/REPORTER

DOBRE OTOCZONA STACJA

Krzysztof Ruciński

- pracuje w Zespole Doradców Gospodarczych TOR, prowadzi kanał na YouTube Polska Inaczej

Musimy postawić na projekty sprzyjające rozwojowi transportu zbiorowego, najlepiej kolei. Skończyła się era taniej ropy, a kolej zużywa sześciokrotnie mniej energii niż transport kołowy. Są nawet takie filmiki, na których Mariusz Pudziański próbuje pociągnąć lokomotywę i ciężarówkę. I z lokomotywą daje sobie radę.

Niestety, w Polsce władze reagują na kryzys, tnąc wydatki na usługi publiczne i przetrzymując koszty życia na najuboższych. Likwidowane są połączenia PKS, rzadko powstają nowe linie tramwajowe, tras kolejowych nie buduje się w ogóle. Są jednak wyjątki. Pomorska Kolej Metropolitalna to jedyna nowa linia kolejowa zbudowana w ostatnim trzydziestoleciu, tylko częściowo biegnąca śladem dawnej trasy. A na stacji Gdańsk-Jasień – co unikalne – powstał plan miejscowy przystanku kolejowego.

Zwykle komunikacja między koleją a urbanistami jest niedostateczna. Efektem są przystanki takie jak w Zgierzu-Północ, budowane w szczerym polu, w którym nie tylko nic nie ma, ale też plan miejscowy nie pozwala nic zbudować. Albo sytuacje takie jak w Nowym Sączu, gdzie stacja może znaj-

W ŚRODKU MIASTA



• Instalacja Izabeli Bołoz na tarasie Galerii Młociny w Warszawie

FOT. ADAM BURAKOWSKI/REPORTER

duje się blisko pętli autobusowej i parkingu rowerowego, ale chodnik poprowadzony jest tak, jakby ktoś chciał maksymalnie wydłużyć drogę do pociągu.

Jeśli chcemy, by ludzie przesiedli się na kolej, przestrzeń między celem podróży a stacją musimy potraktować jak świętość. Zadbaj o każdy metr chodnika, sadzić drzewa, zapewniać usługi, lokalizować w sąsiedztwie dworca najfajniejsze rzeczy w mieście. Holendrzy przyjęli taką filozofię: w Almere pod Amsterdamem najwyższe budynki, w których znajdują się biurowce, stoją tuż obok dworca. Ktokolwiek wybiera się tam w interesach, nawet nie pomyśli o jeździe samochodem.

DOSTĘPNE BULWARY

Justyna Kułakowska

- pracuje w Fundacji Aktywnej Rehabilitacji

Poruszam się wyłącznie komunikacją publiczną, a zanim gdzieś się wybiorę, planuję, pytam. Dowiaduję się, czy czekają mnie schody, czy jest toaleta, do której będę mogła sama wjechać. Jeśli miejsce jest niedostępne dla osób poruszających się na wózkach, po prostu w nim nie bywam.

Nie oczekuję, że każde miejsce będzie dla mnie dostosowane. Kiedyś zostałam zapytana, czy wolę praską, dziką stronę Wisły, czy Bulwary. Zdecydowanie wolę Bulwary, lecz rozumiem, że nie całe wybrzeże może tak wyglądać. Ale to mój punkt widzenia, nie wypowiadałam się w imieniu wszystkich

osób z niepełnosprawnościami, każdy ma przecież inne potrzeby.

Nawierzchnia na Bulwarach nie jest może idealna, są kamienie, lecz kocich łbów nie ma. Bez pomocy nie dostanę się też do każdej restauracji na barce – na rampę ktoś mnie musi podepchnąć. Za to już w bar-kach są windy i mogę bez problemu przemieszczać się między poziomami. Bez przeszkód spaceruję wzdłuż rzeki, wszędzie są zjazdy, podjazdy. I nad Wisłą są wygodne toalety. Nie potrzebuję poręczy i innych udogodnień. Wystarczy, że mój wózek mieści się w wejściu, ja mogę swobodnie poruszać się w środku i nie muszę prosić koleżanki, by stała na zewnątrz i pilnowała mi drzwi.

PRZEBADANY OGRÓD

Radek Ratajczak

- projektant, twórca Shopa Design & Strategy, pracował m.in. przy projekcie Wyspy Młyńskiej

Dobry design znika. Jest tak idealnie wpasowany w nasze potrzeby, że przestajemy go dostrzegać. Jeśli projekt jest zły, nasze ciało od razu to zauważa.

Projektowanie zaczyna się, jeszcze zanim powstaną pierwsze szkice – trzeba zrozumieć użytkownika, dowiedzieć się o nim jak najwięcej. Właśnie na takich badaniach polegała nasza praca przy projekcie Wyspy Młyńskiej – cieszy mnie, że ktoś wymienił ją jako przykład dobrze zaprojektowanego miejsca. Badaliśmy doświadczenie klienta – turysty; którzy na wyspę wchodzi, jak spędza czas, sprawdzaliśmy, jak radzi sobie rodzic z wózkiem, osoba na wózku, pani w szpilkach. Rzeczywiście, okolice młynów stały się popularne wśród młodych lu-

• Osiedle WUWA2, Nowe Żerniki we Wrocławiu

FOT. TOMASZ PIETRZYK / AGENCJA WYBORCZA.PL

dzi, a nie tylko nie wolno tam pić alkoholu pod chmurką, w niektórych miejscach jest nawet zakaz palenia.

Podobne zadanie mieliśmy w Olivia Centre – to kompleks biznesowy, w którego skład wchodzi najwyższy budynek na Pomorzu. Inwestor wymyślił, że kompleks będzie się wyróżniał ogrodem zimowym, z którego podczas przerw korzystać będą pracownicy. Ale otwarte pozostało pytanie: czemu ten ogród konkretnie miałby służyć? Czy należy tam otwierać knajpy, czy stworzyć miejsca do cichej pracy pod palmami? Odwiedziliśmy biurowe przestrzenie do relaksu, sprawdzaliśmy, co pracownicy już mają, a czego im jeszcze trzeba. Rozmawialiśmy też z okolicznymi mieszkańcami – założenie było takie, że ludzie z zewnątrz też będą mogli korzystać z tego miejsca.

Podczas warsztatów okazało się, że podczas przerwy w pracy ludzie chcą doświadczać niepracy, jak na wakacjach. Dla jednych, pracowników głośnych open space'ów, oznacza to ciszę i spokój, a ci, którzy przez większość dnia pracują w milczeniu, podczas przerwy chcą się wygadać. Ogród ma więc różne strefy, są miejsca do spotkań, mała scena, na której można zorganizować konferencję, jest antresola, która robi wrażenie domku na drzewie. Pojawił się też pomysł, by w części ogrodu nie było zasięgu wi-fi – różnie to zostało przyjęte. Ale może właściciel zdecyduje się na eksperyment.

To przestrzeń półpubliczna. 5 tys. pracowników biur korzysta z niej bez ograniczeń, ludzie z zewnątrz muszą kupić bilet. Ale takie miejsca też są potrzebne.

WODA I PIACH

Marta Skowrońska

- socjolożka, adiunktka na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza, bada m.in. formy zamieszkiwania i praktyki transportowe

Jestem za otwieraniem. Miasto otwarte to miasto piesze. Gdy pieszy napotyka przeszkodę, czuje, że nadkłada drogi – rezygnuje z chodzenia. Możliwość przejścia „na szagę” do chodzenia zachęca.

Międzynarodowe Targi Poznańskie były do tej pory jak zamknięta twierdza, ogromny teren oddzielający dwie dzielnice. Dlatego bardzo dobrym pomysłem jest ich otwarcie. Teraz czekam, aż to samo stanie się ze starym ogrodem zoologicznym, który – po przeprowadzce zwierząt – pełni funkcję parku, wejście jest darmowe, a wciąż można wchodzić do niego tylko jedną bramą, koło dawnych kas.

Przyklasnę każdemu projektowi, który polega na usunięciu plotu. Albo przynajmniej na otwarciu dodatkowej bramy w ogrodzeniu, jak to się stało z placem Asnyka, niedaleko którego mieszkam. Krystyna Kofta opisuje go w „Wiórach”, których akcja dzieje się w Poznaniu lat 50. To był za-

wsze taki biedapłac, nieformalny, otwarty, z dziczącą zielenią i ubitą glebą w roli nawierzchni. W XXI w. został zakwalifikowany jako „zaniedbany”, musiała go więc spotkać „rewitalizacja”. Postanowiono go upiększyć, kostką brukową, oczywiście, i eleganckimi ławeczkami, na których nie sposób wysiedzieć. Zabrakło piachu, zabrakło krzaków, tego wszystkiego, co sprzyja zabawie.

Ktoś, kto to projektował, najwyraźniej miał wizję dekoracyjnego placu, po którym arystokratki będą się przechadzać w długich do ziemi sukniach. Ale w okolicy nie ma arystokratek, są zwykli mieszkańcy, którzy zawiązali nieformalny ruch na rzecz placu. Kostka została zdjęta, trawa dosiana, na placu stanęła duża huśtawka i pajęczyna do wspinania.

Potrzebujemy w mieście przestrzeni dzikich, podatnych na eksplorację, otwartych na interpretację. Najlepszymi placami zabaw są usypane z piachu i odpadów budowlanych góry, charakterystyczne dla PRL-owskich osiedli. Gdy jeszcze gdzieś w pobliżu znajduje się kranik z wodą i można zrobić błoto – dzieci mają raj. Spójrzmy na taki Kontener Art – klub w blaszanych kontenerach nad Wartą. Dla dzieci tam w zasadzie nic nie ma, a jednak dorośli często przychodzą z nimi. I one świetnie się bawią. Bo jest piach, woda z kurtyny wodnej, drewniane palety i drzewo, na które można się wspiąć.

Zresztą nam, dorosłym, też nie trzeba wiele. Nie potrzebujemy szybkownych ławek, lepiej by nam się siedziało na szerokich, drewnianych siedziskach, takich jak dla La Défense zaprojektował Paweł Grobelny, można na nich wygodnie zjeść lunch lub postawić laptop. Albo po prostu możemy usiąść na schodach.

NAPRAWIONE, NIE WYRZUCONE

Alicja Biała

- artystka, autorka murali, ilustracji i totemów

Chciałabym powiedzieć o miejscu, którego nie ma. To Solpol [dom towarowy Solpol – postmodernistyczny budynek przy ulicy Świdnickiej we Wrocławiu]. Nie dlatego, że uważam go za szczególnie wybitny budynek. Odpicowałabym, bo miał fajne kolorki, może nadała nową funkcję. Nie burzyłabym.

Z Polski wyprowadziłam się w wieku 17 lat. Mieszkalam w Kopenhadze, mieszkam w Londynie. Czasem wracam, na krótko, zwykle do pracy. Z tej perspektywy widzę, że my, Polacy, mamy jakiś dziwny kompleks naprawiania przez niszczenie. Dworzec w Poznaniu był niewygodny? Zamiast poprawić jego funkcjonalność, stawiamy obok nowy koszmarek. Bruk na rynku leżał krzywo? Zamiast przełożyć kostkę i wymienić tylko część nawierzchni, wywalamy całość. No przecież koszt klimatyczny takiej akcji jest gigantyczny!

W Poznaniu obok hotelu Sheraton stoją moje „Totemy”. Każdy totem ilustruje jakiś problem, z którym się zmagają planeta: deforestacja, skażenie powietrza, przełowienie mórz. Są kolorowe, słyszałam, że odciągają uwagę od brzydoty Sheratona. Może to jakiś pomysł? Sztuką przesłaniać to, co nieudane? Dobudować, dolepić, zachować poprzednie warstwy – przecież one też mówią prawdę o nas.

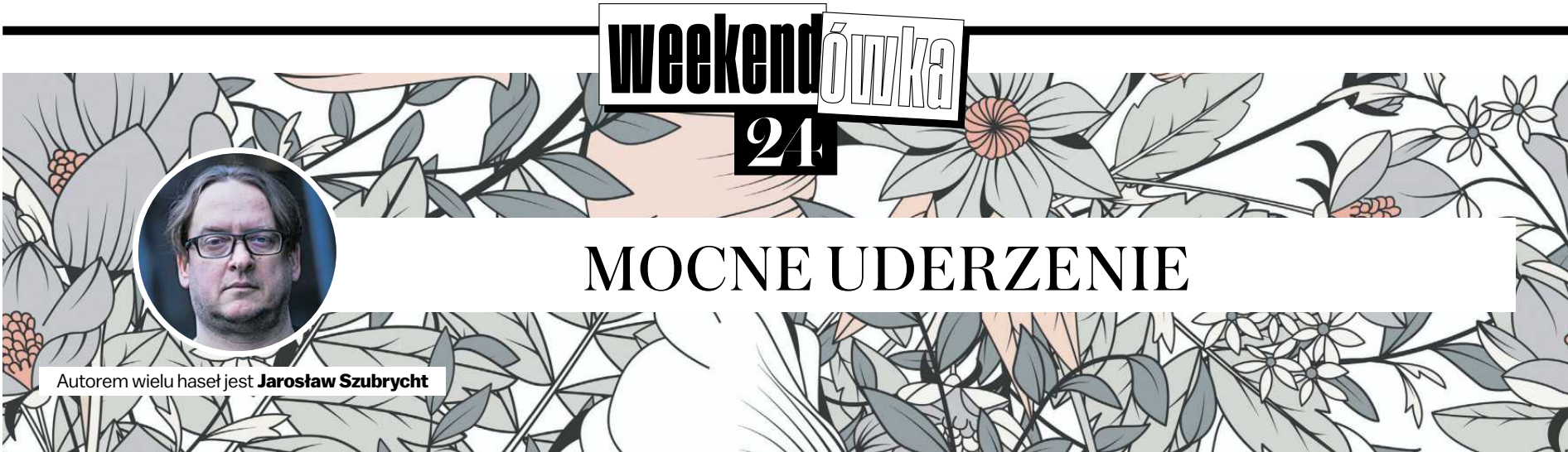
I jeszcze jedno miejsce, którego nie ma, a chciałabym, żeby było: nadrzeczne kąpielisko, jak Islands Brygge w Kopenhadze, w centrum miasta. Może gdybyśmy mogli się kąpać w środku miasta, zmieniłoby się nasze nastawienie do rzek? I z większą rozważą planowali zmiany w naszych miastach? ●

PARTNER STRATEGICZNY

otodom

ZAPROJEKTOWANE
PO LUDZKU
MIASTO BARDZIEJ WSPÓLNE

34211065



Jedni zmagali się z Warownią Zbójcerzy, inni wzywali na pomoc niezawodnego Tytusa de Zoo, ale generalnie „Komiksówka z ostatniej soboty nie zawiodła. „Wiedziałem, wiedziałem że się będzie podobała” – mogą sparafrazować Krzysztofa Maternę z doskonałego spektaklu „Big Zbig Show”.

Zawiodłem natomiast ja, jako prawidłowe rozwiązanie „Weekendówki” z 15 października podając „Kaczkę dziennikarską”. Natychmiast to Państwo wychwycili, pytając, a co z „nadgarstkiem”? No właśnie. Kaczka dziennikarska nadleciała do nas z 1 października, z „Weekendówki” ptasiej, za co stokrotnie przepraszam – oczywiście, prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 22 brzmi „nadgarstek”. I z hasłem rzecz jasna poradziłem sobie Państwo – skoro już jesteśmy przy tej ptasiej nomenklaturze – śpiewająco.

A teraz już dzisiejsze zadanie. I co tu się będzie działo! Ale najpierw o tym, co się zadziało. Otóż 28 października roku 1981, a zatem 41 lat i jeden dzień temu, panowie James Hetfield i Lars Ulrich założyli zespół Metallica. Zespół instytucję, zespół legendę, zespół gigant, nie tylko, jeśli chodzi o heavy metal, ale też muzykę generalnie.

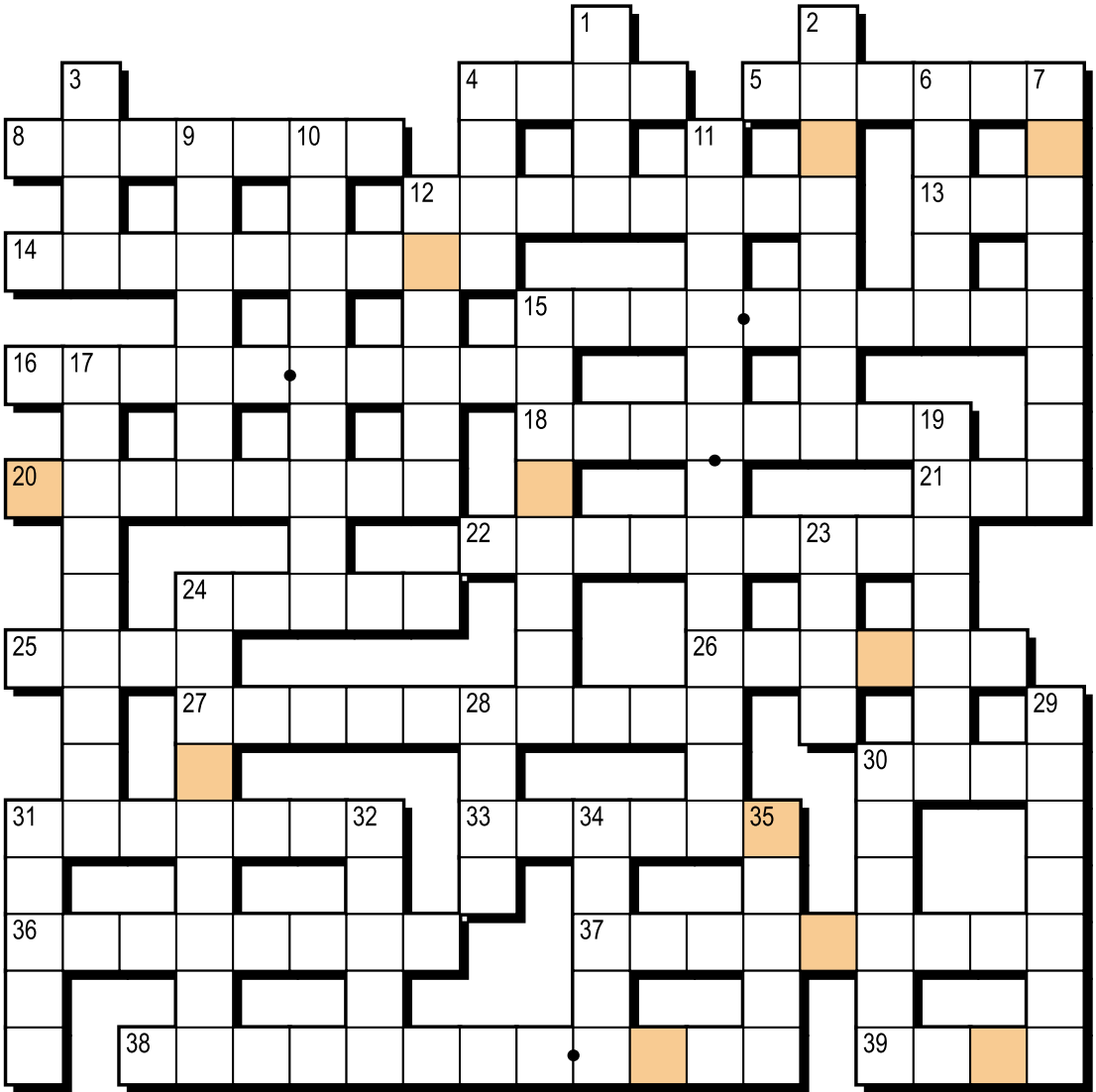
Z tej właśnie okazji postanowiliśmy zaprosić Państwa do „Weekendówki” metalowej. Bardzo przyda się wiedza z dziedziny ciężkiego brzmienia, ale żeby jeszcze wszystko utrudnić, także z dziedziny chemii – metal to wszak nie tylko nazwa muzyki. Dlatego warto mieć pod ręką tablicę Mendelejewa!

A o pomoc w układaniu „Weekendówki” poprosiliśmy Jarka Szubrychta, dziennikarza „Gazety Wyborczej” oraz tekściarza, byłego wokalistę grupy Lux Occulta. A także autora m.in. „Bez litości. Prawdziwa historia zespołu Slayer”, „Vader. Wojna totalna”, „Życie, bierz mnie. Biografia Andrzeja Zauchy” czy ostatnio „Skóra i ćwieki na wieki. Moja historia metalu”.

Jarek, kiedy spytałem go, czy nie ułożyłby kilku metalowych haseł, odpowiedział: „Wiesz, mnie nie można dopuszczać do tekstów o metalu, bo tak to się kończy”, ale mam nadzieję, że z jego hasłami Państwo sobie poradzą. Choć łatwo nie będzie!

Swoją drogą ciekawym, jaka jest Państwa ulubiona płyta tudzież kawałek Metalliki. U mnie to „Ride the Lightning” i „For Whom the Bell Tolls”. Albo nie, „Fade to Black”... Ech, mnie chyba też nie można dopuszczać do tekstów o metalu. ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki”
nr 23 z 22.10:

Poziomo: 8) Szarlota 9) Lubawa 10) Jerzy 11) Kajtek i Koko 12) wannolot 13) Doman 14) kowboj 15) miasto 16) wioska 18) Oferma 20) Świat 23) aparacik 26) zbiór 27) oko 28) Hegemon 29) Will 31) Miki 32) flamaster 37) okno 39) Garfield 40) Chmiel 41) Obelix 42) kurs 43) Batman

Pionowo: 1) Baranowski 2) Kajko 3) Rozalia 4) Fantastyka 5) Kleks 6) Żbik 7) warownia 8) syfonolot 13) dzieci 15) Mirmit 17) szkoła 19) Aaricia 21) Wicek i Wacek 22) Asterix 24) Rosiński 25) Hokus-Pokus 26) złoto 30) Lee 33) Legion 34) Marvel 35) Rodek 36) lelum 38) Liga

Hasło: **OBRAZKI I SŁOWA**

METALE

Hasła Jarka Szubrychta oznaczono inicjałami (JS). Litera w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

4) AI
5) kraj, do którego mrocznego, przestępczego oblicza odwołuje się zamaskowana grupa Brujeria (JS)
8) amerykański zespół thrashmetalowy, którego liderem jest Scott Ian
12) szkocka grupa hardrockowa; jej wokalistą przez wiele lat był Dan McCafferty
13) „... dla cieniów minionych”, piosenka zespołu Kat

14) formacja Tilla Lindemanna
15) zakład metalurgiczny na obrzeżach Głogowa (Dolny Śląsk)
16) wcześniej Docent bębnił u nich gościnnie, a po odejściu z Vadera dołączył na stałe (JS)
18) klip
20) np. katowicka Metalmania
21) piosenka Metalliki rozpoczynająca się odgłosami wojny
22) Bruce z zespołu Iron Maiden
24) ... Harris, założyciel i basista Iron Maiden
25) legenda niemieckiego power metalu, twórcy m.in. „Trapped!” i „The Missing Link” (JS)

26) beton zbrojony stalowymi prętami
27) ... metaliczny, substancja, w której bez problemu przepływa prąd elektryczny
30) stop żelaza z węglem i innymi pierwiastkami
31) piosenka taka jak „Nothing Else Matters” lub „Legenda wyśniona” (JS)
33) metalik na samochodzie
36) zespół wykonujący piosenki „Nóż”, „Tchórz”, „Solą w oku”
37) cieniutka ... rdzy, na powierzchni żelaza, stali
38) grupa metalowa, która nagrała album „Draconian Times”
39) Zn – cynk, Sn – ?

Pionowo:
1) ulubiona pora roku norweskiej grupy Immortal

i – oczywiście – amerykańskiej Winter (JS)
2) specjaliści od montażu, nagłośnienia i oświetlenia sceny
3) ... Orthodox, wokalista grupy Closterkeller
4) czarny, sznurowany but na grubej podeszwie
6) grupa muzyków, zespół
7) rzadko muzyk grający na tym instrumencie jest liderem metalowego zespołu, a Tuomas Holopainen z Nightwish owszem (JS)
9) Kirk, gitarzysta Metalliki
10) promieniotwórcze metale takie jak uran, pluton, nobel
11) należą do nich m.in. ołów, miedź, cynk, platyna
12) Ni
15) James, wokalista i gitarzysta Metalliki

17) dawniej nazywana bormaszyną
19) występ Slayera, Behemotha, Black Sabbath
23) popisówka gitarzysty
24) brazylijska grupa, już bez braci, ale wciąż wierna korzeniom (JS)
28) europejska stolica i matecznik drugiej fali black metalu (JS)
29) ... gwiazd, na renomowanym festiwalu
30) żelastwo, złom
31) imię Johnsa, wokalisty AC/DC
32) brany na gryfie gitary
34) wykuwa przedmioty z żelaza
35) żelazne pręty w palenisku

Leszek Rydz

Byłe do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z **App Store**
POBIERZ Z **Google Play**